www.tygodnikprzeglad.pl

Przegląd

Nr 40 (1082)
28.09-4.10.2020
Cena 7,50 zł
(w tym 8% VAT)

Prof. Bogumiła Kaniewska
Rektorki przejmują uczelnie

Michał Syska
Rok lewicy w Sejmie. Porażka czy klęska?

Czy w polskiej szkole można być ateistą

Hulaj, grypo, szczepionek brak

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115
9 771509 311003 40 >

ZAWIESZENIE BRONI

Ziobro – Morawiecki

I RUNDA

TEATR CAPITOL

JESIEŃ NA WESOŁO

GRAMY BEZPIECZNIE

KUP BILET www.teatrcapitol.pl

TEATR CAPITOL, ul. Marszałkowska 115, 00-102 Warszawa, tel. 22 620 21 42, www.teatrcapitol.pl

eprasa.pl c677e76dad

CYTATY

DANIEL PASSENT, komentator
W ciągu ponad 60 lat mieliśmy zaledwie trzech redaktorów naczelnych, a obecny szef panuje najdłużej w historii pisma, wybierany jednogłośnie w tajnych, demokratycznych wyborach.
„Polityka"

SERGE HALIMI,
prezes zarządu
Najlepszy sposób, aby żołnierze amerykańscy przestali ginąć za granicą, to tam już ich nie wysyłać.
„Le Monde Diplomatique"

PROF. BOGDAN DE BARBARO,
psychiatra, psychoterapeuta
Żyjemy w czasach, w których przybywa oczekiwań, a ubywa pokory wobec losu.
„Zwierciadło"

KRZYSZTOF DAUKSZEWICZ,
satyryk
Teraz jest tak, że jeśli człowiek chce się pomodlić, to włącza Program 1 Polskiego Radia, a jeśli chce posłuchać o polityce, to Radio Maryja.
„Dziennik Gazeta Prawna"

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański

Zjednoczeni na opak

Mamy rosnący problem z pandemią. Przy ponad 1,5 tys. zarażeń w ciągu doby dzwony powinny bić na alarm. Zamiast tego władza zajmuje się sobą. I badaniem kynologicznym: czy możliwe jest, by ogon machał psem? Dzieci wiedzą, że nie, ale w Polsce jakby nie było co do tego pewności. I z powagą obserwujemy jasełka w obozie Zjednoczonej Prawicy. O tym, że to zjednoczenie było pozorne, wiedziano od początku. Teraz mamy to czarno na białym. Po tym, co o sobie powiedzieli politycy Prawa i Sprawiedliwości oraz Solidarnej Polski, wiadomo, że są to byty bardzo od siebie odległe. A jedyne, co je łączy, to wspólnota w podziale łupów.

Nazwa Zjednoczona Prawica może być tylko inspiracją dla satyryków. Z realnym stanem rzeczy nie ma przecież nic wspólnego.

Faktem jest wojna domowa na prawicy. Kończy się jej pierwszy etap, który ma doprowadzić do ostatecznego zwycięstwa psa nad własnym ogonem. Poskromienie toksycznego pyszałka, jakim jest Ziobro, to tylko część tej wojny. Ich wojny. Bo to, kto wygra i kiedy będzie finał nawalanki, dla zwykłych Polaków nie ma większego znaczenia. Trudno przecież poważnie traktować różnice między politykami obecnej władzy. Są jak kameleony. W każdej chwili dla kariery mogą zrobić coś dziwnego. Byle uratować posadę.

Na takie postawy i zachowania polityków i wysokich urzędników duży wpływ ma sposób sterowania państwem, jaki praktykuje prezes Kaczyński. Wywoływanie konfliktów to jego stała metoda. Przy nim nikt nie może się czuć zbyt pewnie. Jak więc ci ludzie mają pracować nad długoterminowymi planami? W tej ekipie powszechna jest filozofia pracy z krótką perspektywą, byle do jutra. A trwająca od wyborów prezydenckich gadanina o rekonstrukcji rządu dodatkowo paraliżuje pracę resortów i urzędów centralnych. Kaczyńskiego to nie boli. Dalej będzie eksperymentował na ludziach i instytucjach. Często z bardzo marnym skutkiem. Jest jak w dowcipie: prezes tworzy problemy, które potem zwycięsko rozwiązuje. Tak przecież było kiedyś z Ziobrą, którego obdarował ogromną władzą – by teraz mu ją na raty zabrać. Ale takie proste jak kiedyś to już nie będzie. Ziobro też się uczy, a skrupułów nigdy nie miał.

Kaczyński chce, by prawica powalczyła o młodzież i była aktywniejsza w sprawach klimatu. Z Solidarną Polską na pokładzie będzie to bardzo trudne. PiS będzie musiało z nią rywalizować o skrajną prawicę i fundamentalistów. Co oznacza, że uruchomi część ich projektów. Dla sympatyków opozycji oznacza to, że nadchodzą jeszcze gorsze czasy.

DZIĘKUJEMY!

Mamy dobrą wiadomość: dzięki nowym darczyńcom, którzy ufundowali BIBLIOTEKOM prenumeratę PRZEGLĄDU, nasz tygodnik zaczął docierać do kolejnych 20 placówek. Wpłaty te sprawiły, że jesteśmy już w 66 bibliotekach i czytelniach.

Ale lista nie jest zamknięta, bo zgłosiło się ponad 100 placówek.

Prosimy o wpłaty z dopiskiem „Biblioteka"
Fundacja Oratio Recta
Nr konta: **72 1090 2851 0000 0001 2023 9821**

Pełna lista bibliotek na **www.tygodnikprzeglad.pl**

BĄKOWSKI

eprasa.pl c677e76dad

W NUMERZE

KRAJ

8 **Zawieszenie broni**
Nie ma cudów, konflikty pozostaną
12 **Aktywa ogona, który macha psem**
Ziobro i jego prokuratorzy
16 **Człowieka nie mogą przesłonić ani punkty, ani akredytacje, ani pieniądze**
– rozmowa z prof. Bogumiłą Kaniewską
20 **Mamo, tato, jestem ateistą**
Religia z automatu
24 **Hulaj, grypo, wolna droga**
Loteria ze szczepionkami
28 **Zgoda na przeszczep**
Transplantacji wciąż mało
31 **Niezaszczepiona Rozalka**
Lektury na miarę czasów
54 **Fela, Basia, Kitka…**
Maria Berny z pamiętnika dla Alicji

PRZEGLĄD ZWIĄZKOWY

34 **Płaca minimalna ma sens**
Chroni pracownika, korzystna dla gospodarki

OPINIE I PUBLICYSTYKA

36 **Michał Syska**
Dlaczego lewica jest wciąż na marginesie?
52 **Jakub Dymek**
Perfekcyjne uzależnienie

ZAGRANICA

38 **Pocztowa piniata wyborcza**
Korespondencja z USA
42 **Protesty mają twarz kobiety**
Dziewczyny wzięły sprawy w swoje ręce
44 **Hiszpanie rozliczają się z historią**
Sprawiedliwość dla ofiar Franco

HISTORIA

48 **Heroizm powstańców, zbrodnia dowódców**
Powstanie warszawskie musiało upaść

SYLWETKI

50 **Prawdziwy redaktor w społecznej służbie**
Edward „Edi" Mikołajczyk (1940-2020)

NOWE TECHNOLOGIE

56 **Redaktor robot**
Pisanie na zamówienie

KULTURA

58 **Kiedy biorą z naszej półki**
Jerzy Bralczyk o sprzętach domowych
60 **Qulturalia**
66 **Joanna Tumiłowicz. 8 grzechów pospolitych**

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Jerzy Domański**
Zjednoczeni na opak
15 **Jan Widacki**
O ogonie, który macha psem
23 **Roman Kurkiewicz**
Dlaczego kibli nie ma w konstytucji
27 **Andrzej Szahaj**
Co jest nie tak z coachingiem?
35 **Tomasz Jastrun**
Komunia i norki
41 **Wojciech Kuczok**
Kicz tytaniczny
47 **Agnieszka Wolny-Hamkało**
Kto przywiązuje się nago do lodu – ten mistrz

16
WYWIAD
CZŁOWIEKA NIE MOGĄ PRZESŁONIĆ ANI PUNKTY, ANI AKREDYTACJE, ANI PIENIĄDZE
– rozmowa z prof. Bogumiłą Kaniewską

28
KRAJ
ZGODA NA PRZESZCZEP
Transplantacji wciąż mało

56
NOWE TECHNOLOGIE
REDAKTOR ROBOT
Pisanie na zamówienie

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. KRYSTIAN MAJ/FORUM, PAP/RAFAŁ GUZ

eprasa.pl c677e76dad

Wkrótce w PRZEGLĄDZIE

Zdalna praca w małym mieście

Grzybobranie – narodowy sport Polaków

Kłusownicy na jeziorze

Dochód gwarantowany w Niemczech

Czy ekspert może być rusofobem?

Nie może, bo rusofobia to całkowita kompromitacja intelektualna. Chyba że polski ekspert. Polski ekspert to zupełnie odrębna kategoria. Jemu wolno więcej, gdyż nie wie, co czyni, i tylko powtarza jak katarynka to, co mu podyktują zza oceanu.

Czy ekspert może być rusofobem?

Piotr Sawicki

•

Końcówka -fob wyklucza możliwość bycia ekspertem w jakiejkolwiek dziedzinie. Ekspert musi być obiektywny, inaczej z definicji nie jest ekspertem. Dla mnie jedynym, niekwestionowanym, absolutnym autorytetem w temacie Rosji był niedawno zmarły prof. Andrzej Walicki. Wszyscy dzisiejsi eksperci i „eksperci" od Rosji powinni najpierw przestudiować i przyswoić sobie cały dorobek Profesora, a dopiero potem próbować zabierać głos, bo inaczej – wcześniej czy później, ale na pewno – dochodzi do kompromitujących stwierdzeń i wypowiedzi.

Gienek Eugene

Przerabiać na rozumne kopyto

Przerabiać na rozumne kopyto

Małgorzata Kąkiel zastanawia się (PRZEGLĄD nr 38), jakie pozycje już nie pasują do listy szkolnych lektur. Każda książka jest dobra, tylko niech nauczyciele przestaną wymagać interpretowania i rozumowania pod klucz. W skarbówce już od dawna wiedzą, że interpretacja jest kwestią indywidualną. Każdy urząd ma swoją, chociaż przepis dla każdego brzmi tak samo. Może więc młodym ludziom w szkołach też należy pozwolić na myślenie przez duże M.

Marta Włodarczyk

•

Literatura jest różnorodna i kanon lektur powinien oddawać tę różnorodność. Uczniowie powinni zapoznać się z przykładami literatury wysokiej i popularnej, szczególnie tej dziecięco-młodzieżowej. W kanonie powinno się znaleźć znacznie więcej dzieł współcześnie tworzących pisarzy. Warto to połączyć z wyjściami na spotkania autorskie. Młodzież musi widzieć, że kultura literacka „żyje".

Artur Eichhorst

Czy wróci handel w niedzielę

Tłumaczenie, że NSZZ Solidarność nie zamierza uczestniczyć w pracach nad liberalizacją ustawy o handlu w niedzielę, jest tłumaczeniem jakiegoś zawziętego fanatyka. Natomiast zgadzam się, że pracownik powinien za pracę w pozostałe dni otrzymywać godne wynagrodzenie i nie być zmuszony do pracy w niedzielę. Nie wiem, czy wymóg, by za pracę w niedzielę była dwuipółkrotnie wyższa stawka, jest dobry, ale na pewno ustawowo każdy pracownik powinien mieć zapewnione dwie niedziele wolne w miesiącu. Kolejarz, tramwajarz, policjant, bileterka w kinie, salowa w szpitalu to tacy sami ludzie jak pracownicy Auchan czy Kauflandu.

Czy wróci handel w niedzielę?

Józef Brzozowski

ZDJĘCIE TYGODNIA

Kapusta – głowa pusta. Przynajmniej tak twierdzi lider AGROunii Michał Kołodziejczak, który zapowiada protesty rolników m.in. w sprawie podpisania ustawy o ochronie zwierząt. Warszawa, 23 września.

FOT. PIOTR MOLĘCKI/EAST NEWS

eprasa.pl c677e76dad

Polska krajem sadów. Łącznie zajmują 314 895 ha.

Marian Turski, szef działu historycznego „Polityki", otrzymał Nagrodę Honorową Superbrands, przyznawaną wybitnym osobistościom wpływającym pozytywnie na wizerunek Polski za granicą.

Adam Bodnar, rzecznik praw obywatelskich, za zasługi i zaangażowanie na rzecz wolności i praw człowieka **został odznaczony Orderem Legii Honorowej.**

Rada Miejska we Wrocławiu nadała nowemu skwerowi imię Jerzego Szmajdzińskiego.

Monopolis w Łodzi, które powstało w dawnej fabryce wódki, **otrzymało statuetkę** targów MIPIM w Cannes **za najlepszy na świecie obiekt wielofunkcyjny.**

114 leków najczęściej stosowanych przez kobiety w ciąży będzie dla nich bezpłatnych. Recepty mogą wystawiać lekarze i położne mający kontrakt z NFZ.

Złote czasy dla e-sklepów z elektroniką. **W trakcie pandemii COVID-19 liczba transakcji wzrosła o 57%.** Kupujemy wszystko, a najchętniej komputery i sprzęt RTV.

Adam Robiński jest autorem Najlepszej Książki Górskiej Roku 2020. „Kiczery. Podróż przez Bieszczady" została także wyróżniona w kategorii reportaż.

9,5% wynosi w Polsce bezrobocie wśród osób do 24. roku życia. To grupa najbardziej dotknięta podczas pandemii.

Adam Lipiński, wiceprezes PiS, zostanie członkiem zarządu NBP (50 tys. zł miesięcznie) **w nagrodę za wierne trwanie przy prezesie.** Całe życie spędził w polityce, trudno jednak znaleźć coś pożytecznego, co zrobił dla kraju. A kadry, które promował, to w większości ludzie mierni, ale wierni PiS.

Michał Walendzik, prokurator, który za rządów Ziobry błyskawicznie awansował z prokuratury rejonowej do Prokuratury Krajowej, naruszając immunitet sędziowski, wydał nakaz przeszukania mieszkania sędzi Beaty Morawiec, prezes Stowarzyszenia Sędziów Themis.

Czesław Michniewicz, były trener Lecha Poznań i Amiki Wronki, który w latach 2003-2004 telefonował do Ryszarda F. „Fryzjera" aż 711 razy, został trenerem Legii Warszawa. „Fryzjer" dostał wyroki trzech i pół roku oraz czterech lat więzienia, a Michniewicz mówi, że „nie ma się czego wstydzić".

Tylko 62% przedsiębiorstw w Polsce korzysta z robotów przemysłowych lub usługowych. W Singapurze roboty wykonują 14% prac.

Zaledwie 4 euro rocznie wydaje Polak na produkty ekologiczne. A Niemiec 100 euro, Duńczyk 200 euro, Szwajcar 234 euro.

PRZEBŁYSKI

Atrapa dożynek

Rolnikom szykującym się na dożynki prezydenckie w Spale Andrzej Duda pokazał gest Lichockiej. Bo co się będzie wlókł 100 km od Warszawy i marnował weekend, jak wybory już za nim? Dość się przecież Duda najeździł i nażebrał o głosy mieszkańców wsi. Naobiecywał im więcej, niż ich stodoły mogą pomieścić. Garstkę rolników zaprosił na dziedziniec swojej chałupy i tam odbębnił atrapę dożynek. Przespacerował się też parę ulic dalej na marsz dla życia i rodziny. Po ściągnięciu córeczki do pałacu i wciśnięciu stryja do dobrze płatnej roboty rodzina Dudów należy do najszczęśliwszych w Polsce.

Kogo wykopie Mastalerek?

Legia pod jego rządami kręci się wokół własnego ogona. A Dariusz Mioduski, jej właściciel i prezes, kręci się wokół ogona władzy. Niebezinteresownie. Frukta ma za wprowadzenie do struktur PZPN Marcina Mastalerka, prominenta dojnej zmiany i ulubieńca Andrzeja Dudy. Mastalerek został wciśnięty na wiceprezesa Ekstraklasy SA. A Mioduski, który długo o to zabiegał u prezesów klubów piłkarskich, dostał w BGK 60 mln zł kredytu. I 20 mln zł od Ministerstwa Sportu. Na tym pewnie nie koniec. Bo czy Mastalerek nie mógłby zastąpić prezesa Bońka? Absurdalny pomysł? Tak, ale czy nie pasuje do logiki działania tej władzy? Na początek rzucili na PZPN CBA, prokuraturę i szczujnię ze swoich mediów.

Petru kontra szmaciarze

Wiadomość dla ofiar „Faktu" i „Super Expressu" oraz byłych redaktorów naczelnych – Grzegorza Jankowskiego (gwiazdora Polsatu udającego niezależnego dziennikarza) i Sławomira Jastrzębowskiego (dziś w pisowskich mediach): na przeprosiny, po wygranych procesach, możecie liczyć po trzech latach i ośmiu miesiącach od kłamliwych tekstów. Jak Ryszard Petru, który zmusił wydawcę „Super Expressu" i Jastrzębowskiego do przeprosin za nieprawdziwe informacje. A także za przekroczenie granic przyzwoitości i dobrego smaku. Petru pokazał medialnemu szmaciarstwu, że nie jest bezkarne.

Samolocik dla Zielińskiego

Kto otwiera listę polityków PiS kochanych przez naród? Oczywiście prezes K., którego willę przed miłością ludu chroni non stop kilkunastu ludzi. Ale drugie miejsce to niespodzianka. Jarosław Zieliński. Ten od konfetti i przebierania policjantów, by wyglądali jak ochrona z dawnego BOR. Oczywiście w ciemnych okularach.
Też ma chałupkę, jeśli tak można nazwać zamczysko po zbóju pilnowane przez całą dobę.
Policjanci mają co robić. I nie muszą jeździć na interwencje do pijaków czy złodziei. Jarosław Z. to taki miniprezes Podlasia. Niedługo będzie prawie rok, jak go Błaszczak pogonił z MSWiA, a jaśnie pan Z. jeździ sobie bmw 750 z ochroniarzami ze Służby Ochrony Państwa. Za skromnie. Podstawcie mu helikopter. To dopiero będzie szpan.

FOT. YOUTUBE (2), KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl c677e76dad

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

www.mleczko.pl

www.sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Czy szczepienia na grypę powinny być obowiązkowe?

PROF. LIDIA B. BRYDAK,
wirusolożka

Z perspektywy wieloletniego kierownika Krajowego Ośrodka ds. Grypy w Narodowym Instytucie Zdrowia Publicznego – Państwowym Zakładzie Higieny uważam za uzasadnione wprowadzenie obowiązkowych szczepień przeciwko grypie dla pracowników służby zdrowia i opieki społecznej, osób z grup podwyższonego ryzyka oraz dzieci, ze względu na ich duże znaczenie w transmisji zakażenia wspomnianym wirusem.

DR HAB. DOROTA KARKOWSKA,
prawniczka, Fundacja Ius Medicinae

Nie sposób merytorycznie odnieść się do tego pomysłu, dopóki władze publiczne nie przekażą społeczeństwu niezbędnych informacji. Czy obowiązkowa szczepionka w pełni chroniłaby nas przed zakażeniem, czy tylko w określonych przypadkach? Jak jej skuteczność ma się do szczepionek stosowanych w innych krajach? Jakie są możliwe powikłania? Dopóki nie będę dysponowała wystarczającą wiedzą, nie poprę ani nie odrzucę postulatu powszechnych szczepień na grypę. Również ewentualne wprowadzenie obowiązku zaszczepiania się przez określonych przedstawicieli wybranych grup zawodowych powinno być poprzedzone dyskusją publiczną, a ta – akcją informacyjną zorganizowaną przez państwo, opartą na aktualnej wiedzy medycznej. Jest jeszcze jedna kwestia, którą trzeba rozwiązać przed ustanowieniem jakichkolwiek nowych obowiązków. Ponieważ szczepieniom zawsze towarzyszy pewien odsetek zdarzeń niepożądanych, należałoby ściśle określić zasady wypłaty odszkodowań. Wiele krajów europejskich, np. Francja, stworzyło specjalne fundusze, tymczasem w Polsce żaden rząd nie chciał podjąć tego tematu.

JERZY PRZYSTAJKO,
farmaceuta, Lewica Razem

Ponieważ prawdopodobnie czeka nas globalna akcja szczepień na COVID-19, Światowa Organizacja Zdrowia zaleca rządom wstrzymanie się z istotnymi zmianami na listach szczepień obowiązkowych, m.in. ze strachu przed wytworzeniem się dużego oporu wobec samej procedury. Na pewno jednak państwo powinno aktywnie działać na rzecz znaczącego wzrostu wyszczepialności na grypę. Obecnie zaszczepiony jest pomijalny odsetek Polaków, tymczasem osiągnięcie odporności zbiorowiskowej – sytuacji, w której grypa przestaje się szerzyć – wymaga ok. 30% zaszczepionych. Dobrym narzędziem zwiększania wyszczepialności są programy szczepień w aptekach, z powodzeniem stosowane np. we Francji. Aby mogły być realizowane także u nas, niezbędna jest odpowiednia poprawka w ustawie o zawodzie farmaceuty, o którą lewica walczy w Sejmie.

OLGA ŻUKOWICZ
czytelniczka PRZEGLĄDU

Wszelkie odgórne nakazy budzą u części Polaków demona libertarianizmu, dlatego wprowadzenie takiego obowiązku może wywołać odwrotny efekt. Najlepszą zachętą będzie dostępność szczepionek oraz ich bezpłatność/symboliczny koszt. Wtedy z pewnością skorzystają z nich przynajmniej ci, którzy mają pojęcie o sensie szczepień.

Not. Michał Sobczyk

eprasa.pl c677e76dad

Zawieszenie broni

Nie ma cudów, konflikty pozostaną

I Zbigniew Ziobro, i Mateusz Morawiecki wychodzą z tego konfliktu osłabieni.

Robert Walenciak

No to kończy się rekonstrukcja rządu, która trwała całe lato. Piszę w trybie niedokonanym, bo gdy zamykaliśmy numer, oficjalne decyzje nie zostały jeszcze ogłoszone. Ale nieoficjalnie wszystko było jasne. Po pierwsze, Zbigniew Ziobro nie został wyrzucony z rządu, a jego Solidarna Polska z koalicji. Po drugie, Ziobro musiał się przed Kaczyńskim ukorzyć i zaakceptować jego warunki. Po trzecie, do rządu wszedł Jarosław Kaczyński. Będzie wicepremierem bez teki, nadzorującym trzy ministerstwa – obrony, spraw wewnętrznych i, co najważniejsze, sprawiedliwości. Po czwarte, ten ruch osłabia nie tylko Ziobrę, ale i Mateusza Morawieckiego. Po piąte, świadczy raczej o zapętleniu ekipy rządzącej, a nie o jakiejś jej odbudowie. To rozwiązanie tymczasowe – i odłożenie kolejnego kryzysu na później.

Ziobro zostaje

Jeśli ktoś bardzo poważnie potraktował deklaracje ważnych polityków Prawa i Sprawiedliwości, które padły zaraz po głosowaniach w sprawie tzw. piątki dla zwierząt, że to koniec koalicji i że Ziobro może już się pakować, dziś może czuć rozczarowanie.

Słowa, które wówczas padały, rzeczywiście mogły sprawiać wrażenie wielkiej przedrozwodowej awantury. Ale, jak się okazało, były tylko przykrywką dla przeprowadzenia operacji zastraszenia i spacyfikowania Solidarnej Polski. Samo tupnięcie i pogłoski, że Kaczyński każe wyczyścić z ziobrowców wszystkie spółki skarbu państwa, wystarczyły, by minister sprawiedliwości zamachał białą flagą. Tym sposobem Kaczyński szybko sprowadził Ziobrę do wyznaczonych mu pięć lat temu rozmiarów.

Dlaczego nie wyrzucił go z koalicji? Powód jest oczywisty – to 19 posłów Solidarnej Polski, którzy zasiadają w Sejmie. Zostali wybrani z listy Zjednoczonej Prawicy, ale gdyby Kaczyński wyrzucił ich z klubu, utworzyliby własny i w ważnych głosowaniach trzeba by z nimi się dogadywać. OK, może część przeszłaby do PiS, być może nawet kilkunastu. Ale jak pokazał wcześniejszy, majowy bunt Jarosława Gowina, wystarczy kilku posłów, a PiS traci w Sejmie większość.

Oczywiście rząd mniejszościowy, tak jest napisana konstytucja, może trwać. I to długo. Ale tylko trwać. Już

eprasa.pl c677e76dad

na pstryk, jak do tej pory, nie można byłoby przepychać ustaw. Dlatego Kaczyński dążył do tego, o czym mówili wcześniej jego współpracownicy – żeby Solidarna Polska głosowała tak, jak chce PiS, żeby za dużo się nie domagała, bo też jej siła jest niewielka. No i żeby Ziobro zbytnio nie dokazywał. I te cele PiS osiągnęło. Warunkiem umowy z Ziobrą jest to, że Solidarna Polska tym razem zagłosuje w sprawie ustawy „bezkarność+" oraz ustawy „futerkowej" zgodnie z wolą prezesa. A w każdym razie takie panuje tam teraz przekonanie.

Bezkarność+

Przypomnijmy, właśnie sprawa tych dwóch ustaw była bezpośrednią przyczyną przesilenia w koalicji. Oczywiście o wiele ważniejsza była „bezkarność+", Kaczyńskiemu bardzo na niej zależało. Rozgrzeszała ona wszystkich urzędników i polityków za działania w czasie epidemii. A jeżeli ktoś nie wierzy, niech przeczyta jej zapis, dla prawnika kuriozalny: „Nie popełnia przestępstwa, kto w celu przeciwdziałania COVID-19 narusza obowiązki służbowe lub obowiązujące przepisy, jeśli działa w interesie społecznym, i bez naruszenia tych obowiązków lub przepisów podjęte działanie nie byłoby możliwe lub byłoby istotnie utrudnione".

Realnie zatem ustawa zapewniłaby bezkarność ministrowi Szumowskiemu i jego urzędnikom za miliony przetracone na kontrakty dotyczące respiratorów i maseczek. Rozgrzeszyłaby też premiera Morawieckiego i ministra Sasina za straty związane z majowymi wyborami, za te karty do głosowania, które Sasin kazał drukować. W dalszej kolejności zapewniłaby bezkarność samemu Kaczyńskiemu, bo to przecież on kazał im te wybory szykować. Uniknęłoby też kary wielu innych pisowskich polityków i urzędników. Można zresztą śmiało zakładać, że objęłaby mnóstwo innych spraw, bo co to za problem podciągnąć jeden czy drugi przekręt pod hasło walki z epidemią.

Nic więc dziwnego, że opozycja krzyczała, że to skandal, łamanie cywilizowanych zasad. I, ku wściekłości Kaczyńskiego, te głosy poparł Ziobro. Dlaczego? Czy doszedł do wniosku, że to dobry pretekst, by zderzyć się z Morawieckim, czy może dlatego, że ustawa wyjmuje mu z rąk potężną broń?

Przecież już dziś prokuratura mogłaby postawić i premierowi, i urzędnikom wysokiego szczebla zarzuty kryminalne. Zatrzymać ich, przesłuchać. Jeśli ktoś pamięta sprawę ministra Janusza Kaczmarka, łatwo to sobie wyobrazi. Ale gdy te wszystkie czyny, które obecnie są uznawane za przestępstwo, za chwilę przestępstwem nie będą, prokuratura i sam Ziobro stracą tę możliwość.

Nie wnikajmy w jego intencje. Efekt był taki, że Solidarna Polska zapowiedziała, że jej posłowie zagłosują przeciw ustawie. W takiej sytuacji marszałek Witek zdjęła ją z porządku dnia.

Nie musiała natomiast zdejmować „piątki dla zwierząt". Bo akurat wynik głosowania nad tą ustawą był znany wiele godzin wcześniej. Po prostu Platforma i Lewica zapowiedziały, że ją poprą, więc sprzeciw jakiejś grupy posłów prawicy nie miał znaczenia. Oni zresztą to wiedzieli – głosowanie nad tą ustawą *de facto* nie dotyczyło losu zwierząt, ale było głosowaniem za Kaczyńskim lub przeciw niemu. Za tym, czy uznają jego przywództwo, czy bardziej liczą się z opinią rozmaitych futrzanych lobbies. Dzięki temu Kaczyński mógł policzyć, kto jest z nim, a kto przeciw.

Poza tym od miesięcy był w stanie zimnej wojny z premierem Mateuszem Morawieckim. I tę wojnę przegrywał – Morawiecki krok po kroku rugował jego ludzi z państwowych spółek. Ziobro zatem atakował go w dwojaki sposób.

Po pierwsze, ideologicznie – domagając się wypowiedzenia konwencji stambulskiej, broniąc policjantów, którzy zatrzymali działaczkę Margot, krytykując Unię Europejską, wspierając gminy, które ogłosiły się strefami wolnymi od LGBT. Ziobro pchał prawicę na prawo, ale chyba jeszcze ważniejsze było to, że narzucał jej ton. I że Morawiecki, wciąż oskarżany o związki z Platformą, nie za bardzo wiedział, jak przed tym się bronić.

Po drugie, działała prokuratura. W tym systemie władzy Ziobro może mieć bezpośredni wgląd w akta śledztwa, może ręcznie sterować prokuraturą. Ma wpływ na to, że jedne śledztwa są ważne, mogą być przyśpieszane, drugie buksują, rozmywają się, są umarzane.

> Warunkiem umowy z Ziobrą jest to, że Solidarna Polska w sprawie ustawy „bezkarność+" oraz ustawy „futerkowej" zagłosuje zgodnie z wolą prezesa.

Ziobro z nieba do piekła

Ten sprzeciw, to postawienie się Kaczyńskiemu to był łabędzi śpiew Ziobry. Pytania więc nasuwają się same: czy nie wiedział, z kim zadziera, czy miał świadomość, jaka jest dysproporcja sił? Co powodowało, że źle oceniał sytuację?

Nie ma na to jednoznacznej odpowiedzi. Ziobro czuł, że jest na fali. Na tle milczącego PiS jego grupa młodych polityków i działaczy wyróżniała się aktywnością i rewolucyjnym zapałem. Poklepywano ich po plecach, na pewno słyszał wiele słów uznania. To mogło go umacniać w przekonaniu, że jest silny. Że jakby co, wpływowi ludzie na polskiej prawicy go poprą.

W ten sposób prokuratura stała się narzędziem władzy. Nie tak dawno media poinformowały, że prokuratorzy z Wrocławia byli naciskani przez zastępcę prokuratora generalnego Bogdana Święczkowskiego, by przedłużyli śledztwo i przesłuchali Mateusza Morawieckiego. Przesłuchanie miało dotyczyć dwóch wątków. Pierwszy to jeszcze odprysk afery taśmowej, nagrana w restauracji Sowa i Przyjaciele rozmowa, w trakcie której Morawiecki, wówczas szef BZ WBK, mówi o wspieraniu polityka PO Aleksandra Grada. To ta rozmowa, w której wołał, że ludzie będą pracować za miskę ryżu. Drugi wątek dotyczy pożyczki 96 tys. zł, jakiej ks. Tomasz Jegierski z Fundacji SOS dla Życia miał udzielić Stowarzyszeniu Solidarność Walcząca Kornela Morawieckiego. Pożyczka miała być podobno warunkiem uzyskania przez fundację dotacji z BZ WBK.

Prokuratura kilkakrotnie śledztwo przedłużała, aż w końcu je umorzyła. Ale nie to jest najważniejsze – sprawa bowiem pokazuje mechanizm

eprasa.pl c677e76dad

działania Ziobry, szachowanie przeciwników politycznych śledztwami. Można je wszak przedłużać, można rozszerzać, rzucać do sprawy kilku prokuratorów, wzywać na przesłuchania, a można też śledztwa umarzać. Sejmowa komisja śledcza badająca okoliczności śmierci Barbary Blidy ten mechanizm zrekonstruowała i pokazała. Tu wiele się nie zmieniło.

Dodajmy, że w pewnym momencie na łasce prokuratorów znalazł się sam Kaczyński, gdy rozkręcił się spór z austriackim biznesmenem Geraldem Birgfellnerem. Ziobro mógł więc sądzić, że jest potęgą. Że ma kolekcję haków i narzuca ton PiS.

Wszystko to w parę dni się zawaliło. Nagle zorientował się, że na prawicy popierają go tylko młodzi z Solidarnej Polski, a i to nie wiadomo, jak długo. Zobaczył też, że drzwi do prawicowych mediów są przed nim zamknięte. Nawiasem mówiąc, zachowanie tych mediów, związanych z PiS i od PiS zależnych, pokazało, jak mało warte są media partyjne. Wszystkie istotne informacje dotyczące wojny w Zjednoczonej Prawicy były w mediach od PiS niezależnych. Te prawicowe milczały lub bulgotały coś na okrągło.

Ale wróćmy do Ziobry. Zobaczył również, i to w parę godzin, że już szykują się chętni na jego fotel ministra sprawiedliwości. Chętni i deklarujący wierność Kaczyńskiemu. No i że w PiS krążą listy ludzi Ziobry w spółkach skarbu państwa, a za chwilę oni wszyscy mogą znaleźć się na lodzie. Bez pieniędzy, z mało ciekawymi perspektywami. Pękli zatem. Gromada ideowych działaczy…

Dwóch wicepremierów i jeden minister? Jarosław Kaczyński, Jaroslaw Gowin i Zbigniew Ziobro.

Podwładny swojego podwładnego

Nasuwa się więc kolejne pytanie: dlaczego Kaczyński tak długo tolerował wybryki Ziobry? Nie widział, w którą stronę to zmierza? Odpowiedź jest chyba prosta – oczywiście, że widział. A nie reagował, bo do pewnego momentu mu to nie przeszkadzało.

To wynika ze sposobu działania Kaczyńskiego. Prowadzi on Zjednoczoną Prawicę jak żeglarz; reaguje na rozmaite fale, na wiatry, raz wzmacniając jedną grupę, innym razem drugą. Manewrując między poszczególnymi koteriami. Skrzydło antyeuropejskie, anty-LGBT, atakujące bez pardonu opozycję, było przydatne, więc pozwalał Ziobrze działać. Przydatne jest mu także skrzydło reprezentowane przez Morawieckiego, bardziej biznesowe, próbujące jakoś ułożyć się z Europą, z Niemcami. I stosownie do okoliczności (oraz humoru) Kaczyński między tymi przeciwnościami lawiruje. Raz tak, raz inaczej.

Tylko że w pewnym momencie wszystko to wymknęło mu się spod kontroli. Urósł Ziobro, ale i urósł Morawiecki. Zaczęli w dodatku walczyć ze sobą, przekonani, że walczą zarazem o bycie numerem dwa w Zjednoczonej Prawicy.

Kaczyński musiał to przeciąć. Stąd decyzja o jego wejściu do rządu jako wicepremiera bez teki, nadzorującego MON, MSWiA oraz Ministerstwo Sprawiedliwości. Początkowo tej funkcji nadano dość makabryczną nazwę, bo Kaczyński miał być szefem Komitetu ds. Bezpieczeństwa. Nazwa ma więc zostać zmieniona.

Makabry już nie ma, za to jest wątek komiczny. Wicepremier Kaczyński staje się podwładnym premiera Morawieckiego, którego realnie jest przełożonym. Będzie również składał rządową przysięgę na ręce prezydenta Andrzeja Dudy. Przynajmniej więc raz będzie musiał schylić czoło przed swoimi podwładnymi, co na pewno przyjdzie mu z trudnością. Ale cel jest tego wart. Bo to najłatwiejszy sposób na utemperowanie Ziobry i Morawieckiego.

Przede wszystkim w ten sposób zwiąże Ziobrze ręce. Owszem, Ziobro pozostanie ministrem, zachowa fotel, bo Kaczyński nie chce rządu mniejszościowego. Ale będzie nie tylko ministrem z przetrąconym kręgosłupem, któremu podwładni nie zapomną czołobitnych wobec prezesa PiS konferencji prasowych. Będzie ministrem kontrolowanym.

Jarosław Kaczyński jako wicepremier będzie miał gabinet w gmachu przy Alejach Ujazdowskich. Będzie tam mógł swobodnie wzywać do siebie wiceministrów, prokuratorów, żeby zdawali mu relację, opowiadali, przynosili kwity. A oni wszyscy będą wiedzieli, że jeśli spodobają się wicepremierowi, spotka ich za to nagroda. Większość zatem spróbuje się spodobać. Ziobro szybko

Postawienie się Kaczyńskiemu to był łabędzi śpiew Ziobry.

FOT. STANISŁAW KOWALCZUK/EAST NEWS, ADAM CHEŁSTOWSKI/FORUM

eprasa.pl c677e76dad

poczuje, że jest trzymany na krótkiej smyczy. Owszem, może działać energicznie, ale tylko w tych obszarach, na które pozwala mu Kaczyński. Już nie będzie mógł ostentacyjnie ignorować posiedzeń Rady Ministrów. Ani manewrować prokuraturą, śledztwami, straszyć hakami itd. Trudniej mu będzie narzucać prawicy agendę, bo Wielki Prezes będzie mu patrzył na ręce. I krok po kroku, tydzień po tygodniu, wytrącał mu te zabawki z rąk.

Nie oznacza to, że prokuratorzy i służby podległe MSWiA przestaną się zajmować działaczami LGBT, opozycją, Donaldem Tuskiem i biznesem. Oznacza to tylko, że te działania nie będą zaskakiwały prezesa. Że agendę on będzie kontrolował.

Ale wicepremier Kaczyński to także wielkie osłabienie Mateusza Morawieckiego. Bo wraca on do punktu wyjścia, do pierwszych tygodni, gdy był premierem, kiedy miał władzę nad kilkoma ministrami, a reszcie musiał się kłaniać. Tak będzie i teraz. MON, MSWiA, Ministerstwo Sprawiedliwości będą poza jego wpływem. W sprawach spółek skarbu państwa musi zaś dogadywać się z Jackiem Sasinem.

Na dodatek Kaczyński wprowadzi się do Kancelarii Premiera. Każdy urzędnik będzie już wiedział, gdzie jest ten ważniejszy. I łatwiej będzie mu tam zajrzeć w jakiejś „ważnej" sprawie, niż przebijać się na Nowogrodzką.

Do tej pory Morawiecki był takim półpremierem, udawał, że wiele może, nadymał się, opowiadał różne rzeczy. Jedni brali to na serio, drudzy nie wierzyli. Teraz każdy zobaczy, że ta jego władza jest bardziej malowana niż rzeczywista. To też będzie bolało.

Egzekucja odroczona

Można więc powiedzieć, że wejście Kaczyńskiego do rządu to rodzaj wotum nieufności wobec dwóch polityków – Zbigniewa Ziobry i Mateusza Morawieckiego. I że najbardziej ucieszyło to żelazną gwardię PiS, z Joachimem Brudzińskim i Mariuszem Błaszczakiem na czele.

Choć trudno mieć złudzenia, że ten układ okaże się trwały. Nie ma cudów, konflikty powrócą. Po pierwsze, sam sposób zarządzania, który preferuje Kaczyński, opiera się na ich tworzeniu i rozwiązywaniu. Po drugie, jednorazowe utemperowanie Ziobry i Morawieckiego nie rozwiązuje sprawy. Konflikt między nimi to nie tylko kwestia osobowości i ambicji. Ma on głębsze podłoże – to konflikt między dwiema, bardzo różnymi, koncepcjami funkcjonowania PiS.

Z jednej strony, jest Polska PiS, która chce iść na wojnę z Unią Europejską, z LGBT, nieść żagiew konserwatywnej rewolucji. Z drugiej – ta, która chciałaby uspokojenia. Jakiegoś dogadania się z Europą, wyciszenia wewnątrzpolskich wojen. I spokojnego konsumowania owoców władzy. Obie te strony skazane są na spór, tak czy inaczej będzie on narastał. A powody do awantur przynosić będzie życie. Kaczyński tego sporu nie rozwiąże. Raz – nie ma na to siły. Dwa – nie ma na to ochoty. Jak wspominaliśmy, jego sposobem działania jest manewrowanie między różnymi nurtami prawicy.

Tylko że te nurty się zmieniają, zmienia się ich siła. Ziobro łatwo ustąpił, ale to nie znaczy, że nie będzie chciał się odbudować. A jeśli jemu nie starczy odwagi – nie znaczy to, że nie pojawi się ktoś inny, kto będzie potrafił go zastąpić.

Także Morawiecki nie da się zamknąć w złotej klatce. To człowiek korporacji, wie, że w życiu są wzloty i upadki, a wygrywa ten, kto nie ustępuje. Wszyscy w dodatku wiedzą, że Kaczyński ma 71 lat, że siły go powoli opuszczają.

No i jeszcze jedno – jak już wspomniałem, powodów do awantur nie zabraknie. Przynosi je bieżąca polityka, zawsze są jakieś problemy do rozwiązania. A trudno będzie z nimi się uporać w tak pogmatwanej strukturze władzy. Bo im bardziej Kaczyński chce ją uprościć, tym bardziej ją zapętla.

Tak naprawdę to on tworzy większość problemów, które potem w pocie czoła rozwiązuje. To jego złe decyzje, jak chociażby upór przy wyborach majowych, generują napięcia, wywołują konflikty. A te złe decyzje przydarzają mu się coraz częściej.

Poza tym padło za wiele słów. Chemii między Kaczyńskim, Ziobrą i Morawieckim już nie będzie. Jest zawieszenie broni, tak jak to było, gdy Andrzej Lepper najpierw został wyrzucony z rządu, a potem do niego wrócił. Też mocno poturbowany. I oni wszyscy to wiedzą. Ciężko oddychają po boju, patrzą sobie na ręce, broń Boże sobie nie ufają. I tylko, mądrzejsi o to starcie, czekają na okazję. Noże mają naostrzone.

Robert Walenciak

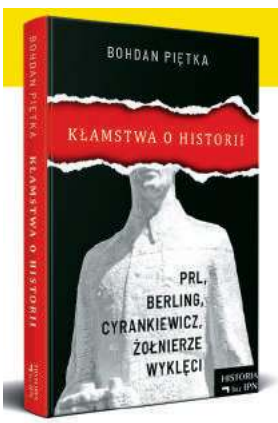

MANIPULOWANIE PAMIĘCIĄ, MITY, KŁAMSTWA I KŁAMSTEWKA!

Dlaczego fałszowany jest obraz Polski w latach 1944-1989?

Bohdan Piętka demaskuje fałsze i uproszczenia prawicowych historyków i agitatorów

45 zł

www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Wpłaty 45 zł prosimy dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7. W cenę wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Pocztą Polską. Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +10,00 zł, paczka w RUCH-u +6,99 zł lub dostawa kurierem InPost +14,90 zł.

eprasa.pl c677e76dad

Aktywa ogona, który macha psem

Zbigniew Ziobro może liczyć na setki prokuratorów awansowanych za jego kadencji oraz wpływy w biznesie

Marek Czarkowski

Jarosław Kaczyński rozumie, że nie ma wierniejszego sługi od pokonanego przeciwnika, któremu okazano łaskę. Minister sprawiedliwości od dawna nie jest członkiem Prawa i Sprawiedliwości. 4 listopada 2011 r. komitet polityczny zdecydował o wykluczeniu eurodeputowanych Zbigniewa Ziobry, Tadeusza Cymańskiego i Jacka Kurskiego z szeregów tej partii. Kilka dni później 16 posłów i jeden senator, wybranych z list PiS, utworzyło klub parlamentarny Solidarna Polska.

W marcu 2012 r. powstała partia Solidarna Polska Zbigniewa Ziobry. Gdy dwa lata później jej lider wraz z przybocznymi ubiegał się o reelekcję w wyborach do Parlamentu Europejskiego, poniósł klęskę i wydawało się, że to koniec jego kariery.

Jednak trzy lata później koło ratunkowe rzucił mu Jarosław Kaczyński, oferując działaczom Solidarnej Polski miejsca na listach PiS w wyborach parlamentarnych. Zbigniew Ziobro zdobył ponad 67 tys. głosów i został ministrem sprawiedliwości w gabinecie Beaty Szydło. A po błyskawicznej zmianie prawa zajął też fotel prokuratora generalnego.

Bycie na marginesie polityki nauczyło go, że bez własnego zaplecza politycznego i biznesowego jego wielkie ambicje nigdy nie zostaną zaspokojone.

Wymiar sprawiedliwości

Zaczął od zmian kadrowych, awansując wiernych mu ludzi. Najpierw w Ministerstwie Sprawiedliwości, a potem w prokuraturze. Szacowano, że w ciągu kilku miesięcy 2016 r. w liczącej ponad 6,1 tys. prokuratorów i asesorów prokuraturze wymieniono 1 tys. osób piastujących różne funkcje mające wpływ na prowadzone postępowania.

Ze stanu spoczynku wrócił, zwany Godzillą, prokurator Bogdan Święczkowski, który został najpierw podsekretarzem stanu w resorcie, a potem prokuratorem krajowym i pierwszym zastępcą prokuratora generalnego. *De facto* to on od czterech lat w pełni kontroluje i nadzoruje wszystkie szczeble tego organu ścigania. Wraz z nim wysokie stanowiska objęły osoby skupione w powstałym w 2008 r. Niezależnym Stowarzyszeniu Prokuratorów Ad Vocem.

• Prokurator Małgorzata Bednarek – była prezes stowarzyszenia. Nadzorowała głośne śledztwo w sprawie „bielskiej mafii prokuratorsko-sędziowskiej". W trakcie jednej z konferencji prasowych przesądziła o winie sędziów. Rzecz skończyła się porażką prokuratury. Pomawiani sędziowie uzyskali wysokie zadośćuczynienia z tytułu naruszenia ich dobrego imienia. Od roku 2016 prokurator Bednarek kierowała Śląskim Wydziałem Zamiejscowym ds. Przestępczości Zorganizowanej i Korupcji w Katowicach. We wrześniu 2018 r. została sędzią Izby Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego.

• Prokurator Tomasz Janeczek – kierowana przez niego Prokuratura Apelacyjna w Katowicach prowadziła sprawę posłanki Barbary Blidy. Na początku lutego 2017 r. matka Zbigniewa Ziobry występująca w charakterze oskarżyciela posiłkowego w procesie o błąd lekarski, który jakoby doprowadził do śmierci jej męża i ojca ministra – Jerzego Ziobry – złożyła zawiadomienie o możliwości popełnienia przestępstwa przez prowadzącą sprawę sędzię Agnieszkę Pilarczyk. Chodziło o zbyt wysoki zdaniem skarżącej koszt – 372 tys. zł – liczącej 23 strony ekspertyzy sądowej. Sprawą zajęła się Prokuratura Regionalna w Katowicach kierowana przez Tomasza Janeczka. Został on też prokuratorem Prokuratury Krajowej.

• Prokurator Elżbieta Janicka – w roku 2007 kierowała Prokuraturą Okręgową w Warszawie, prowadzącą sprawę podejrzanego o korupcję ministra sportu w rządzie Jarosława Kaczyńskiego, Tomasza Lipca. Janicka miała powiedzieć śledczym: „Jak zatrzymacie Lipca, to was puknę". W latach 2016-2018 kierowała Wydziałem Spraw Wewnętrznych Prokuratury Krajowej, zajmującym się ściganiem prokuratorów. Zastąpił ją na tym stanowisku Adam Gierk.

• Prokurator Marek Pasionek – członek stowarzyszenia. W latach 2005-2007 zastępca koordynatora ds. służb specjalnych. Od marca 2016 r. zastępca prokuratora generalnego. Nadzoruje specjalny zespół prokuratorów powołany w Prokuraturze Krajowej do prowadzenia śledztwa w sprawie katastrofy smoleńskiej; końca śledztwa nie widać.

• Prokurator Krzysztof Sierak – w roku 2007 był dyrektorem Biura ds. Przestępczości Zorganizowanej w Prokuraturze Krajowej. W 2010 r. przeszedł w stan spoczynku z zachowaniem pełnego uposażenia. Od roku 2016 ponownie w szeregu. Piastuje funkcję zastępcy prokuratora generalnego. W 2017 r. polecił wrocławskiej prokuraturze wystąpić o zwrot sprawy skierowanej do sądu przeciw byłemu księdzu Jackowi Międlarowi, oskarżonemu o szerzenie nienawiści wobec innych narodowości, co oceniono jako wstęp do umorzenia sprawy. 14 stycznia 2019 r. Sierak objął nadzór nad śledztwem w sprawie zabójstwa

W 2016 r. w prokuraturze wymieniono tysiąc osób piastujących funkcje mające wpływ na prowadzone postępowania.

eprasa.pl c677e76dad

Zbigniew Ziobro dobrze widział, ile może stracić, gdyby Solidarna Polska wypadła z koalicji.

prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza podczas 27. Finału Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy.

Organizacje monitorujące działania Zbigniewa Ziobry i Bogdana Święczkowskiego publikują na stronach internetowych nazwiska ponad 200 prokuratorów związanych z „dobrą zmianą", piastujących funkcje kierownicze na różnych szczeblach organizacyjnych prokuratury. Znajdziemy wśród nich Wojciecha Wassermanna, syna tragicznie zmarłego Zbigniewa Wassermanna i brata posłanki Małgorzaty Wassermann, który w 2016 r. został powołany na stanowisko prokuratora Prokuratury Okręgowej w Krakowie. A także Barbarę Piotrowicz, córkę byłego posła, a obecnie sędziego Trybunału Konstytucyjnego Stanisława Piotrowicza, która we wrześniu 2016 r. została powołana na prokuratora Prokuratury Rejonowej w Krośnie.

Nie brakuje też zestawień i analiz spraw prowadzonych przez prokuratury różnych szczebli, w których prawidłowość postępowania budzi poważne wątpliwości. Od roku 2016 nagromadziło się ich tyle, że już pobieżny opis zająłby kilka tomów. W internecie bez trudu znajdziemy informacje o wielu prokuratorach, ich błyskawicznych awansach, opisy spraw, którymi się zajmowali, powiązań rodzinnych i towarzyskich, a nawet konfliktów.

Nawet życzliwi prawicy komentatorzy są krytyczni wobec porządków – a raczej nieporządków – jakie Zbigniew Ziobro i jego środowisko zaprowadzili w wymiarze sprawiedliwości. W ich ocenie to ziobryści odpowiadają za trwający od 2015 r. kryzys wokół Krajowej Rady Sądownictwa, Trybunału Konstytucyjnego i Sądu Najwyższego. Ideologiczne zacięcie tych ludzi zaowocowało poważnymi problemami w relacjach naszego kraju ze Stanami Zjednoczonymi i Unią Europejską. A promowanie swojaków skończyło się głośną aferą hejterską w resorcie sprawiedliwości z udziałem sędziów i Małej Emi.

Fundusz Sprawiedliwości

Pełna nazwa to Fundusz Pomocy Pokrzywdzonym oraz Pomocy Postpenitencjarnej. Ponieważ jest on w dyspozycji ministra sprawiedliwości, stał się niemal prywatną sakiewką Zbigniewa Ziobry. Teoretycznie kwota 400 mln zł powinna służyć osobom pokrzywdzonym, ofiarom przestępstw, świadkom itp. Ale w roku 2017 minister zmienił rozporządzenie regulujące działalność funduszu, dopisując do zadań szeroko rozumianą profilaktykę. I tak pieniądze zaczęły trafiać do Ochotniczej Straży Pożarnej na zakup wozów. Jak twierdzą dziennikarze TVN 24, z tych środków sfinansowano zakup izraelskiego systemu Pegasus, który umożliwia funkcjonariuszom CBA włamywanie się do smartfonów i niemal totalną inwigilację. Poważnym beneficjentem funduszu są instytucje związane z o. Tadeuszem Rydzykiem. Dziennikarze OKO.press i Wirtualnej Polski ustalili, że na Centrum Ochrony Praw Chrześcijan Fundacja Lux Veritatis otrzymała ponad 7,1 mln zł, projekt „Prawda a historia" zyskał zaś dotację niemal 5,5 mln zł. Z kolei projekt „Bezpieczni w rodzinie" kosztował fundusz skromne 658 tys. zł. Wszystko w ramach szerokiego Programu Przeciwdziałania Przyczynom Przestępczości. Inne instytucje kościelne także mogą liczyć na wsparcie. Oczywiście zgodnie z prawem.

Biznes

Budowę zaplecza biznesowego Zbigniew Ziobro rozpoczął w roku 2016. Korzystając z dobrych relacji z premier Beatą Szydło, zaczął lokować swoich ludzi w spółkach skarbu państwa. W czerwcu 2016 r. prezesem Zarządu PZU Życie SA został młody, doświadczony menedżer Paweł Surówka. W kwietniu 2017 r. zastąpił on na stanowisku prezesa Zarządu PZU SA Michała Krupińskiego, który w czerwcu tego samego roku został powołany w skład Zarządu Banku Pekao SA, a w listopadzie otrzymał zgodę Komisji Nadzoru Finansowego na pełnienie funkcji prezesa zarządu tego jednego z największych polskich banków. Był to szczyt wpływów Ziobry w biznesie. Dwie potężne grupy finansowe otwierały przed jego ludźmi oszałamiające perspektywy awansów. Ale to przeszłość, gdyż

Żona Ziobry, Patrycja Kotecka, w marcu 2020 r. została członkiem Zarządu Link4.

eprasa.pl c677e76dad

De facto to Bogdan Święczkowski jako zastępca prokuratora generalnego w pełni kontroluje i nadzoruje wszystkie szczeble prokuratury.

Surówka i Krupiński są dziś poza tymi spółkami. Powszechne jest przekonanie, że takie było życzenie premiera Morawieckiego.

Najbardziej znaną beneficjentką zdobycia przez ministra sprawiedliwości przyczółków w ubezpieczeniach i bankowości była jego żona Patrycja Kotecka, która w marcu 2016 r. została dyrektorką marketingu w Link4, spółce zależnej PZU SA, a w marcu 2020 r. decyzją rady nadzorczej została powołana do zarządu tej spółki.

W Pekao SA pracuje brat Zbigniewa Ziobry Witold, który do niedawna uchodził w nim za szarą eminencję. Łatwo przewidzieć, co się stanie, gdy minister sprawiedliwości wypadnie jednak z łask prezesa. Wie o tym co nieco prezes NIK Marian Banaś, którego syn Jakub odszedł z tego banku w wyniku „suwerennej decyzji" na początku grudnia 2019 r. Dziwnym trafem w najostrzejszej fazie konfliktu między jego ojcem a kierownictwem Prawa i Sprawiedliwości.

W 2016 r. wydawało się, że Zbigniew Ziobro ma spore wpływy w TVP SA, na czele której stanął jego dawny polityczny sojusznik Jacek Kurski. W tym kontekście najczęściej padały dwa nazwiska. Pierwsze – Paweł Gajewski, były szef młodzieżówki Solidarnej Polski, od 2016 r. wicedyrektor w biurze spraw korporacyjnych spółki. Na początku 2018 r. miał on awansować na wiceszefa Telewizyjnej Agencji Informacyjnej. W sierpniu 2020 r. Wirtualne Media podały, że Gajewski został szefem gabinetu prezesa Kurskiego. Drugą wskazywaną osobą jest zastępca dyrektora Biura Reklamy TVP SA Robert Malinowski, który rzekomo zawdzięcza pozycję nie tyle aktywności politycznej, ile znajomości z Witoldem Ziobrą. Rzecz w tym, że obecnie Zbigniew Ziobro nie może liczyć na wsparcie ze strony TVP, gdyż Jacek Kurski już dawno przeniósł się do obozu PiS. Doszło do tego, że od kilku miesięcy ziobryści są sekowani w programach informacyjnych.

Organizacje monitorujące działania Ziobry i Święczkowskiego publikują nazwiska ponad 200 prokuratorów związanych z „dobrą zmianą".

Członkiem Zarządu PZU Życie SA jest mecenas Bartłomiej Litwińczuk, który reprezentował Zbigniewa Ziobrę w kilku procesach cywilnych, m.in. przeciw Markowi Siwcowi, gdy ten zarzucił Ziobrze, że „wysłał siepaczy do Blidy". Litwińczuk zasiadał też w kilku radach nadzorczych spółek skarbu państwa.

Natomiast mecenas Maciej Zaborowski, który reprezentował w sądach obok ministra Ziobry premier Beatę Szydło, europosła Patryka Jakiego, dziennikarzy Dorotę Kanię, Cezarego Gmyza, a nawet Przemysława Wiplera i Janusza Korwin-Mikkego, w grudniu 2015 r. objął funkcję wiceprzewodniczącego Rady Nadzorczej PKP Intercity. W styczniu 2016 r. trafił zaś do Rady Nadzorczej PZU SA, w której objął funkcję sekretarza. Należy podkreślić, że mecenas Zaborowski jest fachowcem. Jednym z najlepszych stołecznych adwokatów.

Z kolei mecenas Paweł Śliwa – wiceprezes Zarządu Polskiej Grupy Energetycznej ds. innowacji, jednocześnie wiceprzewodniczący Rady Nadzorczej Ruch SA – bywa przedstawiany w mediach jako człowiek Zbigniewa Ziobry, choć szczegóły ich relacji nie są powszechnie znane.

O wiele więcej osób kojarzonych z Solidarną Polską jest związanych z samorządami i administracją państwową. Ciekawym przykładem jest województwo podkarpackie. Jego marszałek Władysław Ortyl złożył formalny wniosek o odwołanie z zarządu województwa Anny Huk z Solidarnej Polski oraz Stanisława Kruczka z Porozumienia. Głosowanie nad wnioskiem zaplanowano na sesji sejmiku 28 września. Nie ma to większego znaczenia, gdyż w tym regionie Prawo i Sprawiedliwość ma bezpieczną większość. Działaczy PiS niepokoi natomiast aktywność posła i wiceministra sprawiedliwości Marcina Warchoła, który przed wyborami do Sejmu w 2019 r. zyskał poparcie popularnego w Rzeszowie prezydenta Tadeusza Ferenca. Startując z ostatniego, 30. miejsca na liście, zdobył pond 28 tys. głosów. Pisowcy obawiają się, że za trzy lata z poparciem Ferenca Warchoł bez trudu przejmie rzeszowski ratusz. Dziś współpraca obu panów jest wzorowa. A to oznacza, że Solidarna Polska może zyskać w tym mieście kilkadziesiąt, a może nawet kilkaset bardzo atrakcyjnych posad i stworzyć silne struktury.

W innych regionach działaczy PiS niepokoi atrakcyjność Solidarnej Polski, która oferuje młodym ludziom nie tylko szybką ścieżkę kariery, ale i swego rodzaju rewolucyjną ideologię. Pod tym względem liderzy Prawa i Sprawiedliwości nie mogą konkurować z ludźmi Zbigniewa Ziobry. On sam przetrwał pierwsze starcie. Okazał się silniejszy, niż sądzili jego przeciwnicy.

Marek Czarkowski

FOT. PAP/PIOTR NOWAK, MICHAŁ DYJUK/FORUM

eprasa.pl c677e76dad

Z Galicji

Jan Widacki

O ogonie, który machał psem

Zwoli Jarosława Kaczyńskiego Zbigniew Ziobro został wyciągnięty z politycznego niebytu i w 2015 r. mianowany ministrem sprawiedliwości. Kilka miesięcy później PiS zmieniło ustawę o prokuraturze i na nowo połączyło stanowiska ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego. Zlikwidowano Prokuraturę Generalną i utworzono na powrót Prokuraturę Krajową, na czele której stanął człowiek Ziobry Bogdan Święczkowski. Miejsce prokuratur apelacyjnych zajęły prokuratury regionalne, a wydziały Prokuratury Krajowej zostały potworzone w terenie. Tej gigantycznej i w gruncie rzeczy bezsensownej reorganizacji towarzyszyły niespotykane dotąd na taką skalę zmiany kadrowe. Ludzie Ziobry objęli kluczowe stanowiska, nieraz awansując od razu po kilka szczebli, z prokuratury rejonowej do regionalnej lub krajowej. Brak doświadczenia i kompetencji równoważyli gorliwością i lojalnością wobec szefa szefów.

Ale imperium Ziobry znacznie przekroczyło granice prokuratury. Jego ludzie objęli stanowiska prezesów sądów, jego nominaci trafili do Krajowej Rady Sądownictwa i do Trybunału Konstytucyjnego – czy, jak wolą niektórzy, do atrapy Trybunału. Obsadzili sądy dyscyplinarne i dwie nieuznawane nowe izby Sądu Najwyższego. Ziobro jako minister sprawiedliwości stał się przełożonym dyscyplinarnym sędziów, co może nie byłoby złe, gdyby nie był równocześnie prokuratorem generalnym. Rzecz w tym, że jest. Powstał zatem taki model: szef prokuratorów jest przełożonym dyscyplinarnym sędziów, może ich przenosić, wszczynać im sprawy dyscyplinarne, uchylać immunitety, stawiać zarzuty. Arbitrem w sporze, który toczy się na sali sądowej między oskarżycielem a obrońcą, jest sąd. Tyle że w obecnie obowiązującym modelu arbiter i jedna ze stron sporu (oskarżyciel) mają wspólnego szefa. Równość stron w takim układzie staje się wątpliwa. Sąd i prokurator w pewnym sensie są po tej samej stronie.

Wiceministrami sprawiedliwości są też ludzie związani z Ziobrą i jego Solidarną Polską. Minister sprawiedliwości-prokurator generalny po zmianach ustawy o prokuraturze może również inicjować czynności operacyjno-rozpoznawcze, ma prawo wglądu oraz ingerowania w każde toczące się postępowanie. Takiej władzy nie miał dotąd żaden minister sprawiedliwości ani żaden prokurator generalny. Ale dla Ziobry tego wszystkiego było mało. Jego ambicje są znacznie większe.

Mając poczucie siły i pewności swojej pozycji w rządzie, zaczął ingerować w politykę zagraniczną i narzucać jej kierunek. Nie dość, że jego pseudoreformy wymiaru sprawiedliwości pakowały Polskę w chroniczny konflikt z Unią Europejską i przysparzały problemów pisowskiemu rządowi, a szczególnie premierowi, który chcąc nie chcąc, musi w stosunkach z Unią znajdować jakiś *modus vivendi,* to jeszcze, wykraczając poza granice swojego superresortu, Ziobro sprowadzał coraz większe kłopoty w innych obszarach. To z Ministerstwa Sprawiedliwości wyszedł projekt nowelizacji ustawy o IPN, który ściągnął na Polskę gniew Izraela i – co gorsza – Stanów Zjednoczonych. W efekcie, mimo „powstania z kolan", trzeba było jechać do Izraela i tam (na kolanach?) odkręcać idiotyczną nowelizację, której autorem był ówczesny zastępca Ziobry, dziś eurodeputowany, Patryk Jaki. Nie ulega jednak wątpliwości, że projektowi patronował Ziobro. To Ziobro wpakował rząd (i nas wszystkich) w kolejne kłopoty w Unii i wystawił na pośmiewisko świata, podejmując próbę wypowiedzenia konwencji stambulskiej. Konflikt Ziobry z premierem Morawieckim był powszechnie znany, także poza kręgami rządowymi. Ufni w poparcie Rydzyka i niestety znacznej części episkopatu, Ziobro i jego partyjka zaczęli ofensywę ideologiczną przeciw LGBT.

Kaczyński jest na tyle pragmatyczny, że na ogół starał się unikać wojen światopoglądowych, w które pchał go Ziobro. Wreszcie zorientował się, że ogon zaczyna machać psem – tego było już za dużo. Stąd konflikt i próba wyrzucenia Ziobry z rządu. Ale bez Ziobry i jego posłów rząd nie ma większości. Rząd mniejszościowy dobry jest na krótki okres przejściowy, a do końca kadencji jeszcze trzy lata – tak długo by nie pociągnął. Dlatego sprawanie jest prosta.

W tym kryzysie koalicyjnym i tym samym rządowym, który może wpłynąć na losy Polski, zupełnie nie widać prezydenta. Żadna ze stron wewnątrzkoalicyjnego sporu nie traktuje prezydenta poważnie i do niczego go nie potrzebuje. On sam też nie przejawił żadnej inicjatywy. Tylko minister jego kancelarii oświadczył, że „prezydent jest negatywnie zaniepokojony". Cokolwiek by to miało znaczyć, jedno jest pewne: nikt, a już w szczególności strony sporu, nie zwrócił na to najmniejszej uwagi.

A opozycja? Pomysł, by teraz właśnie wystąpić z wnioskiem o wotum nieufności dla ministra sprawiedliwości, jest jednym z najgłupszych, jakie mogły przyjść do głowy liderom Platformy. Nieświadomie (bo nie wierzę, że świadomie) przyszli Ziobrze w sukurs. Kaczyński, choćby tylko ze względów ambicjonalnych, nie odwoła Ziobry pod naciskiem opozycji.

Polityka polska ma się coraz gorzej.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl c677e76dad

Człowieka nie mogą przesłonić ani punkty, ani akredytacje, ani pieniądze

Nauką nie da się zarządzać korporacyjnie, autorytarnie, bez troski o wartości. To nigdy i nigdzie się nie sprawdza

Rozmawia Beata Igielska

„Uniwersytet moich marzeń nigdy nie będzie korporacją, fabryką punktów – nie można zarządzać nim technokratycznie ani autorytarnie". Pamięta to pani? Może tak należy zarządzać polską nauką, nie tylko uniwersytetem?

– Pamiętam, oczywiście, to moje słowa. Nauką nie da się zarządzać korporacyjnie, autorytarnie, bez troski o wartości. To nigdy i nigdzie się nie sprawdza. W żadnym systemie. Nauka jest dziedziną myśli, poznania, poszukiwania prawdy – nie da się jej przełożyć na kategorie czysto przemysłowo-biznesowe.

Co panią dziś najbardziej niepokoi, denerwuje, jeśli chodzi o przepisy regulujące funkcjonowanie szkół wyższych?

– W spokojnym funkcjonowaniu przeszkadza mi niestabilność, ciągła zmienność rozwiązań prawnych. Generalnie uważam, że tym, czego nauce naprawdę potrzeba, są pieniądze. Bez nich żadne ustawy, uchwały nic nie dadzą.

Zostaliście uczelnią badawczą, mieliście dostać przez sześć lat ponad 300 mln zł, dostaliście obligacje. To chyba duży kłopot: trzeba sprzedać, odprowadzić podatek itp. Czy te obligacje warte są tyle, ile pieniędzy obiecano?

– W pierwszym momencie też myślałam, że to będzie kłopot. Z tego, co wiem, uczelnie postąpiły różnie. Na przykład sprzedając część obligacji. Papiery wartościowe mają wzięcie na rynku. Gdybyśmy w tej chwili je sprzedali, otrzymalibyśmy co najmniej ich równowartość. Jednak jeśli obligacje sprzedamy później, pieniędzy za nie będzie więcej.

PROF. BOGUMIŁA KANIEWSKA
– rektor Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu na kadencję 2020-2024, przewodnicząca Konferencji Rektorów Uniwersytetów Polskich

Hasło: Uniwersytet Poznański to…

– ...myśl o federacji poznańskich uczelni publicznych. Chcemy stworzyć mocny uniwersytet, w którym uczelnie wchodzące w skład federacji będą się wspierać pod każdym względem: rankingów, prowadzenia badań, inicjatyw interdyscyplinarnych.

Jak rozumiem, takie posunięcie podciągnęłoby te wszystkie szkoły?

– W tej chwili, w sytuacji gdy jesteśmy parametryzowani w dyscyplinach naukowych nie przez jednostki, czyli wydziały, lecz przez grupy uczonych uprawiających daną dyscyplinę, zdecydowanie federacja dałaby nam większą siłę. Na to liczymy. Jestem za prawdziwą współpracą, będziemy się wzajemnie ciągnąć do góry i wspomagać.

Ta wspólnotowość to także Konferencja Rektorów Uniwersytetów Polskich. Z jakimi zadaniami zmierzy się pani w tym roku jako szefowa tej instytucji?

– W tej chwili na pewno priorytetem jest współdziałanie uczelni w sytuacji kryzysowej – wymiana doświadczeń, dobrych praktyk, wspólna rozmowa o tym, jak najlepiej bronić się przed skutkami pandemii. Czekamy też na decyzje w sprawie funkcjonowania resortu, jego kształtu po zapowiadanej reorganizacji rządu. Poza tym liczę na poważną rozmowę o kształcie szkolnictwa wyższego w Polsce w obliczu zapowiedzi nowelizacji Ustawy 2.0.

A co chciałaby pani w pierwszej kolejności zrobić na UAM?

– Rzeczywistość pandemiczna trochę przeformułowała moje ambitne plany. Dlatego najpierw chciałabym sprawić, żeby uniwersytet w warunkach nie do końca normalnych funkcjonował w miarę normalnie pod względem jakości i ilości badań, a także poziomu kształcenia. Ale przede wszystkim muszę zapewnić pracownikom i studentom poczucie bezpieczeństwa, a to dziś wcale nie takie proste. Sytuacja jest dynamiczna. Bardzo chciałabym, żeby nam

eprasa.pl c677e76dad

się powiodło w dwóch projektach: Uniwersytetu Europejskiego i Uczelni Badawczej, co oznacza zwiększenie umiędzynarodowienia współpracy naukowej i wymiany studentów. Żeby poziom naukowy UAM nie tylko się wznosił, ale wręcz poszybował.

Jak już mówiłam, uniwersytet to nie korporacja. Jestem przywiązana do wartości uniwersyteckich i tradycji wspólnotowej. Właśnie o nie bardzo chcę zadbać w tych trudnych czasach, kiedy zmagamy się ze zjawiskami dyskryminacji. Będę im przeciwdziałać, kontynuując tym samym politykę mojego poprzednika, prof. Andrzeja Lesickiego.

Chce pani powołać rzecznika uniwersyteckiego, ombudsmana.

– Tak, taką osobę, która rozwiązywałaby rozmaite trudne sprawy. W tej chwili mamy pełnomocnika ds. przeciwdziałania dyskryminacji i komisję, która tym się zajmuje. Ale nie ma jeszcze dalszych instytucjonalnych rozwiązań, takich jak biuro, wyraźna strategia, ani systematycznych działań budujących świadomość, czym jest dyskryminacja, co grozi jej ofiarom.

Czy to są refleksje po akcji na Śląskim Uniwersytecie Medycznym, gdzie dochodziło do mobbingu i molestowania?

– Myślałam o tym znacznie wcześniej, ale i to, co się tam zdarzyło, wpłynęło na mój sposób myślenia. Niestety, takich przypadków trochę jest i trzeba im powiedzieć „nie".

Wróćmy do bezpieczeństwa w czasie pandemii. Minister nauki Wojciech Murdzek nie przedłużył rozporządzenia zawieszającego działanie szkół wyższych i instytutów. Stwierdził, że to władze uczelni będą decydować o formie ich bezpiecznego działania. Zachęca do szerokiego prowadzenia zajęć tradycyjnych. Jak pani zdaniem będzie wyglądał nowy rok akademicki – czy zajęcia i egzaminy będą prowadzone zdalnie?

– Rzeczywistość trochę przeczy apelom pana ministra. My, rektorzy, kontaktujemy się ze sobą. Wszyscy uważamy, że wszędzie tam, gdzie nauczanie tradycyjne można zastąpić zdalnym, należy to robić. Musimy pamiętać, że studenci przyjeżdżają do obcych miast, muszą tu wynajmować mieszkania. Nie jest łatwo przenieść się z nauczania zdalnego na tradycyjne. Dziecko w wieku szkolnym może przez jakiś czas zostać w domu i w bezpiecznym momencie wrócić do szkoły, student musi załatwić sobie mieszkanie czy akademik. Oczywiście chemia, fizyka, medycyna czy przedmioty politechniczne muszą mieć znaczący procent zajęć praktycznych. Ale jednocześnie sporo zajęć można jeszcze przez jakiś czas prowadzić przez internet i w takim kierunku idziemy. U nas to dziekani wydziałów wskazują przedmioty, które absolutnie nie mogą się odbywać zdalnie.

Wspomniała pani o akademikach, jak tu w tej chwili wygląda sytuacja?

– Zdecydowaliśmy się na rozgęszczenie, kwaterujemy maksymalnie po dwie osoby w pokoju. Nie zamknęliśmy akademików, bo to uderzyłoby w studentów w najtrudniejszej sytuacji materialnej.

Rozgęszczenie sprawi jednak kłopoty lokalowe wielu studentom.

– Tak. Po cichu liczę, że studenci wydziałów, które w całości zdecydują się na nauczanie zdalne, zrezygnują z przyjazdu do Poznania. Ale nie zastosowaliśmy administracyjnego zakazu przyjazdu osób studiujących na kierunkach, gdzie kształcenie odbywa się wyłącznie zdalnie. Przydział akademika wiąże się z możliwościami finansowymi studenta. Ma to być dla niego pomoc materialna, jak stypendium.

A skoro jesteśmy przy kłopotach związanych z nauką zdalną, Polska Komisja Akredytacyjna będzie dokonywać kontroli jakości kształcenia na uczelniach. Dopiero uczycie się nauczania zdalnego, a już macie na głowie PKA.

– Komisja działa w zasadzie nieprzerwanie. Nie wyobrażam sobie, żeby w praktyce nie dostosowała się do warunków, w jakich obecnie prowadzimy kształcenie. Wiem, że kontrole będą się odbywać w trybie zdalnym, np. poprzez włączanie się w prowadzone zajęcia. Nie potrafię ocenić czegoś, co jeszcze się nie zaczęło. Ale nadzwyczajne sytuacje wymagają nadzwyczajnych zachowań. Pewne sprawy trzeba zrozumieć, choćby to, że kryzys pandemiczny ma ogromny wpływ na młodych ludzi – to dla nich bardzo trudne doświadczenie. Dlatego maksymalnie ułatwiamy naszym studentom życie, mają przedłużony termin składania prac magisterskich, obniżamy opłaty, przyznajemy zapomogi. Pomagamy, jak możemy.

Pani była znana jako prorektor ds. studenckich z ludzkiego podejścia i skracania dystansu.

– Jednym pewnie to się podobało, drugim – nie. Tu wracamy do początków naszej rozmowy. Uniwersytet jest stworzony przez ludzi dla ludzi. I właśnie człowieka nie możemy stracić z oczu ani przez moment. Nie mogą go nam przesłonić ani punkty, ani akredytacje, ani pieniądze. Taka jest w skrócie moja filozofia.

Czy uczelnie potrzebują jakiejś systemowej pomocy, by poradzić sobie z wyzwaniami covidowymi?

– Finansowa pomoc jest konieczna, abyśmy mogli wspomagać studentów. COVID-19 to zjawisko społeczne – gdy obniżyły się parametry gospodarki, studenci stracili możliwość dorywczego zarabiania. Wielu w ubiegłym roku akademickim utrzymywało mieszkania, mimo że w nich nie mieszkało, przedłużył się rok akademicki – u nas sesja trwa do 30 września. A przecież część studentów będzie powtarzała egzaminy, wracała na uczelnię. Natomiast jeśli chodzi o skutki finansowe dla uczelni, już widzimy, że nie zbilansują się nam akademiki. W innych sprawach jest za wcześnie na ocenę skutków ekonomicznych. Zobaczymy je dopiero w przyszłym roku kalendarzowym. Jeśli zaś chodzi o wsparcie proceduralne, żyłoby się nam bardziej komfortowo, gdyby rozporządzenia nie pojawiały się w ostatniej chwili. Czasem podejmujemy jakieś decyzje, ukazuje się rozporządzenie i musimy dokonać modyfikacji. Teraz np. czekamy na rozporządzenie dotyczące dydaktyki, które pozwoli odpowiednio punktować kształcenie zdalne – chodzi o tzw. punkty ECTS, które otrzymuje student.

Część obecnych rozwiązań zostanie już na stałe?

– Niektóre na pewno tak. Ale już widzimy, że nauczanie zdalne nie zastąpi tradycyjnego. To może być jedynie suplement, uzupełnienie

Tym, czego nauce naprawdę potrzeba, są pieniądze. Bez nich żadne ustawy, uchwały nic nie dadzą.

FOT. ADRIAN WYKROTA/UAM

eprasa.pl c677e76dad

w pewnych przypadkach, dobre jako rozwiązanie częściowe. Pandemia pokazała, że pewne sprawy wymagające tylko krótkich ustaleń można załatwić zdalnie, bez jeżdżenia, umawiania się, delegacji. Natomiast nie przejdziemy na tryb australijski i nie będziemy żyć w wirtualnej chmurze. Na to nie ma zgody, środowisko akademickie bardzo tęskni do normalnego funkcjonowania.

– Przyglądałam się tym problemom, ale jeszcze nie podjęłam żadnych działań, bo dziś pierwszeństwo mają działania covidowe – obudowujemy zarządzeniami proces kształcenia zdalnego, przygotowujemy funkcjonowanie uczelni w nowych warunkach. Ale już zrezygnowaliśmy w czasie procesu dyplomowania ze składania papierowej wersji dokumentów. Wszyscy bardzo się z tego ucieszyli i w tę stronę będziemy wędrować. Uniwersytet to duża instytucja. Tak więc powolutku, krok po kroczku… Jestem gotowa na zmianę zapisów statutowych. Chciałabym to poprzedzić dogłębną, wnikliwą rozmową, dyskusją z dziekanami, ze społecznością akademicką. Od czasu wybuchu pandemii, od marca pracowaliśmy w dużym tempie, pewnie nie ustrzegliśmy się błędów czy luk.

Jak pani rozumie autonomię wydziałów? To był pierwszy punkt tzw. ósemki Kaniewskiej, czyli programu przedstawionego przed wyborami rektorskimi.

– Na naszym uniwersytecie większość wydziałów jest jedno- lub dwudyscyplinarna. Nie chciałabym centralizować np. wydatków, lepiej pozostawić je tam, gdzie są realizowane, czyli na wydziałach. Poza tym chcę słuchać tego, co mają do powiedzenia dziekani, pracownicy naukowi, bo nikt z nas nie wie wszystkiego. Taki wielogłosowy sposób pracy sprawdza mi się od lat. Nie zawiódł mnie również w życiu osobistym.

Już od dawna badania psychologiczne pokazują, że tam, gdzie rządzi kobieta, jest lepiej.

– Ale też mamy świadomość, jak dużo od nas, kobiet rektorów, dziś zależy. Bo co, jeśli przy tej zmianie okaże się, że jednak lepiej nie jest?

Ale przecież obejmujecie swój urząd w pandemii, co was dodatkowo stresuje. Od rozliczających wymagałoby to wyrozumiałości.

– Na wyrozumiałość bym nie liczyła. Liczę natomiast, że się uda. Ta fala kobiet nie wzięła się znikąd. Coraz więcej pań pełni ważne funkcje na uczelniach i sprawdzają się w tym. Czasem słyszę, że wybrano kobiety, bo nastały trudne czasy.

Gdzie diabeł nie może, tam babę pośle.

– Trochę tak to wygląda.

Planuje pani zwiększenie zatrudnienia młodych naukowców.

– Ustawa 2.0 zmieniła finansowanie uczelni, w obecnym systemie nie musimy zwiększać naborów za wszelką cenę, mniej zależy od liczby studentów. Stawiamy na jakość kształcenia. Chcemy też zatrudniać młodych ludzi. Nie ma rozwoju nauki bez ich pomysłów i talentu.

Z tym otwarciem na młodych łączy się pomysł zorganizowania Welcome Center dla studentów przyjeżdżających z zagranicy.

– Jestem wręcz zirytowana, że do tej pory pomysł ten się nie urzeczywistnił. Bierzemy się więc ostro do pracy, pomieszczenie jest remontowane, prorektor ds. współpracy międzynarodowej przygotowuje struktury. Na całym świecie na uczelniach jest taki punkt, gdzie cudzoziemcy otrzymują wsparcie także w kwestiach życiowych, takich jak założenie konta, ubezpieczenie, żeby otrzymać pomoc lekarską.

Zwraca pani również większą uwagę na korelację między programami studiów – student za granicą nie tylko będzie się dobrze bawił, lecz także porządnie uczył.

– W tej kwestii musimy być bardziej elastyczni niewątpliwie. W ramach Uniwersytetu Europejskiego

Uniwersytet powinien być miejscem nie tylko prowadzenia badań, ale także pokazywania pewnych zachowań. To dla mnie uniwersytecki ideał.

Być może jednak na dłużej zostaną wirtualne dziekanaty, większość papierów ma obecnie obieg internetowy.

– Nasz uniwersytet wprowadzi pewne rozwiązania na stałe, wszędzie tam, gdzie usprawni to funkcjonowanie. Zrezygnowaliśmy w kilku przypadkach z dokumentów papierowych. To oszczędność czasu i drzew, z których powstaje papier. Ale wątpię, by studenci chcieli wszystko załatwiać wyłącznie przez internet. Bo jak tu uśmiechnąć się, przymilić do pani z dziekanatu? Narzekają czasem na te panie, ale chcą do nich przychodzić.

Odnośnie do tego, co pani mówiła o drzewach, UAM ma być zielonym uniwersytetem, chcecie np. zrobić audyt energetyczny.

– Zaczynamy od drobiazgów: rozglądamy się, gdzie założyć ogrody społeczne czy pasiekę, mamy już jedną w Pile. Chciałabym wprowadzić dobre i proste rozwiązania, np. nie przygotowywać plastikowych identyfikatorów na każdą konferencję, wprowadzić zasadę, żeby były one zwrotne, wielokrotnie wykorzystywane. Te proste rozwiązania, niewymagające wielkich nakładów, wprowadzimy od razu. Uniwersytet powinien być miejscem nie tylko prowadzenia badań, ale także pokazywania pewnych zachowań. To dla mnie uniwersytecki ideał.

Chce pani też przyjrzeć się nadmiernie rozbudowanym procedurom – zarówno administracyjnym, np. zamówieniom publicznym, jak i dotyczącym zmian programów studiów i powoływania nowych kierunków. Korekty będą wymagały zmiany niektórych zapisów statutu.

Fala kobiet rektorów nie wzięła się znikąd. Czasem słyszę, że wybrano kobiety, bo nastały trudne czasy.

Jest pani pierwszą kobietą rektorem w stuletniej tradycji UAM. Ale, co ciekawe, w tej kadencji jest was aż 12! To historyczny moment, biorąc pod uwagę fakt, że w ostatnich dwóch dekadach na 137 kadencji rektorskich na polskich uniwersytetach publicznych zaledwie trzy były sprawowane przez kobiety.

– To rzeczywiście historyczna kadencja. Cieszę się, że biorę w tym procesie udział. Jest wyraźna zmiana, która spotyka się z akceptacją.

eprasa.pl c677e76dad

zaangażowaliśmy się w tworzenie wirtualnego kampusu i międzynarodowych wspólnot studenckich. 7 i 8 października przyjeżdżają do nas studenci z partnerskich uniwersytetów, żeby zaplanować współpracę studencką w ramach Uniwersytetu Europejskiego.

Na Morasku chce pani wybudować najnowocześniejsze akademiki w Polsce, z przedszkolem w budynku oraz żłobkiem.

– Już mamy projekt domu studenckiego z przedszkolem na Morasku. To pierwsza i najpilniejsza dla nas inwestycja.

Podejmie pani także prace nad realizacją projektu domu profesora seniora.

– Ten projekt pojawia się stale, co najmniej od trzech kadencji rektorskich. Nie udało się go zrealizować ze względów materialnych. Powinniśmy to zrobić wspólnie z miastem Poznań, które realizuje projekt „Senioralni", oraz innymi uczelniami. Przedstawię ten pomysł na Konferencji Rektorów Szkół Poznańskich.

Z ósemki Kaniewskiej: uśpiony potencjał UAM.

– To hasło wzięło się stąd, że w sytuacjach kryzysowych pracownicy i studenci wykazują się ogromną pomysłowością. Kiedy w ubiegłym roku był strajk nauczycieli, zorganizowaliśmy samopomoc dla naszych pracowników: dla starszych dzieci w wieku szkolnym – w obiektach sportowych, dla młodszych – zajęcia prowadzili pracownicy i studenci Wydziału Studiów Edukacyjnych. Wtedy przyszło mi do głowy, że będziemy świadczyć takie usługi i sami dla siebie, i na zewnątrz. W czasie pandemii zaś Wydział Psychologii założył społeczny telefon zaufania. Dyżurowali przy nim wykwalifikowani psychoterapeuci. Najpierw służyli pomocą pracownikom i studentom, później np. pracownikom służby zdrowia. Z myślą o seniorach zorganizowaliśmy akcję „Widzialna Ręka UAM". Osoby chętne do pomocy zgłaszały się do zdalnego centrum, które kontaktowało ze sobą wolontariusza i seniora według klucza geograficznego – czyli ktoś, kto blisko mieszkał, podszedł i zrobił zakupy. To dobrze działało i było dobrze odbierane. Popołudniowe zajęcia, takie pogotowie dla dzieci, byłyby dużą pomocą dla młodych rodzin, mam, które np. do wieczora muszą siedzieć na konferencji.

Na koniec przeczytam pani głos internauty: „Ciężar odpowiedzialności pani rektor jest olbrzymi, tak samo jak ogromny jest poziom głupoty w polskiej nauce i prawie ją regulującym". Internauta trzyma za panią kciuki, my też trzymamy. Zgadza się pani z jego diagnozą?

– Za trzymanie kciuków dziękuję. A jeśli chodzi o głupotę, występuje ona we wszystkich dziedzinach naszego życia i jest niebezpieczna, nawet w niewielkich dawkach. Tak czy owak należy z nią walczyć. Natomiast w polskiej nauce chyba nie jest tak źle. Jeśli byłoby aż tak źle, miałabym przed sobą zadanie nie do wykonania. A ja mam zamiar przeprowadzić nasz uniwersytet przez tę kadencję tak, żebyśmy wszyscy byli z niego dumni.

Beata Igielska

eprasa.pl c677e76dad

Obraz i relikwie św. Stanisława w szkole podstawowej w Makowie Mazowieckim, 17 kwietnia 2018 r.

Mamo, tato, jestem ateistą

Dzieci nagminnie są przez szkołę zapisywane na religię z automatu, a w niektórych przedszkolach zapisuje się już trzylatki

Anna Walczak

„Dziś przyniosłem dla taty kartkę o rezygnacji z religii. Po prostu zrozumiałem, że nie wierzę – po sześciu latach słuchania głupot. Tata nie podpisał. I tu moje pytanie – czy w konstytucji jest coś napisane o zmuszaniu do wiary? To nie jest moje widzimisię, tylko po prostu przemyślałem to sobie. Dodam, że mój ojciec nie chodzi nawet do kościoła" – tak 12-letni Wiktor żali się na Facebooku, że łamana jest jego wolność wyznania.

Pytam chłopca, czy na lekcjach spotkało go coś złego. Może katechetka jest niesympatyczna? Okazuje się, że nie, pani od religii jest tolerancyjna i bardzo miła. – Jedynym problemem jest to, że głoszą tam religię, w którą nie wierzę – wyjaśnia Wiktor. – Ostatnio np. mieliśmy temat o stworzeniu świata. I owszem, pani mówiła, że istnieje teoria wielkiego wybuchu, ale dodała, że to tylko przypuszczenie naukowców. Tyle że dla mnie ta teoria – czy ta o ewolucji – brzmi bardziej wiarygodnie. Naukowcy mają dużo dowodów na swoje teorie, a w Biblii ich nie ma. W czasie religii wolałbym więc uczyć się lub odrabiać lekcje w bibliotece.

Decyzja Wiktora, która wydaje się najzupełniej dojrzała – spowodowana jest przecież dysonansem poznawczym, wynikającym z niezgodności teologii Kościoła z nauką – nie spotkała się ze zrozumieniem jego ojca. – Powiedział mi, że skoro on chodził i się męczył, ja też powinienem – mówi chłopiec. – Jest katolikiem i już, ma bierzmowanie i ślub. Nie pomogły argumenty, że wypisanie się z religii oznaczałoby dla mnie dwie dodatkowe godziny na naukę. Powiedziałem mu, że na religię i tak nie będę chodził, więc brak jego zgody na wypisanie się spowoduje tylko obniżoną ocenę z zachowania. Nie trafił do niego także argument, że każdy ma prawo wyznawać inną religię.

Pół godziny później trafiam na podobną wypowiedź – 13-latka deklaruje się jako ateistka, nie chce brać

eprasa.pl c677e76dad

udziału w katechezie. Podobnie jak Wiktor prosi w sieci obcych dorosłych o rady, co może zrobić, skoro formalnie to rodzice podejmują decyzję o uczestniczeniu dziecka w religii.

Sąd opiekuńczy z pomocą

Piotr Pawłowski, trójmiejski prawnik, jeden z czołowych organizatorów inicjatywy Świecka Szkoła, wyjaśnia, że chłopiec może rozwiązać problem w sposób najzupełniej legalny. Wprawdzie według rozporządzenia MEN w sprawie organizowania nauki religii w szkole wyłącznie uczniowie powyżej 18. roku życia mogą samodzielnie podjąć decyzję o chodzeniu bądź niechodzeniu na religię, jednak małoletni ma możliwość wystąpienia z wnioskiem do sądu opiekuńczego. Organ ten może w trybie zarządzenia nakazać ojcu uwzględnienie życzenia dziecka co do nieuczęszczania na katechezę, która nie jest przedmiotem obowiązkowym w polskim systemie. Ekspert specjalizujący się w walce o ochronę prawa dzieci i rodziców do wolności wyznania zaznacza przy tym, że w wypadku Wiktora, który najwyraźniej jest samodzielnie myślącym człowiekiem, uzyskanie takiej decyzji sądu może się okazać jedynie urzędniczą procedurą i nie należy tu się spodziewać żadnej trudnej batalii. – Dla polskiego prawa rodzinnego dobro dziecka jest najważniejszą dyrektywą interpretacyjną, ale podmiotowość nastolatka też jest istotna – podkreśla. Jako podstawę prawną wskazuje art. 95 Kodeksu rodzinnego, który mówi: „Rodzice przed powzięciem decyzji w ważniejszych sprawach dotyczących osoby lub majątku dziecka powinni je wysłuchać, jeżeli rozwój umysłowy, stan zdrowia i stopień dojrzałości dziecka na to pozwala, oraz uwzględnić w miarę możliwości jego rozsądne życzenia".

Inni dorośli radzą Wiktorowi, by po prostu przestał chodzić na katechezę mimo braku zgody rodzica. Jeszcze inni zalecają przekorny oportunizm. „Ja dla zaliczenia zrobiłem album-propagandówkę z Papajem (chodzi o Jana Pawła II – red.). Okropne czasy, szczególnie po jego śmierci, gdy nachalnie wciskano nam ideologię katolicką", wspomina swoje perypetie z religią jeden z uczestników grupy.

„Ten się nie smuci, kto się nawróci", a kto nie, może wyjść

Inny problem mają dzieci, których rodzice na katechezę nie zapisali, ale i tak w pewnym sensie są skazane na kontakt z religią w szkole. – Wielokrotnie spotkaliśmy się ze zmuszaniem dzieci nieuczęszczających na religię do pozostawania w tej samej sali, w której odbywa się katecheza, przez co mimowolnie słuchają one treści przekazywanych przez katechetów – opowiada Dorota Wójcik, prezeska fundacji Wolność od Religii, która od 2014 r. wspiera rodziców i opiekunów w walce o egzekwowanie prawa do nieuczestniczenia ich dzieci w katechezie. – Spotkało to zresztą również moje dzieci. Podam też inny przykład – Kościół, nie akceptując zachodniego Halloween, zaczyna wprowadzać do szkół własne „tradycje", aby w ten sposób przykryć swój problem z zabawą w stylu anglosaskim. W szkole moich dzieci organizuje się np. Dzień Anioła. Zdarzyło się więc, że na matematyce do sali weszła grupa katechetek z przebranymi na biało uczennicami i uczniami, śpiewając piosenkę, której fragment mówi: „Ten się nie smuci, kto się nawróci". Katechetki rozdawały właśnie cukierki, gdy wychowawczyni zapytała mojego syna, czy chciałby teraz wyjść z klasy. Moje dziecko zostało praktycznie wyproszone z sali, tylko dlatego, że ktoś na świecką matematykę przychodzi z piosenkami religijnymi. Wyobrażam sobie, jak musiało mu się zrobić przykro, mimo że moje dzieci przywykły już do takich sytuacji – i że poczułby się zapewne jeszcze gorzej, gdyby rzeczywiście wyszedł z klasy i stał samotnie na korytarzu.

W podręczniku do polskiego „Jutro pójdę w świat" dla klasy VI wprost wmawia się uczniom, że Biblia jest „dziełem Boga".

Dorota Wójcik zwraca także uwagę na nagminne przemycanie informacji związanych z religią w treściach programowych. – Przykładem jest podręcznik do języka polskiego „Jutro pójdę w świat" dla klasy VI, gdzie wprost wmawia się uczniom, że niedziela jest „dniem świętym", Biblia „dziełem Boga" – a są to przecież treści o charakterze konfesyjnym, nie naukowym. Poza tym obecne są tam przedruki z „Przewodnika Katolickiego".

Takich przykładów w podręcznikach jest znacznie więcej – postać Jana Pawła II czy religijne treści bożonarodzeniowe są ich stałym elementem.

Ksiądz jak woźny

– Na obecności religii w szkołach długookresowo stracą nie tylko uczniowie, ale i sam Kościół – ocenia Piotr Pawłowski. – Widzi to wielu hierarchów kościelnych, szczególnie reprezentantów tzw. Kościoła otwartego.

I tak się dzieje. Powszechne rezygnacje z katechezy widoczne są zwłaszcza w szkołach ponadpodstawowych w dużych miastach – tam na religię chodzi już tylko 44% uczniów (dane z raportu CBOS „Młodzież 2018"). Maleje też religijność młodzieży – za osoby niewierzące uważa się już 20% chłopców i 14% dziewcząt.

– To wynik natrętnej, namolnej katechizacji, wszechobecności elementów religii w szkole, mieszania sfery *sacrum* z *profanum*, czyli sprowadzania religii, która powinna być przeżyciem duchowym, do kolejnej nudnej lekcji, którą trzeba odbębnić, na której można się pośmiać, zjeść kanapkę, odrobić inne lekcje czy, mówiąc językiem młodzieży, pocisnąć bekę z katechetów – wskazuje Piotr Pawłowski. – Katecheta powinien być kimś w rodzaju przewodnika duchowego, jednak został sprowadzony do pozycji kolejnego nielubianego urzędasa, wciskającego młodzieży do głów rzeczy, których ta zwykle nie chce przyjąć. Młodzi nie chcą słuchać w szkole rzeczy w dużej mierze sprzecznych z ich światopoglądem.

W szkołach ponadpodstawowych w dużych miastach na religię chodzi już tylko 44% uczniów.

FOT. SŁAWOMIR OLZACKI/FORUM

eprasa.pl c677e76dad

I nie jest to nowe zjawisko. Piotr, student medycyny, który też odpowiedział na post Wiktora – jego rodzice dekadę temu również nie chcieli wypisać go z religii – opowiada o postawie współczesnej młodzieży wobec katechizacji: – Moi rówieśnicy od dawna żyją mentalnie z dala od niej. Również ci, którzy uważają się za wierzących. Nikt nie dyskutuje o wypowiedziach hierarchów na temat osób LGBT, aborcji czy praw kobiet, ponieważ wykładnia Kościoła jest dla nas kompletną abstrakcją. Nikogo to nie ekscytuje, nikt o tym nie rozmawia. Każdy wie, że z takimi bzdurami i absurdami nie ma po co polemizować.

Piotr zauważa jednocześnie, że księża i katecheci mają w szkole coraz trudniej. – Pamiętam, że lekcje o aborcji, in vitro, o prawach osób LGBT+ zawsze były gorące. Księżom coraz trudniej obronić rzeczy, których obronić się nie da. Nie są przygotowani do merytorycznej dyskusji.

Piotr Pawłowski dostrzega również, że duży wpływ na postawę nastolatków i załamanie się wizerunku Kościoła ma afera pedofilska, z którą ta instytucja zupełnie sobie nie poradziła: – Katecheci często stają się pośmiewiskiem. Rozgoryczeni księża żalą się, że młodzi ludzie krzyczą za nimi na ulicy albo w szkole, wyzywając od pedofilów. Katecheta czy ksiądz stał się dla nich synonimem zła, kimś, kto z pewnością ma coś na sumieniu. Konflikt pogłębia się, jeśli widzą duchownego codziennie w szkole, bo ten np. pilnuje dzieci w szatni. Zresztą już to jest powodem wizerunkowej katastrofy, skoro ksiądz, który z założenia miał być duchowym przewodnikiem, pełni funkcję woźnego, odarty zupełnie z powagi i duchowości.

To nie wina PiS

W obecnych realiach politycznych trudno byłoby usunąć religię ze szkół. Ale nie jest to wyłącznie kwestia polityczna. Andrzej Wójcik, współzałożyciel fundacji Wolność od Religii: – Największy problem tkwi w rodzicach. Na zbyt wiele pozwalali i wciąż pozwalają. Co gorsza, często uczestniczą w tym wszystkim świadomie. Pojawiają się aktywne osoby i jest ich coraz więcej, ale to wciąż są jednostki, którym przypina się łatkę pieniaczy zapominających, że „żyją w katolickim kraju", a nawet wyrzuca im, że „nie są prawdziwymi Polakami".

Andrzej Wójcik opisuje najczęstszy mechanizm tej samonakręcającej się spirali: – Choć, jak pokazują sondaże, regularnie do kościoła chodzi już najwyżej połowa Polaków, ogromna większość społeczeństwa i tak chrzci dzieci, bo np. życzy sobie tego babcia czy teściowa. I to jest początek problemów, bo jeśli raz powiedziało się „tak", trudno potem z tego się wypisać. Później bowiem ma przyjść komunia – i pojawiają się dylematy w rodzaju: „Jeśli nie zapiszę dziecka na religię, to co ja powiem rodzinie, gdy ono nie pójdzie do komunii?". Boją się też, że „dziecku będzie przykro", bo przecież plan III klasy jest zupełnie podporządkowany majowej uroczystości. Zresztą nie chodzi tylko o komunię. Szkoły zamyka się również na czas rekolekcji, odbywających się np. w salach gimnastycznych. Co więcej, dzieci nagminnie są przez szkołę zapisywane na religię z automatu – lub od rodziców bezzasadnie żąda się oświadczeń o nieuczestniczeniu dziecka w katechezie. Odnosimy wrażenie, że szkoły wymagają tego rodzaju kwitów tylko po to, by rodzic machnął ręką: „Niech już idzie na tę religię, nie będę tego wszystkiego wypełniał". Taka postawa rodziców jest najwyraźniej celem Kościoła i współpracujących placówek.

Dorota Wójcik: – Bardzo często słyszymy od rodziców, i to nawet ateistów, którzy zgodzili się na katechizację, że „na religii dzieci czegoś się przecież nauczą". Powszechnie posługują się też absurdalnym argumentem w rodzaju: „Zapiszę dziecko, by miało sakramenty, a potem niech samo decyduje". Problem w tym, że państwo polskie zupełnie abdykowało w kwestii umożliwienia apostazji osobom, które chcą wystąpić z Kościoła. Nie mamy jak tego prawa egzekwować, jesteśmy skazani na łaskę proboszczów. Dlatego już sam chrzest pozbawia dziecko wyboru.

Koronawirus – nowa broń w walce o dusze

Na koniec najnowszy punkt na liście problemów z religią w szkole. Piotr Pawłowski: – Jedna z gdyńskich szkół wprowadziła do regulaminu zapis, że jeśli religia odbywa się między innymi lekcjami – a to sytuacja nagminna – dzieci na nią nieuczęszczające mają zostać w sali, gdzie jest prowadzona, i zająć się cichą nauką. Interweniowałem w tej sprawie i zapis został wycofany – podpowiem, że zwykle powołujemy się tu na art. 194 Kodeksu karnego. Przypuszczam, że tego typu pomysł może niestety pojawić się w wielu szkołach.

Andrzej Wójcik potwierdza, że i on miał w tej sprawie telefony od rodziców. – Ten problem szczególnie niepokoi w kontekście czynnika, który obserwujemy w ostatnich latach – na religię w niektórych przedszkolach zapisuje się nawet trzylatki. Dzieci, które nie uczęszczają na religię, są wysyłane do innej sali jak za karę, a w małych przedszkolach często po prostu odsuwa się je do jakiegoś kąta. Teraz, w czasie pandemii, problem się nasila. Potem w salach przedszkolnych słychać takie dialogi: „– Dlaczego Krzysio nie może siedzieć z nami? – Bo mamusia się nie zgadza, by uczył się o Jezusku". I Krzysio wraca do domu z płaczem. To bardzo przykre. Młodzież w liceach zapewne sobie poradzi, ale jeśli chodzi o przedszkolaki, mam ściśnięte serce. Martwi mnie też to, że treści religijne są często niedostosowane do wieku dzieci, na co skarżą się nawet wierzący rodzice. Te historie jak z horroru śnią się potem dzieciom po nocach – są w nich anioły, śmierć, diabeł, ukrzyżowany Jezus i jego męczeńska śmierć. Dzieci są tym naprawdę przerażone.

Anna Walczak

eprasa.pl c677e76dad

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Dlaczego kibli nie ma w konstytucji?

Niestety, grube akcje polityczne w rodzaju bezobjawowego trzęsienia ziemi w rządzie, wejście Jarosława Kaczyńskiego w stopniu nadgenerała, nadadmirała, nadagenta do gabinetu Morawieckiego, żeby poskramiać chłopięce potyczki premiera z ministrem sprawiedliwości, sprawiają, że umykają nam z kręgu zainteresowań rzeczy naprawdę ważne. A za taką uważam akcję aktywistów miejskich ze stowarzyszenia Miasto Jest Nasze, które rozreklamowało powstanie aplikacji AirPnP.

Działa ona na wzór legendarnie sławnej i zakazanej w najciekawszych miastach Europy aplikacji AirBnB, pozwalającej nocować w prywatnych mieszkaniach, wedle modnej parafilozofii *sharing economy* (dzielenia się), co *de facto* sprowadza się do omijania istniejących sieci noclegowych (hoteli, moteli, hosteli), niepłacenia podatków, stworzenia i zalegalizowania sieci sztucznych pustostanów na wynajem dla turystów, kiedy mieszkańcy miast nie mają gdzie mieszkać, a władze nie śpieszą się żadną miarą do rozwiązania problemu mieszkaniowego. Aplikacja AirPnP miałaby pomagać nam (w tym wypadku akurat chodziło o Warszawę – na początek) w zaspokojeniu podstawowych potrzeb fizjologicznych, takich jak za przeproszeniem wydalanie, m.in. moczu, ale nie tylko.

Aplikacja miała stworzyć system, który byłby remedium na skrajny brak dostępnych toalet publicznych w mieście. W radosnej poetyce cyfrowego kapitalizmu zachwalała się sama: „AirPnP, Skorzystaj, Udostępniaj swoją przestrzeń, Pozwól innym skorzystać" z kluczowym zaklęciem naszej epoki na koniec: „ZARABIAJ!". A dalej idzie już przejrzyście: *„Air Poo and Pee* (w skrócie AirPnP) to nowa usługa łącząca ludzi. Każdy z nas ma podstawowe potrzeby fizjologiczne. Wielu z nas ma problem z korzystaniem z publicznych toalet. Często trudno jest szybko znaleźć toaletę, która jest blisko lub jest dostatecznie czysta. Teraz nie musisz już się o to martwić". Wystarczy mieć telefon! Znajdź najbliższą toaletę! Oceny innych użytkowników zapewnią ci czystość i higienę. Nie masz gotówki? Aplikacja rozliczy cię dzięki transakcjom bezgotówkowym! Ale jeśli jesteś po drugiej stronie sławojki, to możesz na tym zarobić! Masz zadbaną toaletę? Udostępnij ją innym! Zarabiaj! Zarabiaj! Zarabiaj!

Odzew był spory, sypnęło pytaniami, dało się zauważyć entuzjazm i powszechne zrozumienie problemu. I czytelny projekt rozwiązania, akceptowany bez słów, bo zgodny z obowiązującym poglądem na świat wyrażonym w słynnym bon mocie Margaret Thatcher z lat 80.: „Nie ma darmowych defekacji".

Cóż, aplikacja była żartem. Miarą jego celności był wyżej wspomniany odzew. Po prostu kiedyś po drodze (historii przez małe h) zgubiliśmy pytanie, czy mając prawo do godnego życia w nowoczesnym, bogatym państwie XXI-wiecznej Europy, mamy jakieś szanse na sprawne, godnościowe skorzystanie z wynalazku cywilizacyjnego, jakim jest toaleta, a na dodatek toaleta publiczna, czyli dostępna, nietrudna do znalezienia, darmowa, czysta. Pytanie uległo anihilacji, bo odpowiedź wydawała się oczywista, wygłaszała ją nasza rzeczywistość: nie, nie macie takich szans, bo nie macie takiego prawa. Prawo do zaspokojenia elementarnych potrzeb fizjologicznych wypadło poza spektrum zainteresowania władz miast, miasteczek, wsi, państw. Ten rodzaj zaspokojenia czegoś, co jest codziennością ludzkiej natury, nie trafił nigdy na sztandary politycznego projektu, na afisz postulatów, nie było czasu na debatę (jak przeważnie to bywa). Cywilizacyjna cofka stała się faktem. Toalety publiczne umarły w ciszy i zapomnieniu, ożyły dekadę, dwie później, kiedy zaczęły pełnić funkcję małej gastronomii.

Mocz i kał? To urąga idei wolnej Polski. Chyba że zapłacisz. Nikt ci tego nie zapewni. Pamiętam, że rzecznik praw obywatelskich prowadził sprawę pewnego staruszka, któremu odmówiono możliwości skorzystania z toalety w banku, kiedy załatwiał tam jakąś sprawę, i skończyło się to upokorzeniem i nieprzyjemnym incydentem. W końcu zajął się tym sąd i nakazał zapewnienie dostępności toalety. Miasto Jest Nasze, przy okazji żartu, przerobiło na dostępną w telefonie mapę toalet publicznych w Warszawie (https://mapa.airpnp.pl/?fbclid=IwAR3gjnT40FmKtsu-9UNX-R_BAVUn-JQI-mgd31uSNa-6REMCdZ0OvJhcNLU8U). Ale sąd nad niedostępnością tej podstawowej usługi publicznej w skali państwa, a nie tylko miast, wciąż się nie odbył. Ciszej nad tą fizjologią? Żeby się po ludzku wysikać albo… trzeba wrzeszczeć. Te toalety nam się po prostu należą! I to darmowe, czyste, zadbane, gęsto rozsiane i łatwe do znalezienia. Bez aplikacji.

eprasa.pl c677e76dad

Hulaj, grypo, wolna droga

Zdobycie szczepionki na grypę to dziś jak wygrana na loterii. Jest dostępna w 1% aptek

Anna Brzeska

– Czy można już się zapisać do lekarza, by zaszczepić się na grypę?

– O, proszę pani, musi pani najpierw znaleźć aptekę, gdzie będzie szczepionka. Jeśli zbada się pani teraz i nie dostanie szczepionki w aptece, wizyta u lekarza nie ma żadnego sensu. Następnego dnia nie będzie już ważna i trzeba będzie ją powtórzyć.

– W zeszłym roku też tak było?

– Nie, rok temu pacjent mógł po prostu zapisać się do lekarza w dogodnym terminie. Po badaniu, potwierdzającym, że jest zdrowy, dostawał receptę – szedł do apteki i wracał do przychodni tego samego dnia z wykupioną szczepionką. Tylko czasami zdarzało się, że w jakiejś aptece należało czekać dwa-trzy dni na dostawę. W tym roku trzeba najpierw znaleźć aptekę. Wiele z nich prowadzi już listy oczekujących.

– Czyli najlepiej zapisać się na taką listę i gdy będę znała datę dostawy, mogę zapisać się do lekarza?

– To też nie jest takie proste. Z doświadczenia wiem, że apteka może mieć obiecaną pewną liczbę szczepionek, a potem w dostawie będzie ich mniej niż chętnych. Moim zdaniem to wina rządu, że nie zadbał o dostateczną liczbę szczepionek dla naszych obywateli.

To przebieg mojej rozmowy z rejestratorką w przychodni. W portalu www.gdziepolek.pl czytam, że szczepionka jest dziś dostępna w 1% aptek. Znajomi również alarmują – preparaty są w tej chwili nie do zdobycia. Tylko jedna z koleżanek chwali się, że zaprzyjaźniona farmaceutka obiecała odłożyć kilka dla jej rodziny. Wciąż nie ma także szczepionek w przychodniach. W internecie trafiam na plotkę, że np. w Luxmedzie będą tylko dla pacjentów mających szczepienia w wykupionych pakietach medycznych. Jednak dział komunikacji Grupy Luxmed tego nie potwierdza. „Z informacji od producenta wiemy, że szczepionka dedykowana na rynek prywatny w Polsce (...) będzie dostępna pod koniec września. Po otrzymaniu dostawy niezwłocznie umożliwimy Pacjentom umawianie się na konsultacje z lekarzem kwalifikujące do szczepień”, czytam w mejlu od firmy. Pozostaje czekanie, dopytywanie i regularne polowania. Pomocny w tym może być portal www.gdziepolek.pl, który informuje o dostępności szczepionek i podaje komunikaty w sprawie sprowadzania kolejnych partii od producentów.

Pandemia – skuteczna kampania promocyjna

Dlaczego szczepionki na grypę nie ma? W Polsce preparaty dostarczane są przez trzy koncerny: Sanofi Pasteur, Mylan i AstraZeneca. Rozmawiam z Magdaleną Owoc, reprezentującą Mylan Polska. – Wzmożone zainteresowanie szczepionką wywołała pandemia COVID-19. Do tego doszły wypowiedzi ekspertów zachęcających do szczepienia się – tłumaczy – oraz ogłoszenie refundacyjnego sukcesu przez rząd. Od 1 września szczepionki są bowiem bezpłatne dla seniorów powyżej 75. roku życia, a w 50% (będzie więc trzeba zapłacić za nie ok. 22 zł – red.) refundowane dla osób powyżej 65 lat, dzieci w wieku 3-5 lat, osób w wieku 18-65 lat mających wskazania do szczepienia ze względu na choroby przewlekłe oraz kobiet w ciąży.

Jednym z przykładów proszczepiennej kampanii jest wypowiedź prof. Adama Antczaka, przewodniczącego Rady Naukowej Ogólnopolskiego Programu Zwalczania Grypy. Udzielił jej w lipcu w rozmowie z PAP: – Jest na 100% pewne, że we wrześniu sezon zachorowań na grypę zbiegnie się z falą zachorowań na COVID-19. Z tego powodu

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl c677e76dad

bezwzględnie wszyscy powinniśmy zaszczepić się przeciw grypie.

Choć ekspert przyznał, że nie ma żadnych dowodów, by szczepienie przeciw grypie chroniło nas przed koronawirusem, podkreślił jego znaczenie dla naszej odporności: – Wiadomo, że regularne szczepienie przeciw grypie łagodzi przebieg infekcji, jeśli mimo szczepienia choroba się przydarzy, chroni również przed groźnymi powikłaniami. Szczepieni na grypę pacjenci rzadziej zapadają na wszelkie inne infekcje wirusowe.

Do szczepień przeciwko grypie zachęcali też w mediach minister zdrowia i główny inspektor sanitarny. Na efekt słów ekspertów i decyzji o refundacji nie trzeba więc było długo czekać: gdy tylko skończyły się wakacje, ludzie rzucili się do aptek. I stało się to, zanim większe dostawy dotarły od producentów do hurtowni. Jak stwierdza Magdalena Owoc, w ten sposób powstała pewna luka, ponieważ rok temu zainteresowanie szczepionkami było znacznie mniejsze. – Do tej pory nakłady szczepionek przeciwko grypie na polski rynek nie były duże, ponieważ nie cieszyły się popularnością. Tymczasem produkcja planowana jest właśnie na podstawie wyszczepialności w poprzednim roku – wyjaśnia. – Wiemy natomiast, że w poprzednich latach 5-10% niewykorzystanych preparatów trzeba było utylizować. Najczęściej szczepili się seniorzy, w sumie wyszczepialność była na poziomie 4% (według danych MZ wykonano 1,6 mln szczepień, zutylizowano ok. 100 tys. preparatów – red.). W tym roku bardzo trudno oszacować, ile osób, które obecnie deklarują chęć zaszczepienia się, rzeczywiście to zrobi. Na pewno będziemy obserwować te liczby – i na tym oprzemy planowanie produkcji na kolejne lata.

Ile ich będzie?

Firma Mylan planuje dostarczyć na polski rynek 500 tys. szczepionek, dostawa do aptek przewidywana jest na pierwszy tydzień października. – Cały czas trwają rozmowy z Ministerstwem Zdrowia o możliwości dodatkowych dostaw – mówi przedstawicielka producenta. – Ile trafi do Polski szczepionek z naszej dodatkowej puli – to jest z 200 tys. szczepionek przeznaczonych na rynek europejski – nie jesteśmy w stanie teraz powiedzieć. Oczywiście staramy się, by było ich jak najwięcej, ale trzeba zaznaczyć, że te szczepionki już są wyprodukowane, a sam proces produkcji trwa około sześciu miesięcy. Nie jest więc już możliwe wyprodukowanie teraz kolejnych partii, by zdążyć je dostarczyć przed końcem roku.

Sanofi Pasteur zapowiada dostawę 1,2 mln szczepionek – o 31% więcej niż w zeszłym roku. Będą one wysyłane partiami w kolejnych miesiącach.

Jak tłumaczy Magdalena Owoc, szczepienie się ma sens nawet do końca roku, choć najlepiej to robić od września do listopada – czas nabywania odporności od momentu szczepienia trwa dwa-trzy tygodnie.

Firma AstraZeneca nie zgodziła się ujawnić, ile szczepionek wyśle do Polski. Jej przedstawiciel zaznaczył tylko, że trwają rozmowy z polskimi władzami o znacznym zwiększeniu dostaw szczepionek donosowych dla dzieci. Zadeklarowano tu „dużą otwartość".

> W poprzednich latach 5-10% niewykorzystanych szczepionek trzeba było utylizować.

Żadna z firm nie chce komentować zarzutu wobec ministra zdrowia, że zbyt późno zainteresował się zakupem większej liczby szczepionek. Magdalena Owoc z firmy Mylan raczej broni polskich władz: – I tak zrobiono bardzo dużo, zważywszy na okoliczności, choćby decyzją o refundacji i interwencją w kwestii liczby szczepionek. Uważam, że nikt – ani producenci, ani ministerstwo – nie był w stanie w początkach roku przewidzieć tak dużego wzrostu zainteresowania szczepionkami.

18 września, podczas konferencji prasowej, minister zdrowia Adam Niedzielski poinformował, że na razie efektem rozmów strony publicznej z producentami ma być sprowadzenie do Polski ponad 2,5 mln szczepionek – szef resortu nie chciał podać tu dokładnej liczby. Zapowiedział jednocześnie, że wyszczepialność ma być dwukrotnie wyższa niż w ubiegłym roku, ale to oznaczałoby, że do Polski musi trafić grubo ponad 3 mln preparatów.

Warto też zaznaczyć, że samych tylko zatrudnionych w placówkach ochrony zdrowia (m.in. lekarzy, pielęgniarek, położnych, ratowników medycznych, diagnostów laboratoryjnych) – i to nie licząc farmaceutów w aptekach czy innego personelu w szpitalach – jest co najmniej 360 tys. (według danych na rok 2018). Oni powinni szczepić się bezwzględnie. Co więc z kobietami w ciąży, dziećmi, seniorami czy osobami przewlekle chorymi, jeśli zainteresowanie szczepionkami będzie jednak większe? Wtedy może nie wystarczyć obowiązujące od 18 września zarządzenie Ministerstwa Zdrowia, by apteki nie wydawały więcej niż jedną szczepionkę na jednego pacjenta (nie licząc dzieci poniżej dziewiątego roku życia – ze względów medycznych są one szczepione dwiema dawkami). Jak poinformowało mnie biuro prasowe MZ, na razie nie jest planowane dodatkowe ograniczanie dostępności szczepionek tylko do grup ryzyka, ale sytuacja jest monitorowana.

Minister zdrowia podczas konferencji nie chciał odpowiedzieć na pytanie jednego z dziennikarzy, dlaczego jeszcze wiosną resort nie postarał się o zwiększenie dostaw szczepionek. Uciął temat – nie on był wtedy ministrem zdrowia.

Sto lat walki z grypą

Znaczących odkryć w kwestii radzenia sobie z grypą dokonano podczas pandemii hiszpanki w latach 1918-1919 – jak się później okazało, odpowiedzialny był za nią typ A wirusa grypy, a konkretnie groźny podtyp H1N1. Poprzednio sądzono, że chorobę wywołują bakterie. Dzięki wcześniejszym odkryciom Roberta Kocha i Louisa Pasteura badacze byli w stanie wytwarzać skuteczne filtry, które tych mikroorganizmów nie przepuszczały. To właśnie eksperymenty z ich użyciem pozwoliły stwierdzić, że istnieją drobnoustroje mniejsze od dotychczas znanych.

Prowadzone w latach 30. udane eksperymenty wyhodowania wirusów stały się bodźcem do wzmożenia wysiłków w celu stworzenia działającej szczepionki przeciwko wirusowi grypy. Wynalazcami tej, która okazała się skuteczna, byli Thomas Francis i Jonas Salk. Pierwszymi pacjentami, którzy z niej skorzystali (w 1945 r.), byli amerykańscy żołnierze walczący

eprasa.pl c677e76dad

na frontach II wojny światowej. Już wtedy do namnażania wirusów wykorzystywanych w szczepionkach używano kurzych jaj – i to one stosowane są najczęściej do produkcji współczesnych szczepionek.

Ponieważ wirus grypy silnie mutuje, publiczne ośrodki badawcze co roku badają aktualnie występujące linie. W Polsce jest to Zakład Badania Wirusów Grypy należący do Krajowego Ośrodka ds. Grypy w NIZP-PZH. Wyniki są następnie przesyłane do jednego z pięciu centrów WHO na różnych kontynentach – polscy naukowcy współpracują z ośrodkiem w Londynie. Na podstawie tych badań WHO wydaje wytyczne dla komercyjnych producentów co do składu szczepionek w kolejnym sezonie.

Jaka jest skuteczność szczepionki w zapobieganiu zachorowaniom? Jak ustalili amerykańscy naukowcy w ubiegłym sezonie, ogólnie osiągnięto efektywność na poziomie 45% (była ona wyższa u dzieci – 55-56% niż u dorosłych – 25-43%).

Polska jak zwykle na końcu

Niestety, mimo corocznych zachęt i apeli Polacy na grypę szczepić się nie chcą. Pod tym względem jesteśmy w Europie na szarym końcu. Ambitne plany WHO i Rady Europejskiej w 2009 r. były zresztą takie, aby przynajmniej wyszczepialność seniorów w krajach UE sięgnęła 75% do 2015 r. Mamy rok 2020, a bliska zamierzonego rezultatu jest tylko Wielka Brytania, gdzie wyszczepialność osób 65+ wyniosła w 2018 r. 72%. W Irlandii zaszczepiono ponad 68% seniorów, w Holandii niecałe 63%. W Polsce nie udało się przekroczyć… 10% (9,7%). Gorzej niż u nas jest tylko w Bułgarii – nieco powyżej 2%.

Jeśli chodzi o osoby przewlekle chore, najlepiej wypadają: Irlandia (ok. 60% wyszczepialności w tej grupie), Wielka Brytania (ok. 50%), Francja (ok. 40%) i Holandia (ok. 35%). Podobnie jest z kobietami w ciąży – przodują Brytyjki i Irlandki. Polski w ogóle nie widać w większości zestawień europejskich agend.

W Irlandii zaszczepiono ponad 68% seniorów, w Holandii niecałe 63%. W Polsce nie udało się przekroczyć 10%.

Jak udało się krajom Europy Zachodniej osiągać tak dobre wyniki? Przykładem może być przeprowadzona w Wielkiej Brytanii kampania dotycząca najmłodszych pacjentów. W 2013 r. uodparnianie dzieci na grypę zostało objęte Narodowym Programem Szczepień – oznaczało to oczywiście darmowe szczepienia (obecnie są bezpłatne dla dzieci do siedmiu lat oraz dzieci i młodzieży z chorobami przewlekłymi). Kluczową rolę odegrały bezpośrednie działania lekarzy rodzinnych – przychodnie zapraszały rodziców i dzieci na szczepienia za pomocą mejli, listów, a nawet telefonów czy SMS-ów. W Irlandii Północnej na dzieci czekały w przychodniach wydrukowane formularze. W Szkocji do wizyt zachęcano pacjentów także za pomocą ulotek czy materiałów wideo. Wprowadzono nawet – i to wydaje się znaczące – monitoring przypadków niezgłaszania się rodziców na zaplanowane wizyty lub niekorzystania z zaproszeń. Ośrodki zdrowia wyznaczały lekarza, który odpowiadałby za wyszczepialność pacjentów.

W Polsce zabrakło tak intensywnych, centralnie zarządzonych przez ministerstwo działań – program bezpłatnych szczepień prowadziły w ostatnich latach tylko niektóre samorządy czy zakłady pracy. Choć pewne grupy mogą się cieszyć, że dla nich szczepionka jest o połowę tańsza, płatne szczepienia wciąż najwyraźniej traktowane są jako kolejny wciskany nam przez reklamy produkt medyczny. Lekarze wprawdzie często zachęcają pacjentów do szczepień, również w mediach, ale wiele zależy tu od postawy konkretnego medyka. Jako przykład podam własne doświadczenie: nasza lekarka rodzinna – skądinąd kompetentna i mamy do niej pełne zaufanie – ani razu nie wspomniała o tego rodzaju profilaktyce, a dodam, że leczymy się u niej i szczepimy dzieci już szósty rok.

Do tego dochodzi inny problem. Mimo że – jak pokazały badania CBOS – rośnie zaufanie Polaków do szczepień w ogóle – szczepionki przeciw grypie wciąż uważane są za niepotrzebne. W sondażu przeprowadzonym przez „Wprost" w sierpniu 2020 r. aż 55% ankietowanych – w ślad za prezydentem Andrzejem Dudą, który na grypę się nie szczepi, bo „uważa, że nie" – odpowiedziało, że się nie zaszczepi. Tylko 8% zadeklarowało zdecydowaną wolę szczepienia. Co gorsza, problemy z dostępnością szczepionek mogą zniechęcić wielu pacjentów do starań o ich zdobycie. I wtedy, mimo wzmożonego zainteresowania, wyszczepialność i tak znacząco się nie podniesie.

Anna Brzeska

eprasa.pl c677e76dad

Kapitalizm i realizm

Andrzej Szahaj

Co jest nie tak z coachingiem?

Zdarza mi się zajrzeć do tzw. prasy kobiecej. I to wcale nie do kolorowych magazynów, ale do prasy mainstreamowej (np. „Wysokich Obcasów"). Już od lat znajduję tam porady coachów, głównie kobiet, choć zdarzają się także prominentni mężczyźni mający status celebrytów. Wszyscy pracują w jakichś instytutach z uczonymi nazwami, czasami faktycznie afiliowanych przy uczelniach (głównie prywatnych, co nie jest przypadkowe). Zastanawiam się, dlaczego czytając ich wynurzenia albo wywiady z nimi, mam dziwne wrażenie, że coś tu nie gra.

To wszystko osoby dobrej woli, zaangażowane i z pewnością chcące nieść pomoc bliźnim. Nie odmawiam im zatem szlachetnych intencji. Z pewnością nie chodzi tu jedynie o pieniądze, choć coaching to dziś dochodowy biznes. Skąd zatem to dominujące wrażenie nietrafności całego projektu życiowego doradztwa, treningu personalnego? Rzecz w tym, co kryje się u jego filozoficznych podstaw. To założenie, że coś jest nie tak z nami, a nie z systemem ekonomicznym i społecznym, w jakim żyjemy. Coaching ma za zadanie sprawić, abyśmy byli lepiej dostosowani do *status quo*. Szuka problemów w nas, a nie w otaczającym świecie. Mówi: jeśli przegrywasz, to twoja wina, zmień się! Jest to typowy przykład strategii indywidualnej odpowiedzi na kolektywne problemy. Wspaniały prezent, jaki środowisko psychologów składa systemowi, który najpierw wpędza nas w kłopoty, a potem wysyła coachów, aby nas „naprawili".

System najpierw wpędza nas w kłopoty, a potem wysyła coachów, aby nas „naprawili".

Coaching odwraca uwagę od faktycznych przyczyn naszych kłopotów. Stawia na indywidualistyczne radzenie sobie z problemami, które mają podłoże społeczne, czym idealnie wpisuje się w dominującą od dziesięcioleci ideologię neoliberalizmu. Namawia nas do tego, abyśmy lepiej zarządzali sobą pojmowanym jako małe przedsiębiorstwo, którym trzeba tak kierować, aby „wyjść na swoje". Już wielki socjolog niemiecki Max Weber zauważył, że taki sposób myślenia o człowieku jest znakiem stawania się istotą rynkową, czyli kimś, kto stara się wpisać w logikę osiągania zysków i realizacji swoich interesów bez oglądania się na innych. Analizy te wiele lat temu pogłębił historyk i filozof francuski Michel Foucault. Z analiz Webera i Foucaulta jasno wynika, że życie w systemie kapitalistycznym powoduje, iż uznając jego zasady za oczywiste i naturalne, staramy się do niego dostosować.

Nie wszystkim jednak to się udaje. Część ludzi wciąż przypuszcza, że sens życia nie może się sprowadzać do intensywnej pracy i nieograniczonej konsumpcji, że bezwzględna rywalizacja jest czymś złym, a egoizm nie zasługuje na aprobatę. Pojawia się w nich niepokojąca myśl, że marnują swoje życie, traktując siebie jak inwestycję, która musi się opłacić (być może jest to jeden z ostatnich śladów myślenia religijnego w nieomal całkowicie ześwieczonym świecie Zachodu). Coaching jest daremną próbą spowodowania, aby jednostka mająca wątpliwości co do sensu swojego życia wykształciła w sobie mechanizmy obronne, które pozwolą jej dalej funkcjonować, a jednocześnie nie czuć dyskomfortu psychicznego.

Rozwój osobowy, o którym w tym kontekście zwykle się mówi, to najczęściej próba uczynienia nas bardziej efektywnymi pracownikami tego systemu, tym bardziej że dzisiejszy kapitalizm kognitywny wymusza coraz efektywniejszą pracę emocjami. Chodzi w nim bowiem o wzbudzenie w kimś stosownych pragnień konsumpcyjnych, wywarcie wrażenia, zbudowanie atrakcyjnej opowieści, sprzedanie jakiejś wizji życia i związanego z nią zestawu przedmiotów, narzucenie swojej interpretacji dostępnych informacji i wykreowanie swoich własnych. A wszystko to domaga się pełnego zaangażowania całej osoby, najlepiej trwającego 24 godziny na dobę.

Coaching w najbardziej uproszczonej wersji to pochodna całego przemysłu poradników życiowych, który kwitnie w USA od wielu dziesięcioleci. Za jego sprawą większość Amerykanów jest przekonana, że ich wzorem życiowym powinien być Donald Trump. U ich kulturowych źródeł tkwi filozofia XIX-wiecznego pisarza amerykańskiego Horatia Algera, autora ponad 100 książek, w których prezentował on swoją „ewangelię bogactwa", twierdząc, że każdy może zostać milionerem, jeśli się tylko postara (to on jest autorem hasła „od pucybuta do milionera"). Jednak nawet w wydaniu bardziej wyrafinowanym coaching to projekt ideologicznie wątpliwy. Szuka bowiem przyczyn kłopotów nie tam, gdzie one faktycznie leżą. W ten sposób przyczynia się do utrzymywania ludzi w śpiączce intelektualnej, bardzo korzystnej dla systemu, który ludzi zużywa, a następnie wypluwa.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl c677e76dad

Ewa Smolińska-Borecka

Zgoda na przeszczep

Liczba „składaków" i „przeszczepków", jak sami o sobie mówią, jest wciąż mała

Mówi się o nich dawcy narządów. Ale to przekłamanie. Bo zwykle albo giną na miejscu, albo ich narządy są tak poturbowane, że nie nadają się do przeszczepu. W niedzielę, 20 września, w porze poobiedniej, około godz. 16.40, drogą wojewódzką nr 482 biegnącą przez województwo łódzkie podróżowało motocyklem w kierunku Warszawy dwóch dwudziestoparolatków. W Nowym Ochędzynie z drogi podporządkowanej wyjechało bmw kierowane przez 23-latka. W starciu bmw z motocyklem przegrał oczywiście ten drugi – kierujący motocyklem został zabity, a jego pasażer wyrzucony na przeciwległy pas i najechany przez busa, w wyniku czego zmarł. Powiedzenie o dawcach narządów znów się nie sprawdziło.

Czekanie

Od jednego człowieka można pobrać w najlepszej sytuacji kilka narządów wewnętrznych: serce, dwa płuca, dwie nerki, wątrobę, trzustkę, a do tego dwie rogówki i ewentualnie kończynę. Od motocyklisty i jego pasażera, którzy zginęli na miejscu zdarzenia, nie można było pobrać nic.

W 2019 r., jak podaje Poltransplant, było 502 dawców, a wykonano dzięki ich narządom 1473 przeszczepy, głównie nerek – 907, wątroby – 330 i serca – 145. Pod koniec ubiegłego roku na przeszczep oczekiwało 1947 osób, najwięcej na przeszczep nerki – 1165, serca – 462 i wątroby – 128. W przeliczeniu na milion mieszkańców najwięcej zmarłych dawców było w województwie zachodniopomorskim – 25, a najmniej w podkarpackim – poniżej pięciu.

Pandemia na szczęście nie spowodowała zatrzymania transplantacji narządów. Centrum Organizacyjno-Koordynacyjne ds. Transplantacji Poltransplant podaje, że od początku tego roku do końca sierpnia wykonano 859 przeszczepów, najwięcej nerek – 527, a serc 108. W jednym z pierwszych miesięcy pandemicznych, w kwietniu, do transplantacji trafiły organy od 16 dawców. Wykonano wówczas 32 transplantacje nerki, czyli od każdego dawcy pobrano obie nerki; wątroby – 9, serca – 8, płuca – 5. Razem 54.

Pod koniec sierpnia liczba oczekujących na przeszczep w Polsce wynosiła 1821 osób. Jeśli chodzi o narządy wewnętrzne, najwięcej pacjentów oczekiwało na nerki – 1029, drudzy w kolejności byli oczekujący na przeszczep serca – 438, mniej osób potrzebowało przeszczepu płuc – 152 i wątroby – 132.

Są szpitale, szczególnie powiatowe, gdzie nie podejmuje się wysiłku, by pobierać narządy do przeszczepów.

Jakby bez powodu

Józef Szczepanik niechętnie wraca do tamtych dni sprzed 18 lat. On i jego żona Hanna do dziś mają traumę. To był ostatni dzień przed feriami wielkanocnymi. Ania, ich córka, miała prawie 19 lat, chodziła do ostatniej klasy Technikum Ekonomicznego w Łowiczu i w maju miała zdawać maturę. A tego dnia powiedziała mamie: „Pójdę do szkoły, pogram w siatkówkę". Poszła. Na treningu było 16 dziewczyn i nauczycielka WF. W czasie gry Ania poczuła się źle, powiedziała koleżankom, że musi zaczerpnąć powietrza, i zeszła z boiska. Podeszła do okna. A potem, kiedy poczuła się lepiej, usiadła przy grzejniku. Wtedy zemdlała. Ktoś zadzwonił do jej rodziców, powiedział, że córka straciła przytomność. Koleżanki ułożyły ją na wznak na podłodze, nogi położyły na krześle, żeby były wyżej. Ania udusiła się własnym językiem. Przyjechało pogotowie, ale akcję serca przywrócono dopiero 40 minut po jej ustaniu, już w szpitalu.

Na OIOM Ania trafiła w środę. Rodzice mieli nadzieję, że wszystko dobrze się skończy. Ale w piątek powiedziano, że sytuacja jest zła.

eprasa.pl c677e76dad

Szczepanik sprowadził zaufanego lekarza z innej placówki, żeby też się wypowiedział na temat stanu córki. Od neurologa usłyszeli jednak: „Nie będę państwa oszukiwał, tu nie ma żadnych oznak życia". Dwa razy zebrało się konsylium lekarskie, żeby zdecydować o odłączeniu od respiratora. Po drugim rodzice zostali poproszeni o przyjazd do szpitala. Powiedziano im, że nastąpiła śmierć pnia mózgu. Lekarz spytał, czy zgodzą się na pobranie narządów córki.

– Była we mnie taka ogromna złość, taki bunt z tego powodu, że moja 19-letnia córka nagle znalazła się w takiej sytuacji, że nie chciałem się zgodzić – wspomina Szczepanik. – Ale żona mnie przekonywała. Mówiła, że przecież mamy kuzyna, który dostał nerkę i miał szczęście, bo dzięki temu żyje. Gdybym wtedy się nie zgodził, pewnie dziś bym żałował. Podjęliśmy słuszną decyzję, bo życia córce i tak bym nie wrócił. Nie powiedziano nam, komu przeszczepiono narządy Ani – bo tego nie wolno, ani jakie to były narządy. Z jakichś przecieków wiemy, że wykorzystano dwie nerki, wątrobę, oczy, a serce można było wykorzystać jedynie na zastawki, bo zbyt długi czas upłynął, nim przywrócono akcję serca.

Gdy opowiada o tamtych dniach, głos mu się łamie. Ale oboje z żoną pamiętają słowa, które padły, kiedy z powodu śmierci córki zamierzali dochodzić swoich praw w sądzie. Wiedząc, że mają jeszcze starszego syna i młodszą córkę, ktoś powiedział: „Żyj dla nich, nie walcz, bo stracisz to, co masz". Dziś on i żona starają się cieszyć synem, córką oraz szóstką wnuków.

Koordynator transplantacji to kluczowa postać w przygotowaniu do przeszczepu. Od jego wiedzy, kultury osobistej, wrażliwości, empatii zależy bowiem bardzo wiele. To on, jeśli ma wszystkie te cechy i umiejętności, jest w stanie przekonać rodzinę do wyrażenia zgody na pobranie narządów. Dr Adam Parulski jest koordynatorem w Poltransplancie i kardiochirurgiem w Narodowym Instytucie Kardiologii – Państwowym Instytucie Badawczym w Aninie, jedynej w tej chwili placówce w Warszawie, która wykonuje przeszczepy serca.

– Największy problem to kwestia zaufania do służby zdrowia – mówi dr Parulski. – Jeśli ktoś czuje się skrzywdzony przez służbę zdrowia, trudno będzie uzyskać jego zgodę. Jeśli zaś rodzina była na bieżąco informowana o stanie zdrowia bliskiego, czuła, że personel dobrze się nim opiekuje i podchodzi do niego z empatią, łatwiej uzyskać taką zgodę. Kiedy pojawiają się w mediach materiały, które w złym świetle pokazują służbę zdrowia, częściej zdarzają się odmowy.

Prawo mówi, że jeśli ktoś nie wyraził sprzeciwu wobec pobrania narządów, można je pobrać, nie pytając rodziny. Sprzeciw można wyrazić w trzech formach: wpisać go do Centralnego Rejestru Sprzeciwów, który prowadzi Poltransplant, zapisać na kartce opatrzonej własnym podpisem albo w obecności dwóch świadków powiedzieć, że nie wyraża się zgody na pobranie narządów. Ale w Polsce lekarze zazwyczaj nie korzystają z prawa, że brak sprzeciwu oznacza domniemaną zgodę. W naszej kulturze byłoby to nie do wybaczenia.

– Jeśli rodzina mówi, że nie, odstępujemy od pobrania narządów – wyjaśnia dr Parulski. – Niekiedy jednak rodzina się zgadza, a potem przyjeżdża z kartką, podpisaną jakoby przez pacjenta, że on się nie zgadza. Czasem wydaje się, że podpis został podrobiony, ale musimy postąpić zgodnie z wolą zapisaną na kartce. Zdarzyło się, że rodzina po fakcie przyznała się do podrobienia sprzeciwu. Rozumiem wątpliwości ludzi, bo gdy widzi się pacjenta, który jest podłączony do respiratora, więc oddycha, serce bije, jest ciepły, a lekarze mówią, że on nie żyje, trudno w śmierć uwierzyć. Człowiek się łudzi, że to nie jest śmierć pnia mózgu. Pień mózgu odpowiada m.in. za oddychanie czy wyrzut hormonów. Śmierć pnia mózgu oznacza śmierć.

Dr Parulski twierdzi, że najmniej zgód na pobranie narządów jest w województwach wschodnich. Ale też uważa, że na wyrażenie zgody nie ma wpływu ani zamożność, ani wykształcenie. Zdarza się, że na pobranie narządów od bliskiej osoby nie zgadza się lekarz. – Są szpitale, szczególnie powiatowe, gdzie nie podejmuje się wysiłku, by pobierać narządy do przeszczepów. Przygotowanie do transplantacji oznacza oddelegowanie jednego lekarza na cały dyżur do tego pacjenta, od którego będą pobierane narządy – dodaje. – Szpital musi wykonać badania, których normalnie tam się nie robi, a bywa, że na każde takie badanie zgodę musi podpisać dyrektor.

Jest strach

Dariusz Borowski ma 64 lata. Kiedy miał 31 lat, przeszedł zawał serca. To był dla niego szok. Potem przez lata był pod opieką kardiologów i przyjmował leki nasercowe. Aż przyszedł moment, gdy lekarz powiedział, że leki nie wystarczą i konieczny jest przeszczep serca.

– Każdy stara się odwlec moment transplantacji – mówi Borowski. – Ja miałem czekać w normalnej kolejce, bo operacja nie była na *cito*. Trwało to cztery lata. Ale w 2006 r. kardiolog ze szpitala przy Banacha w Warszawie wysłał mnie na konsultację do szpitala MSWiA, bo tam wykonywano transplantacje. Zgłosiłem się w poniedziałek na początku września, wykonano badania i w piątek miałem wyjść do domu. Tymczasem o drugiej w nocy z czwartku na piątek przyszedł lekarz i powiedział, że być może będzie serce i w ciągu 15 minut muszę się zdecydować na przeszczep. Przyszła pani psycholog, żeby ze mną porozmawiać. Zgodziłem się na operację. Od zabiegu minęło 14 lat. Mam dwóch kolegów, u których przeszczepione serce pracowało ponad 20 lat, a ostatnio mieli drugą transplantację.

Borowski pamięta, że gdy leżał w szpitalu po operacji, przyszedł do niego psycholog z matką nastolatka oczekującego na przeszczep serca.

Pandemia na szczęście nie spowodowała zatrzymania transplantacji narządów.

Zdarza się, że rodzina nie decyduje się na pobranie narządów, argumentując, że to bezczeszczenie zwłok.

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl c677e76dad

Ona miała zdecydować za nieletniego syna, czy operacja ma się odbyć. Psycholog chciał jej pokazać pacjenta, który transplantację już przeszedł, by uwierzyła w jej skuteczność. Ale nie we wszystkich szpitalach jest taki luksus jak wsparcie psychologiczne. Wie o tym Anna Mierzyńska, psycholog kliniczny, kierownik Pracowni Psychologii Klinicznej w Instytucie Kardiologii w Aninie.

– Nawet rodziny dawców rzadko są otaczane wsparciem psychologicznym – zwraca uwagę. – Powody, które składają się na decyzję rodziny dawcy, są złożone, są nie tylko natury psychologicznej i emocjonalnej. Mogę zakładać, że część osób na fali buntu przeciwko śmierci i bólu nie zgadza się na pobranie narządów. Ale empatia personelu ułatwia wyrażenie zgody. Lecz są szpitale, szczególnie te mniejsze, gdzie dla samego personelu śmierć pacjenta i konfrontacja z rodziną w rozpaczy są bardzo trudnym doświadczeniem. Jeśli nie ma koordynatora do spraw transplantacji, lekarz może nie być gotowy na przeprowadzenie takiej rozmowy. Oświadczenie woli, nawet jeśli pacjent je posiada, nie ma mocy prawnej. Moc prawną ma sprzeciw. Ważne, żeby odpowiednio rozmawiać z rodziną. Jest zasadnicza różnica, czy lekarz pyta rodzinę o zgodę na pobranie narządu, czy też o to, co by ta osoba zdecydowała w takiej sytuacji. Ja uważam, że narządy należą do pacjenta. Rodzina dysponuje wolą zmarłego, a nie jego ciałem.

Bohater ewangeliczny

Zdarza się, że rodzina nie decyduje się na pobranie narządów, argumentując, że to bezczeszczenie zwłok. Boją się, że ksiądz katolicki nie będzie chciał ich bliskiego pochować na cmentarzu albo że zmarły będzie miał problemy na sądzie ostatecznym. Wątpliwości te rozwiewa ks. Piotr Sadkiewicz, proboszcz parafii pod wezwaniem św. Michała Archanioła w Leśnej w diecezji bielsko-żywieckiej. Znany jest szeroko w kraju nie tylko jako entuzjasta oddawania krwi, zgłaszania się do banku szpiku i transplantacji. Idee te szerzy wśród parafian oraz w innych zakątkach Polski. Mówi się nawet o fenomenie Leśnej, bo na 3 tys. parafian aż 800 jest w rejestrze szpiku kostnego.

– Myślę, że moi parafianie doskonale orientują się w sprawach transplantacji – jest przekonany ks. Sadkiewicz. – Wielokrotnie o tym mówiłem w kościele, deklaracje zgody na oddanie narządów leżą w przedsionku, każdy może je wziąć, wypełnić i nosić ze sobą. Kiedy wierni przyjeżdżają na święcenie pojazdów, dostają ode mnie obrazek ze św. Krzysztofem, patronem kierowców, ale z drugiej strony obrazka jest deklaracja zgody na pobranie narządów.

Ks. Sadkiewicz żartuje, że gdyby zaczął mówić parafianom o stanowisku Kościoła wobec transplantacji, toby go wygwizdali, bo u nich temat stał się nudny. Oni to stanowisko znają. – Nie ulega wątpliwości, że świadomość dotycząca nauki Kościoła w sprawie transplantacji kuleje – przyznaje proboszcz. – Jest wielu fałszywych proroków, wiele niedomówień. W piersi muszą się bić księża, którzy nie podejmują tych tematów czy innych zagadnień bioetycznych. Wykładnia papieża Jana Pawła II i przedstawiona w innych dokumentach jasno mówi o przeszczepach. Kościół jest za.

Ks. Sadkiewicz: Młodzi ludzie mają pozytywny stosunek do transplantacji. Starszych chyba już się nie nawróci.

Ale ważne z punktu widzenia Kościoła jest to, że wierny musi wyrazić wolę oddania narządów. W tym przypadku nauczanie Kościoła mówi co innego niż prawo. Bo wyrażenie woli nie ma mocy prawnej, ale zdaniem Kościoła jest konieczne, kiedy rodzina ma decydować o pobraniu narządów. – To jakby testament dotyczący ciała – podkreśla ksiądz. – Sporządzamy testamenty dotyczące naszego mienia, rzeczy materialnych, a o ciele zapominamy. Tymczasem zgoda na pobranie narządów to jeden z najpiękniejszych czynów miłości. Czy może być coś wspanialszego, niż podarować komuś życie? Jeśli chodzi o sprawę pochówku, obawy, że bliski nie zostanie pochowany na cmentarzu, są nieuprawnione. Ksiądz nie ma prawa odmówić pochowania osoby, od której pobrano narządy. Przeciwnie, powinien zrobić jej pogrzeb jako bohaterowi ewangelicznemu. Ale obawiam się, że aspekt kulturowy będzie długo pokutował. Młodzi ludzie mają pozytywny stosunek do transplantacji. Ale problem jest ze starszymi. Ich chyba już się nie nawróci.

Ewa Smolińska-Borecka

eprasa.pl c677e76dad

Niezaszczepiona Rozalka

Lektury szkolne na miarę czasów

Małgorzata Kąkiel

Rozalkę już upiekliśmy w piecu na śmierć. Chora miała się dobrze wypocić, ale zdrowaśki za wolno były odmawiane i dziewczynka nie przetrzymała. Wraz z Rozalką umarł już jakiś czas temu jako lektura szkolna „Antek" Bolesława Prusa. Uznano, że jest zbyt archaiczny i – niektórzy mawiali – zbyt drastyczny, przez tę Rozalkę głównie. Moim zdaniem nowelka nieźle koresponduje z teraźniejszością, bo krążąc wokół zabobonów, antycypuje antyszczepionkowców i antycovidowców. O nich jeszcze utworów nie ma, więc byłaby jak znalazł. Żarty żartami, ale młodzi ludzie potrzebują literatury bliższej swoim doświadczeniom. Pisałam już o obowiązkowej liście lektur (PRZEGLĄD nr 38). Każdy coś by w niej zmienił, lecz jakaś wspólna podstawa musi być. Na podstawie zaś trzeba budować, podsuwać nowe, niegłupie książki. Jest w czym wybierać, proszę dziadków, rodziców, dzieci.

Taka Nelka pije sobie rano kakao i słyszy radiowe ostrzeżenie: „Okropny smog w centrum!". Jejku! Ma dwie głowy, rogi, a jaki ogon? Dopiero podczas jazdy z mamą do miasta dowiaduje się, o co chodzi. To ekohistoryjka Doroty Łoskot-Cichockiej, wydana w serii „Czytam Sobie" (kiedyś wydawcą był Egmont Polska, teraz HarperCollins). Nelka wyskakuje z autobusu i wpada na pomysł: trzeba wyrzucić smog (smoka) z miasta, przecież fajniej byłoby spacerować czy jeździć na rowerze wśród drzew. No to róbmy to! Książeczek i książek poświęconych rozwijaniu świadomości potrzeby ochrony globu znajdziemy teraz bardzo dużo. Chwała wydawcom. Są to zarówno niebolesne, czyli nienudne i nietoporne mentorsko publikacje popularnonaukowe, jak i historie bajkowe. Ot, choćby „Ocieplenie klimatu" Kristiny Scharmacher-Schreiber i Stephanie Marian (Babaryba) – bogato ilustrowany wykład o zmianach zachodzących na Ziemi. Zmiany zachodziły zawsze, ale nie tak błyskawicznie, bo wciąż produkujemy, konsumujemy, przemieszczamy się, a tymczasem na biegunie południowym głodują pingwiny, gdyż ich pożywienie, ryby, nie umie żyć w ocieplającym się morzu, zbyt duża ilość dwutlenku węgla w wodzie wywołuje z kolei zaburzenia węchu u rekinów i nie mogą skutecznie polować. Takie przykłady działają na wrażliwość dzieci, więc dobrze rozumieją one konieczność walki o glob, a przy okazji przyswajają wiedzę (lekcje chemii, fizyki, przyrody). „Dzieci i ryby mają głos! Nie ma planety B!", krzyczy narysowany transparent.

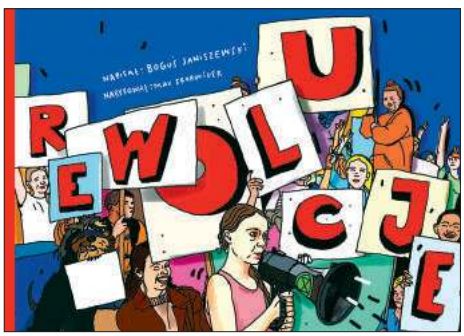

Autorki podpowiadają też, jak w prosty sposób ograniczyć emisję gazów cieplarnianych.

Seria „Akademia Ekowiedzy" (HarperCollins) pokazuje np. rolę wody, uczy recyklingu, informuje o różnych źródłach energii w przyrodzie, a wszystko atrakcyjne edytorsko: krótkie teksty, duże rysunki, propozycje bezpiecznych doświadczeń, gry planszowe, nalepki. Dzieje się! A wiadomości przybywa. Czasem autorzy silniej oddziałują na emocje niż na rozum, np. dąb Hetman z parku w Powsinie wspomina swoje długie życie – urodził się chyba ok. 1750 r. – mówi o strachu przed burzami, o zmianach w otoczeniu (Ewa Winnicka, „Opowieść starego drzewa", seria „Czytam Sobie"). Katarzyna Przyborska oraz Marta Przybył stworzyły historię o zwierzętach w czasie pogłębiającej się suszy („Żaba", wydała Krytyka Polityczna). Coraz bardziej męcząca słoneczna kolorystyka towarzyszy opowieści o umieraniu z pragnienia i głodu, o rodzinnych rozstaniach, a także o niebezpiecznych postawach rodzących się w obliczu zagrożenia. Im mniej wody dla nas, tym bardziej przeganiamy obcych: naszą wodę wypijają, a swojej tam, u siebie, nie upilnowali! Niech sobie stąd idą. Wreszcie tubylcy szukają winnego

Rodzice, nie marudźcie, że nie ma dobrej literatury, że ten świat jest gorszy od waszego. Trzeba go tylko śledzić, nie dając się zwieść komercji.

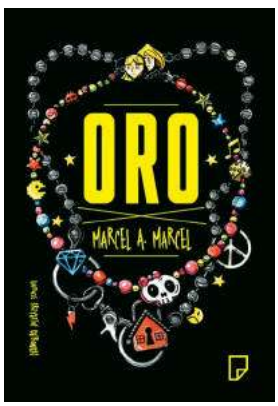

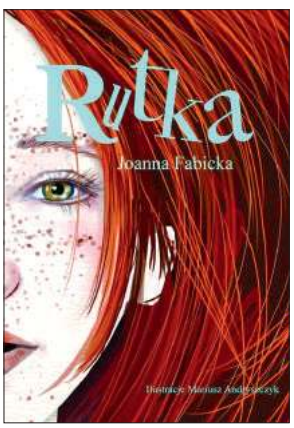

całej trudnej sytuacji, bo dobrze swoją rozpaczliwą bezradność wyładować na kimś.

Obcy, inni, brak tolerancji, okrucieństwo, a czasem poświęcenie to temat wielu bardzo dobrych książek, które powstały w ostatnich latach. Honor swojaków – to jest coś! Do pobliskiego lasu uciekła z fermy króliczka, która nie chciała zostać kołnierzem. Co z tego, że umiera z przerażenia, jest bezbronna i bezradna. Ona obca – to ją zjemy. Zając śpieszy z ratunkiem,

eprasa.pl c677e76dad

oferuje się w zamian. Oszalał, przecież wszyscy z jego dziadkiem w karty tu rżnęliśmy. Choć to tylko kłapouch, ale swój! Jednak – cóż za przewrotność losu – któregoś dnia wszystkie zwierzęta musiały uciekać z lasu, bo ludzie rozpoczęli masowy wyrąb drzew. I teraz one gdzieś tam stały się obce, niechciane. To „Ten i tamten las" Magdaleny Tulli z ilustracjami Alicji Rosé (Wilk&Król). Młodzi ludzie łatwo dziś znajdą utwory podejmujące problem imigracji, cierpienia podczas wojen toczących się nie kiedyś, gdzieś tam, ale blisko (Syria, Afryka, Jugosławia). Wystarczy sięgnąć po: „Wędrówkę Nabu" Jarosława Mikołajewskiego (Austeria), „Chłopca z Lampedusy" Rafała Witka (Literatura), „Kota Karima i obrazki" Liliany Bardijewskiej (Literatura) czy „Moje cudowne dzieciństwo w Aleppo" Grzegorza Gortata (Bajka).

Każde stawianie jakichkolwiek murów kończy się cierpieniem i buntem, rewoltą, o czym brawurowo przypominają dwie książki Bogusia Janiszewskiego (tekst) oraz Maxa Skorwidera (strona plastyczna): „Mury" i „Rewolucje" (Albus). Kompendium wiedzy o wydarzeniach, postaciach historycznych; rozmach plastyczny łączy się tam z przesłaniem: nie wolno izolować się od innych, nie można kpić z czyichś poglądów, postaw, pomysłów, rewolucje zmieniają świat, choć niektóre bywają wyniszczające (jakkolwiek o bezkrwawych też mowa).

Może scena z tą biedną Rozalką nie była aż tak straszna, jak ostatnio zaczęli uważać niektórzy mieszczańscy rodzice („Aż papierowym wzdęte zakalcem, / Wypchane głowy grubo im puchną" – to Julian Tuwim, gdzież ja bym tak śmiała?), którzy notabene oglądają z dziećmi, albo dzieci same, rozmaite okropieństwa na filmach lub w komputerze. Czkawka wychowawcza niekiedy dławi rozsądek. Życie w każdej epoce przynosi wiele problemów, dobra literatura (bo konfekcją się tu nie zajmuję) próbuje to tłumaczyć, pokazywać z rozmaitych stron, uczyć reagowania. Przywołane przeze mnie książki nie straszą, nie dołują, bywają tam szczęśliwe zakończenia albo zakończenia otwarte (czyli wszystko może się wydarzyć), a przede wszystkim są one szczepionką przeciwko złu świata, jego problemom. Literatura

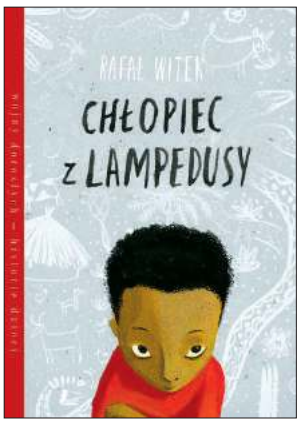

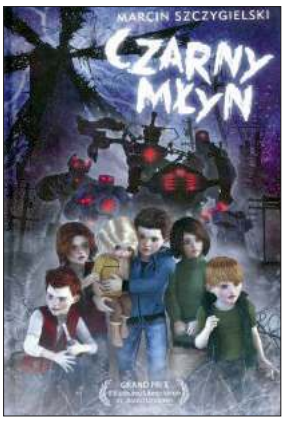

I uczy współczucia, także wobec Was (nas), przedstawicieli starszego pokolenia. Nie marudźcie, drodzy, że nie mamy dobrej literatury. Mamy jak nie wiem co. Tylko nie gardźcie nią oraz jej nosicielami, jak się utarło: chi, chi, dla dzieci, chi, chi, literatura dla gówniarzy, słoniki, dupiki, a my tu, panie dziejaszku, pod krawatem, w garniturkach świat zmieniamy i pętakom nic do tego. A jest tak: to oni albo nami się zajmą, albo nie. Od nas zależy, czy rozumne (nasze, znaczy) dzieło podejmą, czy będzie, jak właśnie na polskim podwórku jest. Lekceważyło się literaturę dla dzieci? To się ma. Tylko nie zaskorupiajcie się w swoich czytelniczych doświadczeniach, nie dajcie się oślepiać wszelkim amerykańskim różom i złoceniom książek w twardych oprawach, bo są takie straganowo śliczne. Jak Barbie. Stop! Barbie, Disneya, różu, złoceń, aż do torsji śliczności nie potępiam. Wszystko dla

Obcy, inni, brak tolerancji, okrucieństwo to temat wielu dobrych książek, które powstały w ostatnich latach.

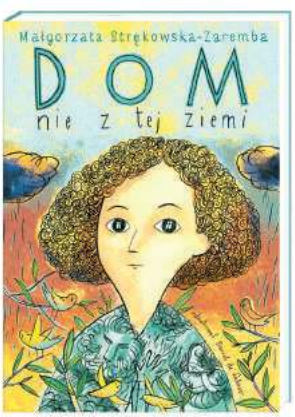

nie może zamazywać błazeńskim makijażem trudnych spraw. Bo wtedy jest deserem, nie treściwym daniem dla umysłu i duszy czytelnika. Desery też są potrzebne, ale ten tekst próbuję poświęcić istocie.

Proszę dziadków, rodziców, dzieci, dobra literatura właśnie bywa szczepionką. Uczy myśleć, rozwija empatię, czyli wprowadza w życie z przeciwciałami wobec zła, wobec problemów i niejednoznaczności. ludzi, ale trzeba wypatrywać również tego, co mądre, choć na pierwszy rzut oka mniej się błyszczy. Dziadkowie, rodzice, rozumiecie? Bo było już takie pokolenie rozumnych ludzi lewicy, co własne potomstwo pogubiło ku naszemu wspólnemu nieszczęściu.

A co się błyszczy pod spodem? A choćby „Kotka Brygidy" Joanny Rudniańskiej (Pierwsze), opisująca losy dziewczynki w okupowanej Warszawie. Helena musi się zmierzyć z oceną ojca, który, owszem, ratuje Żydów, ale bogaci się przy tym, z metamorfozą ukochanego wujka, przybyłego nagle w gestapowskim mundurze, z oceną niemieckich żołnierzy, którzy ratują bociana, a potem podpalają getto, gdzie żyje jej przyjaciółka. Podobną petardę uczuciowo-myślową mamy w „Rutce" Joanny Fabickiej (Agora). Pisarka wciąga czytelnika do groteskowej, szaleńczej zabawy i nagle przed oczami błyska mu obrazem łódzkiego getta, okrucieństwem współczesnego świata ferm, biznesu i konsumpcji.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl c677e76dad

Współczesność też jest w literaturze dla młodych. I to jaka dobra artystycznie! „Franciszka" Anny Piwkowskiej (Fundacja Zeszytów Literackich) opowiada o tytułowej nastolatce, o licealnym życiu, a przede wszystkim w niewymuszony sposób prowadzi czytelnika przez fragment historii poezji. Danuta Awolusi w „Na wysokim niebie" (Sol) oskarża dorosłych o obojętność wobec zaniedbanego dziecka – każdy niby robi, co do niego formalnie należy, ale nikt nie widzi wielkiego problemu, a zwłaszcza cierpiącego, samotnego człowieka. W „Oro" Marcel A. Marcel (Dana Łukasińska i Olga Sawicka, Marginesy) podejmuje sprawę wychodzenia z sieroctwa. Bohaterka zalicza kolejny dom adopcyjny, już nie ma złudzeń. I nie byłoby sukcesu, gdyby nie jej *alter ego*, wysłannik z innego wymiaru. Mądrze napisana książka każe się zastanowić, gdzie przebiega granica między wścibstwem a zainteresowaniem czyimiś problemami. Bo od poszanowania czyjejś prywatności do znieczulicy jest tylko mały krok.

Nastoletnich czytelników fascynuje dziś fantastyka. Proszę bardzo, mają choćby Marcina Szczygielskiego „Za niebieskimi drzwiami", „Czarny Młyn", a szczególnie „Omegę"(wszystkie tytuły wydał Latarnik) – to przygodowa powieść grozy. Bliska komputerowym doświadczeniom młodych jest zwłaszcza przygoda Joasi-Omegi, którą wciąga w świat gier jej własny komputer. Dziewczynka w fantastycznej przestrzeni przeżywa niebezpieczne przygody, dojrzewa, inaczej zaczyna patrzeć na otaczające sprawy.

Tytułów i nazwisk dobrych autorów oraz wydawniczych inicjatyw mogłabym przywoływać jeszcze dużo. O, choćby (bardzo choćby) Małgorzatę Strękowską-Zarembę i jej „Złodziei snów", „Dom nie z tej ziemi", „Lilanę" (Nasza Księgarnia) – wszystkie tytuły mówią o połamanym dziecięcym życiu z powodu dorosłych (nas, nas, drodzy dziadkowie, rodzice!). I wiecie co, dziadkowie, rodzice? Nie marudźcie, że nie ma dobrej literatury, że obecny świat jest gorszy od Waszego (naszego, nie wypieram się). Nie! Trzeba go tylko śledzić, nie dając się zwieść komercji (te różowe błyskotki na deser). Trzeba śledzić nawet to, co dla wielu jest głupstewkiem, czyli literaturę dla młodych. To takie niepoważne, gdy ma się przyzwyczajenia, garnitur, krawat albo wysmakowaną ondulację i hybrydę z błyskiem na paznokciach. Bez tego nie dotrzemy do młodych, do pokoleń następców, nie pojmiemy ich. Na szczęście wielu młodych sięga i po książki, i po istotę. Dlatego wierzę w otwarte zakończenie mojego tekstu. Może całkiem źle nie będzie. „Młodości, ty nad poziomy wylatuj". To z lektur obowiązkowych. *Howgh*!

Małgorzata Kąkiel

Książeczek i książek rozwijających świadomość potrzeby ochrony globu znajdziemy teraz bardzo dużo.

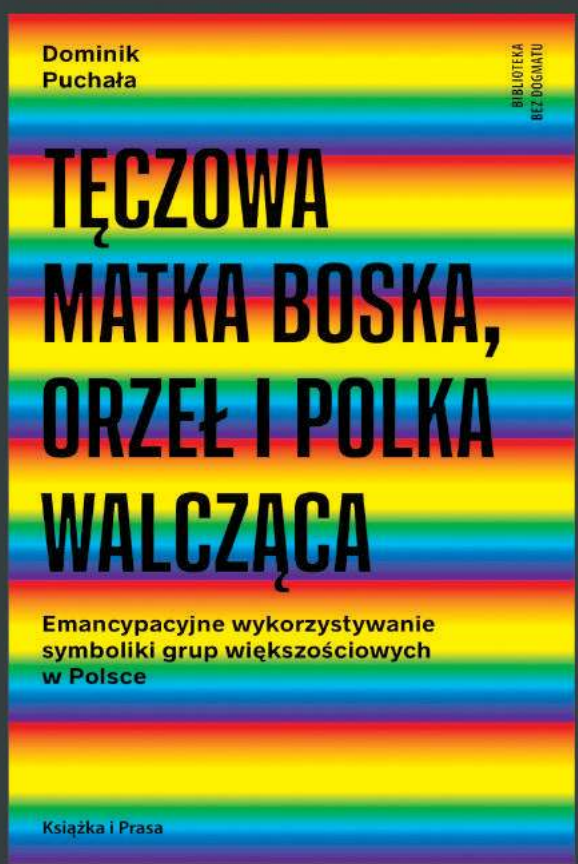

Dominik Puchała

Tęczowa Matka boska, orzeł i Polka Walcząca.

Emancypacyjne wykorzystywanie symboliki grup większościowych w Polsce

Cena 25 zł (w tym 5% VAT)

Do nabycia w księgarniach
i w empikach w działach prasowych.
Książkę można zamówić też
w wydawnictwie „Książka i Prasa"
ul. Twarda 60, 00-818 Warszawa,
telefon: 22 624 17 27
e-mail: redakcja@iwkip.org
www.monde-diplomatique.pl

eprasa.pl c677e76dad

Płaca minimalna ma sens

Płaca minimalna nie tylko chroni pracownika przed wyzyskiem, ale też korzystnie oddziałuje na gospodarkę

Norbert Kusiak

Michał Kalecki, jeden z najwybitniejszych polskich ekonomistów, często powtarzał niezwykle prostą formułę: „Zyski kapitalistów zależą od wydatków niekapitalistów, a wydatki niekapitalistów zależą wyłącznie od ich dochodów". Z tej choćby przyczyny należy uznać, że ustawowe określanie wysokości płacy minimalnej – wbrew temu, co mówią jej przeciwnicy – ma głęboki sens społeczny i ekonomiczny. Płaca minimalna bowiem nie tylko stanowi dorobek cywilizacyjny, który chroni pracownika przed wyzyskiem i zapewnia mu minimalną ochronę w pracy, ale także – zwiększając wysokość płac przeciętnych – korzystnie oddziałuje na gospodarkę, przyśpiesza tempo wzrostu jej innowacyjności. To z kolei wymusza podnoszenie jakości produkowanych wyrobów i świadczonych usług, wzmacnia eksport i tworzy nowe miejsca pracy. Rosnąca płaca minimalna nie musi być postrzegana przez biznes jako problem. Świadczy o tym przykład Niemiec – kraju, w którym urzędowe kształtowanie płacy minimalnej nie przeszkadza w zwiększaniu produktywności i konkurencyjności gospodarki.

Powyższe zależności powodują, że ustawowa płaca minimalna istnieje w 21 z 27 państw członkowskich Unii Europejskiej, a Komisja Europejska coraz śmielej mówi o ustanowieniu europejskiej płacy minimalnej. W tym celu Komisja podjęła konsultacje z partnerami społecznymi w sprawie możliwych działań dotyczących wyzwań odnoszących się do sprawiedliwych płac minimalnych. OPZZ z zadowoleniem przyjęło tę inicjatywę. Oczekujemy, że efektem działań Komisji będzie wzrost płac minimalnych w UE do poziomu, który zapewni pracownikom i ich rodzinom godne życie, a w konsekwencji znaczący spadek ubóstwa pracujących. Chcielibyśmy, aby Komisja Europejska uznała, że płaca minimalna powinna wynosić co najmniej 50% płacy przeciętnej i co najmniej 60% mediany płac. Są już pozytywne skutki naszych działań. 16 września br. w orędziu o stanie Unii wygłoszonym przez Ursulę von der Leyen znalazło się potwierdzenie, że „Komisja przedstawi wniosek ustawodawczy, aby pomóc państwom członkowskim we wprowadzeniu ram dla płacy minimalnej. Wszyscy muszą mieć dostęp do minimalnego wynagrodzenia, czy to w drodze porozumień zbiorowych, czy też ustawowej płacy minimalnej". To sukces OPZZ i kolejny krok do realizacji postulatu nieżyjącego już przewodniczącego OPZZ Jana Guza, który przeszło 10 lat temu zgłosił na arenie europejskiej postulat ustanowienia europejskiej płacy minimalnej.

W Polsce płaca minimalna jest ustalana na mocy ustawy przyjętej w 2002 r. Jej znaczenie dostrzegła także rządowa Strategia na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju, w której podkreśla się, że Polska wyczerpała dotychczasowe dźwignie wzrostu i konkurencyjności, czyli niskie płace i wynagrodzenia, które przez wiele lat zapewniały nam zdolność konkurowania z liderami wzrostu gospodarczego. Z pewnością bez stworzenia nowych lokomotyw rozwoju Polska utknie w gronie krajów o średnim dochodzie. Strategia słusznie wskazuje potrzebę budowy globalnych specjalizacji polskiej gospodarki, tworzenia wysoko płatnych miejsc pracy oraz konkurowania na bazie kompetencji i unikatowych umiejętności pracowników, a przede wszystkim konieczność zasadniczego zwiększenia poziomu wynagrodzeń.

Taka wizja rozwoju może stanowić dla pracowników szansę, ale jej wdrażanie może też powodować zagrożenia. Jednym z nich jest zbyt niskie tempo wzrostu płacy minimalnej. Drugim – podejście rządu do realizacji strategii. Widać to dobitnie na przykładzie tegorocznych negocjacji w sprawie wysokości płacy minimalnej na rok 2021 w Radzie Dialogu Społecznego, które zakończyły się fiaskiem. Ostatecznie rząd sam zadecydował, że w kolejnym roku płaca minimalna wynosić będzie 2800 zł. Oznacza to wzrost płacy minimalnej jedynie o 141 zł netto, do poziomu 2062 zł netto. To niewiele, jeśli uwzględnimy wysoką inflację oraz rosnące koszty utrzymania. Złożona przez OPZZ propozycja wzrostu płacy minimalnej do poziomu 3100 zł w większym stopniu odpowiadała nie tylko na oczekiwania społeczne, ale również na zagrożenia płynące z gospodarki. Zamiar oparcia wzrostu gospodarczego na konsumpcji prywatnej, co sygnalizuje rząd w projekcie budżetu państwa na przyszły rok, musi być bowiem powiązany ze wzrostem najniższych płac, szczególnie gdy płace pracowników zostały zmniejszone w wyniku pandemii COVID-19. Propozycja OPZZ zapewniłaby pracownikom wzrost płacy minimalnej o 353 zł netto, do poziomu 2273 zł netto. Niestety, rząd jej nie uwzględnił, podobnie jak alternatywnego wniosku OPZZ dotyczącego obniżenia klina podatkowego poprzez podniesienie wysokości zryczałtowanych kosztów uzyskania przychodów do kwoty 500 zł i zwiększenia kwoty wolnej od podatku dla osób zarabiających minimalne wynagrodzenie za pracę. Szkoda, że strona rządowa pozostała głucha na merytoryczne argumenty OPZZ. Na tym rozwiązaniu zyskać mogli zarówno pracownicy, jak i pracodawcy oraz budżet państwa.

Propozycja OPZZ wzrostu płacy minimalnej do 3100 zł lepiej odpowiadała nie tylko na oczekiwania społeczne, ale również na zagrożenia płynące z gospodarki.

Norbert Kusiak jest dyrektorem Wydziału Polityki Gospodarczej i Funduszy Strukturalnych OPZZ

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl c677e76dad

Oko w oko Tomasz Jastrun

Komunia i norki

Komunia mojego Frania. A przecież jestem głęboko niewierzący, Kościół polski zaś uważam za niesympatycznego i skostniałego starca. Ale moje dzieci chcą chodzić na religię. Sam miałem takie doświadczenie i uważam je za cenne. Chrześcijaństwo to dla mnie piękna baśń, świetna dla dzieci, żeby tylko nie wbijano Chrystusowi gwoździ w dłonie i w stopy, a potem nie przeszywano mu boku włócznią, co w dzieciństwie robiło na mnie straszne wrażenie.

Nasz kościół w pobliskim Aninie zaprojektował pod koniec lat 80. Zygmunt Stępiński, ojciec moich dawnych kolegów. Dobra architektura – jakie to rzadkie w drugiej połowie XX w. Upadek sztuki sakralnej, kiedyś tak niezwykłej, to też znak naszych czasów. W kościele nie ma tłumu, bo nie może być, wszyscy w maseczkach. Dawno nie byłem w kościele, odzwyczaiłem się więc od tych wszystkich obrządków i wydają mi się osobliwe. Czasami nawet pozwalałem sobie na rozbawienie. Ksiądz modlił się nabożnie, by co jakiś czas przerywać modlitwę srogim okrzykiem: cisza! Dzieci rozrabiały, jak to dzieci. Potem, jak na taśmie produkcyjnej, były wiedzione przez siostrę do dwóch konfesjonałów. Chętnie bym podsłuchał, jakie to straszne grzechy mają na sumieniu. Franio miał wielki kłopot, by zebrać choćby ich garsteczkę. Bardzo przeżył spowiedź. Dostał nawet rumieńców, z którymi mu do twarzy. Nazajutrz odziany w albę wygląda jak mały zakonnik. Dzieci przyjmują komunię. Jednak to wzrusza, choć na pewno mniej, niż gdybym był wierzący. Próbuję sobie przypomnieć, jak ja przyjmowałem komunię, pamiętam tylko grozę spowiedzi i wielkie ucho księdza w mroku zakratowanego konfesjonału.

•

Zdumiewająca wędrówka rzeczy, też książek. Z pobytu w Białołęce wyniosłem wiele wspomnień, worek bakalii z darów płynących do nas z całego świata i tomik wierszy „Biała łąka", wydany w podziemiu, poetyckie notatki z pobytu w więzieniu. Mam wiernego kibica, dawny koszykarz, wykupuje w internecie wszystko, co mnie dotyczy. Na wieczorze w kinie Atlantic miał tego sporo pod pachą i musiałem podpisywać. Dał mi też w prezencie ten tomik, a w nim ze zdumieniem widzę moją dedykację dla V. i S. Ona była w latach 80. korespondentką „Boston Globe", a on „Newsweeka". Ona piękna, z domieszką Ameryki Łacińskiej. Byliśmy jakiś czas blisko. Od wielu lat nie miałem z nią kontaktu. Jak to się stało, że ten tomik wpadł do wielkiej rzeki internetu? Z książkami pół biedy, jest wiele ich kopii, współczuję malarzom, których obrazy idą w obce ręce, potem wiszą, krążą, często giną raz na zawsze. A na spotkaniu w kinie kolejka po autograf była długa, jak kiedyś po mięso. I było to moje mięso.

•

Wiele teraz się mówi o kryzysie demokracji, nie do końca jednak potrafimy go zdefiniować. Że ludzie nie czują, że mają na cokolwiek wpływ, tak się mówi, że nie ma autorytetów, że wszędzie nędza polityki i polityków, ich cynizm. Ale przecież samorządy mają się dobrze, a to podglebie demokracji, w każdej niemal lokalnej sprawie ludzie się zbierają, radzą. Czy nie jest tak, że demokracja, ta, którą znamy, w coś się przepoczwarza? To zawsze okres trudny. A humanizmu jednak ludzkości przyrosło, już nie tylko naszej cywilizacji, ludzkie życie ceni się jak nigdy, o czym przypomina światowa kwarantanna w czasie zarazy. Kiedyś nie przejmowano by się, że na infekcję umierają starzy i chorzy, przecież i tak wkrótce umrą. Teraz z tego powodu zatrzymano świat. Feminizm dopłynął już niemal do swego brzegu. Dzieci odzyskały w pełni dzieciństwo, kiedyś prawie go nie miały, stały się obywatelami, oczkiem w głowie. Nie wiemy za wiele o tym, co się teraz dzieje na zapleczu naszej cywilizacji, za blisko jesteśmy zdarzeń. A dzieją się ważne rzeczy. Może nasze dzieci lub wnuki zobaczą ich wagę. Ala ta waga może zostać zupełnie przykryta kloszem zmian klimatycznych. I tylko to będzie ważne.

> Przez tyle lat opozycji nie udawało się odsunąć PiS od władzy, a teraz zdawało się, że mogą to zrobić norki.

•

Jakie zamieszanie w mafii Kaczyńskiego. Można by zażartować, że przez tyle lat opozycji nie udawało się odsunąć PiS od władzy, a teraz zdawało się, że mogą to zrobić norki. Zwierzątka to jednak tylko pretekst. Trwa na prawicy walka o władzę, o stanowiska, o pieniądze, płoną emocje. Ziobro? Prezes na własnej piersi wyhodował tego potwora. Jak go teraz unicestwić? Trudno i niezręcznie, więc prezes będzie czekał. A ziobryści, jestem pewien, zostaną w mafii, jak wracali w nocy do domów, żony im robiły awantury, że ani im w głowie tracić takie dobre posadki. Wpływ żon na politykę trudny jest do przecenienia. PiS nigdy jeszcze nie było takie nagie w pościeli, jak jest teraz.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

eprasa.pl c677e76dad

Michał Syska

Dlaczego lewica jest wciąż na marginesie?

Lewica nie ma własnej narracji, a nawet gdyby ją skonstruowała, nie ma narzędzi do jej upowszechnienia

Rok temu lewica z przytupem wróciła do parlamentu, a świetne wystąpienie Adriana Zandberga podczas sejmowej debaty nad *exposé* premiera miało zwiastować rychłą detronizację PO w roli głównej siły opozycyjnej. Dziś jednak sympatycy SLD, Wiosny i Razem z niepokojem patrzą w sondaże, w których ruch Szymona Hołowni spycha koalicję ich partii na granicę progu wyborczego. Po drodze lewicowy elektorat musiał przełknąć kilka gorzkich pigułek zaserwowanych mu przez własnych wybrańców, m.in. zakończoną katastrofą kampanię prezydencką Roberta Biedronia i budzące powszechny niesmak głosowanie w sprawie podwyżek uposażeń polityków.

Wydaje się, że formułowane przed rokiem oczekiwania wobec parlamentarnej lewicy były mocno na wyrost. Euforia towarzysząca końcowi absencji formacji postępowej w ławach sejmowych przysłoniła trzeźwą ocenę rzeczywistości i zmitologizowała wyborcze osiągnięcie lewicowego trójporozumienia. Cofnijmy się zatem do lata 2019 r., by nadać rzeczy właściwą miarę.

Partia Razem po klęsce w wyborach europejskich (1% poparcia) ogłosiła gotowość tworzenia wspólnych list z SLD i Wiosną, czyli z partiami, którym jeszcze kilka tygodni wcześniej odmawiała miana prawdziwej lewicy. Robert Biedroń po rozczarowującym wyniku wyborów do europarlamentu (6%) zadeklarował, że jest gotów do rozmów o politycznych sojuszach zarówno z partiami lewicowymi, jak i z Platformą Obywatelską, choć deklarowanym celem Wiosny było stworzenie alternatywy dla całej sceny partyjnej. Z kolei przewodniczący SLD Włodzimierz Czarzasty zapewniał, że wierzy w projekt Koalicji Europejskiej, zbudowanej na wybory europejskie wokół PO, i nie zamierza go porzucać. Mieliśmy zatem trzy mocno poobijane partie, których liderzy w imię przetrwania byli gotowi porzucić wcześniejsze deklaracje ideowe i strategie samodzielnego bytu w życiu publicznym.

Koło ratunkowe rzucił Razem i Wiośnie… Grzegorz Schetyna. To on zdecydował, że w budowanej na wybory parlamentarne Koalicji Obywatelskiej nie będzie miejsca dla SLD. Gdyby postanowił inaczej, dziś w Sejmie oglądalibyśmy grupkę posłów Sojuszu (raczej pozbawionych podmiotowej pozycji), natomiast partie Zandberga i Biedronia byłyby tylko wspomnieniem.

Zbieg szczęśliwych okoliczności sprzyjał lewicowemu trójprzymierzu również podczas samej kampanii wyborczej. Ubiegłoroczna elekcja była bowiem pod kilkoma względami wyjątkowa. Po pierwsze, zarejestrowało się jedynie pięć ogólnopolskich komitetów wyborczych. Po drugie, wśród nich nie było żadnej nowej siły politycznej (takiej jak Ruch Palikota, Kukiz'15 czy Nowoczesna w poprzednich wyborach). Po trzecie, do urn poszło wyjątkowo dużo wyborców. Po czwarte, mała liczba komitetów oraz wysoka frekwencja spowodowały, że wszystkie startujące ugrupowania znalazły się w parlamencie. Dzięki tym czynnikom lewica osiągnęła dobry rezultat.

> Polska lewica ma dużo głębsze problemy niż formuła organizacyjna działania.

Retrospekcja ta pokazuje, że powrót lewicy do parlamentu był w dużej mierze efektem zdarzeń przez polityków partii lewicowych niezamierzonych i będących poza ich wpływem. Uzmysławia też, że polska lewica ma dużo głębsze problemy niż formuła organizacyjna działania. Zjednoczenie na liście wyborczej to krok w dobrą stronę, ale nie unieważnia on wszystkich powodów, dla których rok temu trzy partie lewicy drżały o swoją przyszłość. Niektóre przyczyny dobrze widać w blasku parlamentarnych fleszy.

•

Lewica w całym świecie zachodnim znalazła się w imadle socjopolitycznego podziału populizm *versus* liberalizm. Z jednej strony, ugrupowania prawicowo-populistyczne kuszą swoją ofertą wyborców wywodzących się z klasy robotniczej, obawiających się nagłych zmian, jakie niesie globalizacja. Z drugiej, partie liberalne i ekologiczne zabiegają o otwartych na świat, dobrze wykształconych i z reguły młodszych kosmopolitów. Elektorat formacji socjaldemokratycznych kurczy się. I pojawia się pytanie, czy możliwe jest skuteczne apelowanie do obu grup, czy też socjaldemokracja powinna się zdecydować, czyim reprezentantem chce być w XXI w. Dziś na polską lewicę głosują przede wszystkim osoby z wyższym wykształceniem, o dobrym statusie materialnym i z większych miast. Duża część tego elektoratu pod względem ekonomicznym bliższa jest rynkowemu liberalizmowi. Jednak z deklaracji przedstawicieli parlamentarnych ugrupowania, które przyjęło nazwę Lewica, wynika, że ma ono ambicje rywalizować z PiS o wyborców, którzy w partii Kaczyńskiego widzą gwaranta bezpieczeństwa socjalnego. Problem w tym, że jednoczesne bardzo mocne akcentowanie kwestii kulturowych skutecznie oddala Lewicę od tego wymarzonego elektoratu. I chodzi tu nie o same postulaty (prawa osób LGBT, równouprawnienie kobiet, ochrona klimatu itp.), lecz o język, którym są one komunikowane. Jest to język manifestowania własnych poglądów, a nie przekonywania do nich. Czasem

eprasa.pl c677e76dad

Słuszne pomysły czy postulaty przedstawiane przez lewicę na konferencjach prasowych w Sejmie nie wywołują emocji społecznych. Nz. Adrian Zandberg, Robert Biedroń i Włodzimierz Czarzasty, 23 kwietnia 2020 r.

można odnieść wrażenie, że dziś trzeba zdać egzamin wstępny z weganizmu czy jazdy na rowerze, by zostać wyborcą Lewicy. Wynika to z tego, że formacji tej nadają ton aktywistki i aktywiści, którzy nie zdążyli jeszcze wejść w rolę polityczek i polityków. A rolą tych ostatnich jest budowanie większości zapewniających realizację przynajmniej części programu. Nie występują więc np. w koszulkach z hasłem „Aborcja jest OK", atrakcyjnym dla wielkomiejskich feministek i prowokacyjnym dla ludzi o innych światopoglądach, lecz mówią o prawie do przerywania ciąży językiem troski o bezpieczeństwo kobiet, który jest zrozumiały i akceptowalny moralnie dla osób o nieco bardziej konserwatywnych poglądach. W ten sposób poszerza się bazę społeczną dla swojego programu, wychodzi poza grono już przekonanych, rozwiewa obawy nieprzekonanych.

•

Lewica parlamentarna ma jeszcze jeden problem komunikacyjny. Jej przedstawiciele na niezliczonych konferencjach prasowych, briefingach czy konwencjach przedstawiają konkretne (i słuszne najczęściej) postulaty bądź pomysły na rozwiązanie ważnych problemów, które jednak nie wywołują emocji społecznych. Dzieje się tak dlatego, że nie wpisują się one w żadną spójną narrację o świecie, w której wyborcy mogliby ujrzeć swoją historię, swoje lęki, aspiracje i potrzeby. I emocje. Bipolarny podział PO-PiS zasadza się m.in. na tym, że obie strony angażują zwolenników właśnie metaopowieściami, zakorzenionymi w historii i odwołującymi się do grupowych doświadczeń życiowych.

Lewica na razie własnej narracji nie ma, a gdyby nawet ją skonstruowała, powinna mieć jeszcze narzędzia do jej upowszechniania. Tymczasem paradoks polskiej polityki ostatnich trzech dekad polega na tym, że to prawica przeczytała Gramsciego i wie, że do politycznych zwycięstw potrzebna jest kulturowa hegemonia. Prawa część politycznego spektrum stworzyła cały system kreowania i upowszechniania idei poprzez sieć mediów i organizacji społecznych. Tymczasem po lewej stronie brakuje zrozumienia, że klub parlamentarny to tylko jedno z narzędzi politycznych, a formacja, która nie jest opleciona siecią think tanków i mediów, skazuje się na pośledniość i tymczasowość. Odpływ wyborców Lewicy do Trzaskowskiego i Hołowni w trakcie wyborów prezydenckich i ostatnie przepływy do ruchu Polska 2050 pokazują, że blok trzech partii nie ma tzw. twardego elektoratu. Tworzenie więzów lojalności z wyborcami wymaga jednak większego wysiłku intelektualnego i organizacyjnego niż zwołanie konferencji prasowej w Sejmie.

Społeczne zakorzenienie pomogłoby Lewicy zmierzyć się z jeszcze jednym ważnym deficytem. Dla wyborców istotnym kryterium przy urnie jest przygotowanie danej formacji do rządzenia. Wśród głosujących na Lewicę, dobrze wykształconych, merytokratycznie nastawionych do polityki i wahających się, czy nie przerzucić głosu na PO lub ruch Hołowni, kwestia ta może być szczególnie istotna przy podejmowaniu wyborczej decyzji. W szeregach parlamentarnej frakcji lewicowej łatwiej zaś wskazać potencjalne pełnomocniczki lub pełnomocników ds. równego traktowania niż przyszłych ministrów obrony narodowej, zdrowia czy gospodarki. Aktywność części posłanek i posłów w mediach społecznościowych również nie sprzyja budowie wizerunku poważnego ugrupowania.

Lewicy brakuje zrozumienia, że formacja, która nie jest opleciona siecią think tanków i mediów, skazuje się na pośledniość i tymczasowość.

Ubiegłoroczny powrót lewicowców do parlamentu spowodował wśród wielu zwolenników tej opcji euforię, która przysłoniła fakt, że wcale nie ustały przyczyny jej dotychczasowego kryzysu. Obecność w gmachu na Wiejskiej daje poręczne narzędzia, by stawić temu kryzysowi czoła oraz zbudować solidne podstawy formacji, która wyborcze sukcesy będzie zawdzięczać własnym działaniom, a nie splotom okoliczności. Tym większe będzie rozczarowanie, jeśli ta szansa nie zostanie wykorzystana.

Michał Syska jest prawnikiem, publicystą, dyrektorem Ośrodka Myśli Społecznej im. F. Lassalle'a

FOT. ADAM CHEŁSTOWSKI/FORUM

eprasa.pl c677e76dad

Pocztowa piniata wyborcza

Na ostatniej prostej wiodącej Amerykę ku wyborom prezydenckim największym wrogiem obywatela jest poczta

Eliza Sarnacka-Mahoney
Korespondencja z USA

Najgorsze może dopiero nadejść, twierdzi mój sąsiad, lekarz kliniczny, i nie mówi wcale o znów rosnącej statystyce zakażeń koronawirusem w mieście ani o męczących nas pożarach, których nie daje się ugasić. Mówi o nadciągających wyborach prezydenckich. O tym, że chyba trzeba się szykować na wszystko, łącznie z wojną domową.

Inny sąsiad na kameralnym grillu w ogródku (mniej niż 10 osób, wciąż obowiązują nas obostrzenia) pyta, czy słyszeliśmy o wstrząsającej przepowiedni, którą Thomas Banyacya, legendarny wódz Indian Hopi (ur. 1909, zm. 1999), wygłosił w 1995 r. na targach Whole Life Expo w Las Vegas. W kręgach historyków i antropologów Banyacya jest dobrze znany, jego życie i nauki posłużyły za kanwę filmów realizowanych przez Earth Island Institute w Kalifornii w ramach inicjatywy Sacred Land Film Project. Dostępne na YouTubie nagrania z wykładami wodza w czasie pandemii podbijają internet. Sedno sprawy sąsiad zostawia na sam koniec. – Banyacya przestrzega, że gdy pory roku przestaną występować w normalnej kolejności, człowiek stanie się chory i zwróci przeciwko sobie własne wynalazki. Kto by pomyślał, że nie będą to musiały być bomby, wystarczy poczta.

Pandemia sprawiła, że poczta odegra główną rolę w tegorocznych wyborach prezydenckich.

Czy jest czego się bać

Nie, nikt tu nie zwariował. Na ostatniej prostej wiodącej Amerykę ku tegorocznym wyborom prezydenckim największym wrogiem każdego obywatela jest poczta. Dokładnie zaś głosowanie korespondencyjne. Sam prezydent przynajmniej raz na kilka dni przypomina o tym narodowi w ostrzeżeniach typu: „Głosowanie korespondencyjne jest dla nas strasznie niebezpieczne, bo jest to oszustwo. Karty przechodzą przez ręce oszustów. W wielu wypadkach są sfałszowane!" (konferencja prasowa w Białym Domu 7 kwietnia br.) czy: „To będzie największy przekręt w historii wyborów!" (konwencja republikanów, 24 sierpnia). Czy rzeczywiście jest czego się bać?

Jest. Nikt nie wie lepiej od nas, Polaków, szczególnie mieszkających poza ojczyzną, jak trudne, a nawet niewykonalne, może się stać oddanie głosu w wyborach, gdy szaleje pandemia, a te same władze, którym na przeprowadzeniu wyborów zależy, są jednocześnie organami odpowiedzialnymi za wprowadzanie ograniczeń w życiu publicznym. Brak dostępu do głosowania korespondencyjnego wykluczy z procesu wszystkich, dla których od polityki ważniejsze jest zdrowie własne i najbliższych. W proces musi być jednak zaangażowany pośrednik – poczta czy kurier – dlatego los wyborów może zależeć od sprawy tak banalnej jak dostarczenie wyborcy w terminie pakietu wyborczego.

Ameryka turbulencje z głosowaniem korespondencyjnym w czasie pandemii już zaliczyła podczas wiosennej rundy prawyborów. Jak doniosła komisja wyborcza stanu Wisconsin, nie wróciło do niej ok 200 tys. przesłanych pocztą kart wyborczych, a kolejne 23 tys. zostały odrzucone (stanowiło to 2% wszystkich oddanych głosów, więcej niż margines zwycięstwa Donalda Trumpa nad Hillary Clinton w 2016 r.). Odpowiedzialna była kombinacja czynników: karty w ogóle do wyborców nie dotarły, nie dotarły na czas do komisji bądź zostały nieprawidłowo wypełnione. Jeśli weźmiemy pod uwagę fakt, że ze względu na utrzymujące się w USA wysokie statystyki zarażeń i zgonów (w połowie września liczba ofiar wynosiła 195 tys.) aż dwie trzecie Amerykanów deklaruje chęć głosowania korespondencyjnego, możemy mieć do czynienia z bałaganem, jakiego jeszcze tutaj nie oglądano.

FOT. AP/EAST NEWS

eprasa.pl c677e76dad

Perspektywa głosowania korespondencyjnego *en masse* spowodowała w ciągu ostatnich kilku miesięcy w niemal wszystkich stanach wysyp pozwów sądowych dotyczących każdego aspektu tego rodzaju głosowania: od kwestii, kto ma płacić za znaczek pocztowy, jak zabezpieczać skrzynki przed złodziejami wyborczymi, czy podpis na karcie powinien być potwierdzony notarialnie i w obecności świadka, po legalność praktyki odsyłania kart zbiorczo przez delegowaną do tego osobę, np. z domów opieki nad seniorami czy ze szpitali.

Tym samym dochodzimy do meritum sprawy, która zaprząta moich sąsiadów.

Historia na nowo

Masowe głosowanie korespondencyjne może zmienić bieg historii. Historii wyborów na pewno, a ponieważ żyjemy w dziwnych, strasznych czasach psychozy lęku i wyczerpania nerwowego (Indianie Hopi powiedzieliby, że także wyczerpania cywilizacyjnego), to historii w jej podstawowym znaczeniu również. Rośnie przecież wśród Amerykanów odsetek defetystów, którzy serię rozruchów na tle rasowym, jakie przetoczyły się przez kraj wiosną i latem tego roku – w kilku miastach nigdy się nie skończyły – uważają za preludium do nieuniknionej wojny po wyborach.

Zanim przejdziemy dalej, warto jednak przypomnieć kilka istotnych spraw. Głosowanie korespondencyjne nie jest w USA niczym nowym i ma długą tradycję, pojawiło się bowiem już pod koniec wojny secesyjnej, czyli ponad 150 lat temu. Tam, gdzie jest dostępne, zyskuje coraz większą popularność. W 2016 r. korespondencyjnie głosował co czwarty wyborca w USA (dane za Federalną Komisją Wyborczą, FEC). W pięciu z 50 stanów, w tym tu, gdzie mieszkam, w Kolorado, głosowanie od lat odbywa się wyłącznie tą drogą. Choć ryzyko manipulacji zawsze istnieje, dochodzi do niej wyjątkowo rzadko. Szefowa instytutu National Vote at Home Amber McReynolds oraz Charles Stewart, dyrektor Centrum Badań i Statystyk Wyborczych przy Massachusetts Institute of Technology, opublikowali pod koniec kwietnia br. na prestiżowej platformie politycznej The Hill odezwę do Amerykanów zatytułowaną: „Obalmy wreszcie mit o fałszowaniu wyborów korespondencyjnych". „W ostatnich 20 latach Amerykanie oddali korespondencyjnie ponad 250 mln głosów, fałszerstwo wykazano w przypadku 143. Innymi słowy, co siedem lat zdarza nam się jeden fałszywy głos w każdym stanie. Mówimy więc o skali fałszerstwa, która wynosi 0,00006%", wyjaśnili autorzy odezwy.

Problem z wyborami korespondencyjnymi w USA w obecnej chwili leży więc gdzie indziej. Po pierwsze, ordynacje wyborcze regulowane są na poziomie stanu, mamy więc do czynienia z dużym zróżnicowaniem przepisów i skali dostępności takiej formy głosowania. W sześciu stanach: Teksasie, Luizjanie, Missisipi, Indianie, Tennessee i Karolinie Południowej, wyborca musi przedstawić zaświadczenie, dlaczego nie może głosować osobiście, przy czym pandemia nie znajduje się na liście dopuszczalnych usprawiedliwień. Tylko w ośmiu z pozostałych 44 stanów karty do głosowania wysyłane są rutynowo do wszystkich zarejestrowanych wyborców. Wszędzie indziej wyborca sam musi pamiętać, by taką kartę zamówić.

Po drugie, sondaże niezmiennie pokazują, że głosowanie korespondencyjne wydatnie podniosłoby frekwencję wśród demokratów (wśród republikanów pozostałaby na dotychczasowym poziomie). Nie bez przyczyny zatem najwięcej batalii o zmianę ordynacji, by takie głosowanie było powszechne i łatwo dostępne, toczy się z inicjatywy demokratycznych administracji stanów, hrabstw i miast. Nietrudno zrozumieć, dlaczego głosowanie korespondencyjne spędza sen z powiek przede wszystkim republikanom i w sądach występują oni jako strona wetująca zmiany w obecnych regulacjach.

Wreszcie rola poczty w procesie wyborczym. Uwaga – będzie trochę jak w operze mydlanej o ambicjach politycznych.

Louis DeJoy wkracza do akcji

Na początku czerwca Amerykanie dowiedzieli się, że Trump wybrał im nowego poczmistrza, oddelegował na to stanowisko Louisa DeJoya, swojego przyjaciela i znanego darczyńcę oraz aktywistę republikanów. Zmianę wyjaśnił potrzebą gruntownych reform w obrębie instytucji, która od lat ledwie ciągnie finansowo i nie wywiązuje się ze swoich zadań. Dowodem owego niewywiązywania się miały być… opóźnienia w dostawie korespondencji w dobie pandemii. DeJoy z miejsca zabrał się do pracy i pierwsze, co zrobił, to zredukował budżet operacyjny poczty. Posunięcie, zdaniem większości Amerykanów, co najmniej dziwne, zważywszy nie tylko na zbliżające się wybory, ale również dodatkowe, konieczne obecnie wydatki sanitarne związane z bezpieczeństwem i zdrowiem pracowników. DeJoy zlikwidował pracę po godzinach, w tym związaną z doręczaniem przesyłek poleconych, zaordynował zamknięcie części sortowni korespondencji, a także zmniejszenie liczby skrzynek pocztowych na mieście. Efekty przyszły szybko. Wydłużył się czas dostarczania poczty (z jednego czy dwóch dni do trzech-czterech) i podskoczyła liczba zgłoszeń, że korespondencja w ogóle do adresata nie dotarła. Pod koniec sierpnia DeJoy został wezwany przed oblicze Kongresu, by wyjaśnić Amerykanom, szczególnie tym chronicznie chorym, dlaczego przestali otrzymywać na czas lekarstwa. Posypały się też głosy samych pocztowców opisujących stan instytucji po przemianach: nieposortowane listy gnijące w zaniedbanych magazynach, brak rąk do pracy na skutek redukcji etatów, 30-procentowy wzrost opóźnień w dostarczaniu przesyłek.

Sondaże pokazują, że głosowanie korespondencyjne wydatnie podniosłoby frekwencję wyborczą wśród demokratów.

Przygnieciony publicznym gniewem i krytyką rządu DeJoy pod koniec sierpnia ogłosił tymczasowe wstrzymanie „reform". Pozostały niesmak i chyba całkiem uzasadnione pytania, czy jednak nie działał w tajnym duecie ze swoim pracodawcą, a celem nie było okaleczenie poczty, by tym trudniej było jej obsłużyć wybory, a w związku z tym, by dało się zakwestionować ich wyniki, jeśli zaszłaby taka potrzeba. – Zamierzenie czy niezamierzenie DeJoy podważył

eprasa.pl c677e76dad

zaufanie społeczne do głosowania korespondencyjnego, zasiał w ludziach niepewność, czy rzeczywiście będzie ono dobrym pomysłem, pomagając tym samym aktywistom na rzecz *voter suppression* (odciągania ludzi od głosowania – przyp. ESM) – uważa Mark Dimondstein, szef Związków Zawodowych Amerykańskich Pocztowców.

Po tej wpadce sam Trump tak się zapętlił w opiniach, że zaczął zachęcać rodaków do podwójnego głosowania. Głosujący korespondencyjnie powinni – powiedział wyborcom na wiecu w Karolinie Północnej na początku września – mimo wszystko zagłosować także w lokalu, by sprawdzić, czy „system" nie działa przypadkiem na korzyść Joego Bidena, i ich głos korespondencyjny został policzony. Ciekawostka – namawianie do podwójnego głosowania w amerykańskim prawie uznawane jest za przestępstwo.

Większość ekspertów nie ma wątpliwości, że w systemie głosowania korespondencyjnego tak naprawdę należałoby naprawić tylko jedno: ujednolicić przepisy o terminie dostarczania i odsyłania kart wyborczych. „Te opóźnienia to przyczyna nr 1, dlaczego głosy korespondencyjne w USA bywają niepoliczone lub odrzucone", można przeczytać w raporcie „Election Administration and Voting Survey" publikowanym dorocznie przez rządową komisję U.S. Election Assistance (raport z roku 2019 z danymi za lata 2016-2018). Stany ustalają te terminy rozmaicie, w niektórych karta musi dotrzeć do komisji najpóźniej w dniu wyborów, w innych, jak w Kalifornii, liczy się data stempla pocztowego, a komisja ma obowiązek uwzględnić kartę, która dotrze do niej nawet dwa tygodnie po wyborach.

Co ciekawe, to tutaj istnieje całkiem duże pole manewru do manipulacji i oszustwa przez dezinformację. W roli dezinformatorów mogą wystąpić stanowi urzędnicy odpowiedzialni za powiadamianie wyborców o dostępnych im formach głosowania. – Termin odsyłania głosu pocztą wyznacza się jak najpóźniejszy, bez porozumienia z pocztą, rzekomo po to, by dać ludziom jak najwięcej czasu na wypełnienie ich obywatelskiego obowiązku. Skutek jest odwrotny. Ludzie odsyłają karty za późno i ich głos jest nieważny – wyjaśnia ten proceder Charles Stewart z MIT.

Masowe głosowanie korespondencyjne może zmienić bieg historii.

Manipulacje

Sekretarz stanu Kolorado Jena Griswold odkryła, że nie można wykluczyć, że w roli takiego manipulatora występuje w tym roku sama poczta, i z ramienia stanu w połowie września złożyła przeciw niej pozew. Poczta od kilku tygodni rozsyła do wyborców w całym kraju ulotki z przypomnieniem, by zamawiali karty wyborcze najpóźniej tydzień przed wyborami. – W Kolorado nie trzeba nic zamawiać, wszyscy dostają karty automatycznie. By mieć pewność, że głos dotrze na czas, karta powinna być odesłana, a nie zamówiona tydzień przed datą wyborów. Poczta wprowadza zamieszanie i podaje mylące informacje, do tego nie zareagowała na naszą prośbę, by zmienić treść ulotki przeznaczonej dla wyborców w Kolorado. To zakrawa na celową manipulację z gatunku *voter suppression* – wyjaśniła swoje posunięcie Jena Griswold.

Czy tegoroczne głosowanie korespondencyjne rzeczywiście może wywołać wojnę domową? Może. Skoro korespondencyjnych głosów będzie dużo więcej, a w niektórych stanach (Kalifornia) ich finalne liczenie nawet nie zacznie się przed połową listopada, moment ogłaszania wyników może się bardzo przesunąć i po raz pierwszy w historii nie będziemy znać zwycięzcy już następnego dnia. Jeśli liczenie nie skończy się do stycznia, wówczas, zgodnie z konstytucją, prezydenta wybierze Kongres i będzie on pełnił funkcję aż do ogłoszenia wyników. Jest szansa, że rola ta przypadłaby przewodniczącej demokratów w Kongresie Nancy Pelosi, która nie jest ulubienicą Amerykanów, na prawicy zaś jest szczerze znienawidzona. Jednocześnie Donald Trump już dostatecznie mocno dał do zrozumienia, że nie ma zamiaru zaakceptować ewentualnej przegranej „bez walki", a baza jego fanów, wśród których nie brakuje paramilitarnych ugrupowań typu QAnon („Amerykanie zbroją się na potęgę", PRZEGLĄD z 15 czerwca 2020 r.), otwarcie nawołujących do wojny domowej w ramach porządkowania kraju, tylko czeka na znak. Zaniepokojeni są sami republikanie. – Im dłużej będziemy liczyć głosy, tym bardziej, jeśli Trump będzie przegrywał, w kręgu jego wyborców umocni się przeświadczenie, że wybory zostały sfałszowane – wyjaśnia Dennis Darnoi, strateg republikański ze stanu Michigan, gdzie cztery lata temu Trump przegrał mniej niż jednym punktem procentowym. Wokół Trumpa nie brakuje też mentorów, którzy opowiadają się za interwencją wojskową. „Jeśli przegrasz, natychmiast wprowadź stan wojenny" – tak doradził mu podczas wiecu w Newadzie jego były współpracownik i legendarny spin doktor prawicy, Roger Stone.

Znajomi podesłali mi niedawno mem, na którym z gałęzi zwisa monstrualne gniazdo os, a napis poniżej głosi: „Gdyby 2020 był piniatą…". W USA mnóstwo os już niestety wydostało się na zewnątrz, pozostaje czekać, czy wybory prezydenckie okażą się tym decydującym uderzeniem, po którym piniata rozpada się na części, a jej zawartość ostatecznie wysypuje się wszystkim na głowy.

Eliza Sarnacka-Mahoney

W nowym numerze tygodnika „NIE":
Bieżąca woda zamiast myśliwców F-35 i kanalizacja zamiast Centralnego Portu Komunikacyjnego – to konieczności cywilizacyjne, których pisowski rząd nie chce dostrzec.

eprasa.pl c677e76dad

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Kicz tytaniczny

Stanął papież na dziedzińcu, a zanim oficjalnie go odsłonięto, stał się najpopularniejszą instalacją w historii polskiej sztuki współczesnej. Jednemu nie sposób zaprzeczyć – w kategorii memogeniczności „Zatrute źródło" Jerzego Kaliny okazuje się dziełem niedoścignionym. Jeśli potraktować to dzieło jako pre-tekst kultury, który dopełniają wszelkiego rodzaju od-kształcenia, reinterpretacje i przeróbki, słowem: jeśliby artysta ogłosił, że erupcja memów była przez niego przewidziana i stanowi integralną część dzieła, należałoby tę rzeźbę uznać za przemyślną i ważką wypowiedź. Cień podejrzenia, że Kalina wie, co to dystans, można przecież mieć, skoro artysta nie protestuje przeciw naruszaniu nietykalności innego swojego dzieła – „schodów smoleńskich" na placu Piłsudskiego. Rzeźbiarz uznał, że jego dzieło zaprasza do interakcji, ale władza z tym nijak się nie zgadza; zawłaszczyła ten pomnik z charakterystyczną dla siebie apodyktycznością i strzeże go jak tabernakulum przed profanacją.

Obstawianie policją pomników weszło kaczystom w krew: postument Lecha w stylu północnokoreańskim ma osobną obstawę, co najmniej dwie suki plus patrol pieszy czuwają przy rzeźbie Jezusa pod kościołem św. Krzyża… Idąc tą drogą, osiągniemy za kilka lat status państwa pozbawionego penitencji, bo funkcjonariusze oddelegowani do pilnowania pomników nie będą w stanie jednocześnie baczyć na osadzonych skazańców. Prawica tradycyjnie przejawia niekompetencję graniczącą z analfabetyzmem w dziedzinie pojmowania sztuki. W ogóle żarliwa prawicowość zdaje się być po prostu zaburzeniem osobowości, zatrzymanej na poziomie testosteronowych ruchawek na długiej przerwie szkolnej; prawak odnajduje swoją tożsamość wyłącznie poprzez konflikt. Jak się nie ma o co bić, życie traci sens, czemużby więc nie pobić się o bohomaz.

Przewiduję kolejną awanturę i jeszcze jeden stały patrol – tym razem na dziedzińcu Muzeum Narodowego, tym bardziej że mamy tu szczególny przypadek twórczego wykorzystania wizerunku świętego. Dla naiwnych wiernych, ale i dla wiecznie głodnego rozróby katotalibanu, to może oznaczać, że instalacja tym samym staje się „świętym obrazkiem", przez co każda próba naruszenia go lub, co gorsza, usunięcia, po tym jak czas instalacji minie, będzie ikonoklazmem. Nadworni krytycy ministra kultury co prawda sugerują, że dzieło jest odpowiedzią na pamiętną instalację Maurizia Cattelana, ale podejrzewam, że podświadomie marzą o powtórzeniu kazusu palmy z ronda de Gaulle'a. Rzeźba Joanny Rajkowskiej też początkowo miała mieć charakter tymczasowy, ale wrosła w pejzaż tak głęboko, że stoi do dziś.

Jakikolwiek termin przydatności dzieła Kaliny dyrekcja muzeum wstępnie wyznaczyła, musi mieć świadomość, że jego usunięcie będzie pierwszym w Polsce zburzeniem papieskiego pomnika. Symboliczny precedens niesie duże niebezpieczeństwo, zwłaszcza że do coraz większej części społeczeństwa, także religijnego, docierają niewygodne fakty dotyczące roli Jana Pawła II w kryciu kościelnych afer pedofilskich. Upadł Jankowski, może upaść i Wojtyła – zblatowane z Kościołem władze wszakże nie mogą do tego dopuścić. W pewnym sensie Kalina, ze służalczym patosem wykonując swój kicz na stulecie urodzin papieża Polaka, niechcący rzeczywiście mu się przysłużył. Od lat bowiem w memosferze Wojtyła jest naczelnym pedofilem, podobnie jak Kwaśniewski pierwszym pijakiem; internet nie zważa na realne zasługi, żywi się plotką. Od kiedy wyszły na jaw kolejne afery pedofilskie wśród księży, o których nie mógł nie wiedzieć JP2, trwają nieustające mistrzostwa Polski w szkalowaniu papieża (jest nawet taka strona w internecie) i są one jednoznacznie sprofilowane na wizerunek „Bestii z Wadowic". Kalina wyrwał więc papieża z tego wilczego dołu, sprowokował akcję stu memów na stulecie urodzin Karola Wojtyły – ach, mało, za chwilę memów z „Zatrutym źródłem" będzie więcej niż pomników papieskich!

W kategorii memogeniczności „Zatrute źródło" Jerzego Kaliny okazuje się dziełem niedoścignionym.

Z mojego punktu widzenia dzieło Kaliny reprezentuje typowy dla prawicowego imaginarium nurt parafialnego akademizmu. Jest to niestety instalacja niewczesna w dwójnasób, nie dość, że tandetna w wyrazie (papież jako tytan o nadludzkiej sile, w rzeczy samej prawdziwa bestia), to jeszcze odnosząca się do ekscesu sprzed 20 lat. To wtedy ręce *par excellence* wyrywnych posłów prawicy usunęły meteor z leżącej postaci papieża, przy okazji wyrywając mu nogę. Ja rozumiem, że na starość czas płynie szybciej i dla Jerzego Kaliny dwie dekady to tyle co przedwczoraj, ale powrót do afery wokół rzeźby Cattelana można niechcący odczytać jako chorobliwą pamiętliwość, a to przecie nie po chrześcijańsku. Może zatem władza powinna raczej dokonać czym prędzej oficjalnego zasłonięcia tej nieszczęsnej rzeźby, zanim wywoła kolejną wojnę polsko-polską.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl c677e76dad

Protesty mają twarz kobiety

Kobiety walczą ze stosowaną wobec nich przemocą i o równość między płciami

Lech Miodek

Pewnym zaskoczeniem dla świata było przejęcie przez kobiety przywództwa protestów na rzecz demokratycznych zmian na Białorusi. Oddalone od polityki przez całe dekady, w ciągu paru dni stały się ich symbolem. Na czele żądających przemian stanęły m.in. Swiatłana Cichanouska, Weronika Cepkało i Maria Kolesnikowa. Dużo przykładów kobiecego zaangażowania płynie także z podwórka latynoskiego.

Meksyk: matki poszukują córek

Walka o równość kobiet i mężczyzn znalazła wyraz 8 marca w proteście milionów kobiet w głównych miastach Ameryki Łacińskiej. Manifestacje w Meksyku, Argentynie i Chile odbywały się pod hasłami zaprzestania przemocy ze strony mężczyzn, równych szans i prawa do aborcji.

W Meksyku 7 września rodziny zabitych dziewcząt i kobiet podpalały krzesła i dokumenty w okupowanym przez siebie budynku, w którym mieści się Narodowa Komisja Praw Człowieka (CNDH). Od rzecznik praw obywatelskich, Rosario Piedry, domagały się przyśpieszenia śledztw w sprawie śmierci córek i żon. Z balkonów urzędu członkinie organizacji Ni Una Más (Ani Jednej Więcej) wyrzucały meble, a w oknach wywieszały prześcieradła ze zdjęciami zaginionych.

Kobiety meksykańskie już od lat wychodzą na ulice, by protestować przeciw przemocy pod hasłami: *Un Día Sin Nosotras* (Jeden Dzień bez Nas) lub *Un Día Sin Mujeres* (Jeden Dzień bez Kobiet). Pierwsze protesty odbyły się 8 i 9 marca z okazji Międzynarodowego Dnia Kobiet. W tych dniach kobiety nie pracują, nie robią zakupów, nie używają telefonów. Podstawowym celem pozostaje apelowanie do rządu o powstrzymanie przemocy wobec kobiet. W 2019 r. odnotowano 1006 zabójstw kobiet, o 10% więcej niż rok wcześniej. „Nie można żyć w kraju, w którym brutalnie zabija się kobiety i nie ponosi żadnych konsekwencji", mówi Lorena Wolffer, artystka i działaczka feministyczna.

20-letnia Emma González jest twarzą protestów młodzieży w USA.

Ta bezprecedensowa akcja wystawia na próbę przywództwo prezydenta Andrésa Manuela Lópeza Obradora. Wcześniej, kiedy protestów było mniej, winił za zabójstwa kobiet „przeszłą neoliberalną politykę" i na żądania protestujących odpowiadał w sposób nielicujący z urzędem. Teraz uznaje słuszność tych wystąpień, choć równocześnie o ich organizację oskarża swoich przeciwników politycznych.

Brazylia: Marsze Stokrotek i autochtonek

Rdzenne mieszkanki Brazylii zaprotestowały w sierpniu przeciwko maczyzmowi, przemocy z uwagi na płeć i polityce rządu w sprawach Amazonii. Do protestu dołączyli przedstawiciele lewicowych partii opozycyjnych. Protesty kobiet, znane pod nazwą Marszu Stokrotek, odbywają się od 2000 r. i są formą uczczenia pamięci kobiet, które zginęły w walce z bezprawiem, głównie zaangażowanych w działania chłopskiego Ruchu bez Ziemi. Pozostaje tajemnicą poliszynela fakt, że w wielkich gospodarstwach rolno-hodowlanych zatrudnia się pracowników w warunkach niewolniczych.

Tym razem Marsz Stokrotek zbiegł się z pierwszym marszem rdzennych mieszkanek, na który udało się zmobilizować 1,5 tys. kobiet, reprezentujących prawie 100 etni.

Chile: w akcji 20-latki

Na ostre protesty, które rozpoczęły się w Chile 18 października 2019 r., w wyniku czwartej podwyżki cen biletów metra, rząd zareagował ogłoszeniem stanu wyjątkowego. Miesiąc później chilijskie organizacje kobiece informowały o przypadkach zabójstw kobiet i przemocy seksualnej stosowanej wobec nich przez policję. 25 listopada, w Międzynarodowy Dzień przeciw Przemocy wobec Kobiet, w dużych miastach zorganizowano manifestacje pod hasłem: „To nie moja wina, że tam byłam i tak byłam ubrana". W Santiago de Chile młode kobiety, w większości licealistki

eprasa.pl c677e76dad

i studentki, ubrane na różowo śpiewały specjalnie przygotowaną piosenkę i skandowały: „Gwałciciel jest na twojej drodze". Do Narodowego Instytutu Praw Człowieka wpłynęło 79 skarg dotyczących łamania praw człowieka przez policję. Od 18 października odpowiedzialnością za te naruszenia obarczono 478 policjantów. 369 z nich jest ponadto oskarżonych o torturowanie kobiet, nastolatków i mężczyzn z grupy LGBT+. Lorena Astudillo z chilijskiej sieci przeciwko przemocy wobec kobiet: „Musimy mieć świadomość, że kiedy kobiety demonstrują, to nic nowego, że padają ofiarą napaści seksualnych ze strony policji, w formie dotykania miejsc intymnych, uderzania w piersi lub rozbierania na ulicy". Sam prezydent przyznał, że chociaż dochodziło do „nadużyć", to nie stwierdzono naruszania praw człowieka, jak głosi Amnesty International.

Wśród manifestujących od trzech miesięcy przeciw rządowi można spotkać 16-letnią „Megerę". Imię jednej z Erynii, greckich bogiń zemsty, przybrała Karla Ruíz, niska, drobna nastolatka. Przed każdą manifestacją „Megera" zawiesza na szyi drewnianą tarczę z wizerunkiem krwawiącego oka, co ma przypominać o setkach manifestantów, którzy częściowo utracili wzrok w ubiegłorocznych starciach z policją. „Już się nie boimy. Walczę o matkę, która mnie samotnie wychowywała, a teraz, żeby przeżyć, musi pracować na dwóch etatach", mówi Karla.

Kobiety tworzące historię nie stanowią większości protestujących, ale są zawsze na pierwszej linii. To m.in. dziewczęta i kobiety z tarczami i procami, celujące laserem w *pacos* (obraźliwa nazwa karabinierów), oraz „pielęgniarki", czyli studentki z butelkami wody wodorowęglanowej, która pomaga oczyścić drogi oddechowe i łagodzi pieczenie oczu powodowane przez gaz łzawiący. Dafne Barrera, studentka medycyny, wkrótce po wybuchu protestów stworzyła z trzema koleżankami z wydziału komando sanitarne do udzielania pierwszej pomocy poszkodowanym. Członkinie komanda zwykle ubrane są w białe kitle, noszą hełmy i kamizelki z czerwonym krzyżem.

Manifestacje, które początkowo odbywały się codziennie, teraz organizowane są w każdy piątek i wszystko wskazuje, że zapowiedziane przez rząd reformy socjalne ani referendum w sprawie nowej konstytucji w kwietniu 2021 r. ich nie powstrzymają.

Argentyna: zielone chustki walczą o prawo do aborcji

Do znanych w świecie manifestacji Matek i Babć z Plaza de Mayo, poszukujących krewnych zamordowanych w czasach dyktatury wojskowej, dołączyły kobiety walczące o prawo do aborcji. Ich znakiem stała się zielona chustka, tak jak symbolem matek jest chustka biała. W lutym 2020 r. przed gmachem Kongresu w Buenos Aires odbyła się demonstracja zorganizowana przez ruchy feministyczne, mająca przypomnieć rządowi, że problem legalizacji aborcji pozostaje aktualny. Do powtórki doszło 8 marca. W przeciwieństwie do poprzednich demonstracji zielonych chustek nie doszło do kontrmanifestacji chustek niebieskich (koloru antyaborcyjnego, bo „narodowego"). Już po raz dziewiąty w tym roku argentyński Kongres zajmie się ustawą o depenalizacji aborcji.

W obu manifestacjach uczestniczyła chilijska grupa performerska Las Tesis z widowiskiem „Gwałciciel jest na twojej drodze". Pośród organizacji argentyńskich zwracał uwagę udział Actrices Argentinas (Aktorek Argentyńskich), znanych z ujawniania przypadków nadużyć seksualnych w kinie.

USA: nastolatka na czele marszów przeciw powszechnemu dostępowi do broni

14 lutego 2018 r. Emma González przeżyła masakrę w Parkland dokonaną przez Nikolasa Cruza, który, posługując się półautomatycznym karabinem AR-15, zamordował 17 osób i zranił 14 w szkole średniej Marjory Stoneman Douglas. Ta tragedia stała się detonatorem ogromnego ruchu młodzieży, domagającego się większej kontroli sprzedaży broni. Twarzą protestów jest właśnie Emma, latynoskiego pochodzenia biseksualna 20-latka z ogoloną głową. Setki tysięcy młodych ludzi, którzy będą głosować w tegorocznych wyborach, dziś protestują przeciw zbyt szerokiemu dostępowi do broni, ale jutro mogą zażądać reformy podatkowej, dostępu do nauki na uniwersytecie mimo niespłaconych długów, powszechnych ubezpieczeń zdrowotnych i innych praw, które w USA brzmią jak hasła komunistyczne. „Gdyby prezydent podszedł do mnie i powiedział mi w twarz, że żałuje tej tragedii, która nie powinna się wydarzyć, zapytałabym go, ile pieniędzy otrzymuje od National Rifle Association? To nie ma znaczenia, bo ja już wiem: 30 mln dol. Jeśli je podzielimy przez liczbę ofiar broni palnej w USA w ciągu półtora miesiąca 2018 r., daje to 5,8 tys. dol. Czy to jest tyle, ile ci ludzie są dla ciebie warci, Trump?", powiedziała Emma w lutym 2020 r.

Ojciec Emmy jest prawnikiem, a matka nauczycielką matematyki. Emma interesuje się astronomią. W szkole przewodniczyła Klubowi Sojuszu Homoseksualnego i Heteroseksualnego, w którym szczególną uwagę poświęcano umiejętności prowadzenia dyskusji i wystąpień publicznych. Organizując protest w Waszyngtonie, Emma odniosła ogromny sukces. Wzięli w nim udział nie tylko uczniowie i studenci z różnych stanów, ale też gwiazdy zespołu futbolu amerykańskiego New England Patriots. Wokół Kapitolu protestowało około pół miliona osób.

To tylko nieliczne przykłady rosnącego zaangażowania kobiet w walkę ze stosowaną wobec nich przemocą i o równość między płciami, a w wypadku Białorusi w walkę o demokratyczne przemiany. ■

W dniach protestów meksykańskie kobiety nie pracują, nie robią zakupów, nie używają telefonów.

W Brazylii kobiety zaprotestowały przeciw przemocy z uwagi na płeć i polityce rządu w sprawach Amazonii.

FOT. EAST NEWS/SIPA USA

eprasa.pl c677e76dad

Hiszpanie rozliczają się z historią

Czy dzięki ustawie o demokratycznej pamięci ofiary Franco doczekają się sprawiedliwości?

Ekshumacja masowego grobu na cmentarzu San Fernando w Sewilli, 17 lipca 2020 r.

Tomasz Skowronek

Prawie rok po ekshumacji i 45 lat po śmierci gen. Francisca Franco hiszpański rząd zaprezentował projekt „ustawy o demokratycznej pamięci". Ma ona położyć kres temu, co pozostało w Hiszpanii z oficjalnych symboli związanych z czasami dyktatury *caudillo*.

Nowe prawo uchyli wyroki frankistowskich sądów, zabroni wychwalania dyktatury gen. Franco, uczniom pozwoli poznawać jej zbrodnie, nakaże też organom państwowym szukanie ciał pomordowanych. Projekt nowej ustawy, którą lewicowy rząd Hiszpanii chce przeprowadzić przez parlament, ma przede wszystkim zadośćuczynić dążeniom potomków zaginionych bez wieści ofiar reżimu z czasów wojny domowej i późniejszej dyktatury.

Rozpoznany dzięki obrączce

„Państwo w końcu weźmie na siebie odpowiedzialność za odkrywanie grobów i identyfikację ofiar – chwali ustawę w rozmowie z telewizją RTVE Paco Etxeberria, baskijski koroner i antropolog sądowy. – Większość ofiar wyciągnięto z domów i zamordowano. Często sprawcami byli falangiści, których potomkowie do dziś mogą startować w wyborach. Teraz należy policzyć ich ofiary i utworzyć krajową bazę danych DNA, aby można było je zidentyfikować".

Etxeberria jest uznanym na całym świecie antropologiem, który od ponad 20 lat prowadzi identyfikację ofiar prześladowań politycznych. Pracował przy ekshumacjach m.in. chilijskiego poety Pabla Nerudy, Víctora Jary i Salvadora Allende. Rok temu został mianowany doradcą hiszpańskiego rządu ds. ekshumacji. Bierze udział w wielu ekshumacjach na terenie całej Hiszpanii.

W Kraju Basków, Katalonii oraz niektórych regionach autonomicznych od dawna promuje się i finansuje – robią to zarówno rządy regionalne, jak i osoby prywatne – poszukiwania i identyfikacje ofiar. Po upadku dyktatury tysiące ludzi zaczęło szukać swoich bliskich na własną rękę – w przydrożnych rowach, zasypanych studniach, na polach, w płytkich zbiorowych grobach. Tak jak 84-letnia Rosa María Insúa, której historię opisał niedawno madrycki dziennik „El País".

Kobieta przez długie lata poszukiwała ojca, Eugenia, rozstrzelanego w 1936 r. wraz z innymi republikanami i pochowanego w nieznanej mogile. W El Espinar niedaleko Madrytu odnaleziono masowy grób ofiar reżimu gen. Franco. Właśnie tutaj zidentyfikowano ciało Eugenia

eprasa.pl c677e76dad

– i to nie za pomocą testów DNA (nie zawsze udaje się uzyskać materiał DNA z kości lub nie ma z czym go porównać), lecz dzięki rzeczom osobistym. Jedną z nich była obrączka ślubna. Wygrawerowano na niej imię oraz datę ślubu – na tej podstawie udało się dotrzeć do rodziny właściciela. Pamiątka należała do ojca Rosy Maríi. Kiedy został rozstrzelany przez frankistów, miał 29 lat.

„Dziękuję, jestem taka szczęśliwa. Nie byliśmy pewni, czy w chwili śmierci miał cokolwiek osobistego przy sobie", powiedziała kobieta, kiedy zobaczyła obrączkę. „Moja babcia zmarła, nie wiedząc nawet, gdzie jest jej mąż. Chcieliśmy, żeby nasza mama to wiedziała", mówi Ángeles Herrera Insúa, córka Rosy Maríi. Nie może zrozumieć, dlaczego pomordowani wciąż spoczywają w jakichś rowach. „Szkoda, że żaden rząd niczego nie zrobił", ubolewa.

Odkrycia mogiły i szczątków dokonano dzięki pomocy wolontariuszy Stowarzyszenia Odzyskiwania Pamięci Historycznej (ARMH). „To ludzie o dobrych sercach, nie są ani z lewicy, ani z prawicy, są po prostu po stronie człowieka", chwali wnuczka Eugenia.

Setki tysięcy nieodnalezionych ofiar

Tysiące hiszpańskich rodzin ma nadzieję na odnalezienie bliskich. Do tej pory odkryto ok. 700 zbiorowych mogił z ponad 8 tys. ofiar. To nadal niewielki procent, do zlokalizowania pozostaje od 100 do 150 tys. ofiar frankistowskiego reżimu. Jak słusznie zauważył portal Politico, Hiszpania jest drugim po Kambodży krajem z największą liczbą masowych grobów. Przez kilkadziesiąt lat państwo zupełnie się nimi nie interesowało. Części ofiar prawdopodobnie już nigdy nie uda się zidentyfikować, bo w miejscu niektórych grobów powstały autostrady albo osiedla mieszkaniowe. Ale teraz, dzięki ustawie, poszukiwania ciał mają być lepiej finansowane i prowadzone na większą skalę.

Ustawa przewiduje również utworzenie wyspecjalizowanej prokuratury ds. pamięci demokratycznej i praw człowieka oraz krajowego banku DNA, który miałby pomagać w ekshumacji ofiar. Instytucje te będą finansowane ze środków publicznych. Zostanie też przygotowany spis wszystkich ofiar wojny domowej i dyktatury, a państwo weźmie odpowiedzialność za zlokalizowanie szczątków zaginionych. Paco Etxeberria szacuje, że w ciągu najbliższych czterech, pięciu lat z masowych grobów zostanie wydobytych od 20 do 25 tys. ciał.

Nieodnalezionych pozostaje 100-150 tys. ofiar reżimu frankistowskiego.

„To ważne prawo dla rządu, ale także dla hiszpańskiej demokracji – mówiła na konferencji prasowej wicepremier Carmen Calvo z Hiszpańskiej Socjalistycznej Partii Robotniczej (PSOE). – Jest to uznanie, zadośćuczynienie godności i sprawiedliwości ofiar". Nowa ustawa pozwala też na unieważnianie orzeczeń frankistowskiego sądownictwa. Chodzi głównie o więźniów, którzy trafili za kraty za swoje poglądy lub zostali straceni, jak np. Lluis Companys – prezydent Katalonii w latach 1933-1940, którego rozstrzelano na rozkaz Franco. Premier Katalonii Quim Torra zwrócił się niedawno do rządu Hiszpanii o przeproszenie za tę egzekucję.

Urzędnicy zaangażowani w represje i tortury mogą utracić odznaczenia i związane z nimi dodatkowe emerytury. Jeśli ustawa przejdzie przez parlament, mogą poza tym zostać odebrane tytuły szlacheckie nadane przez Franco.

Koniec Doliny Poległych

W myśl proponowanego prawa zostanie zakazane używanie symboli hiszpańskiej 40-letniej dyktatury. Dotyczy to salutu Franco oraz hiszpańskiej flagi z orłem, która była flagą państwową od 1939 do 1975 r. Naruszenia mogą być karane grzywną w wysokości nawet 150 tys. euro.

Projekt ustawy zakłada możliwość przyznania obywatelstwa hiszpańskiego potomkom członków Brygad Międzynarodowych. „Potomkowie członków Brygad Międzynarodowych, walczących o wolność i przeciwko faszyzmowi w Hiszpanii, będą mogli otrzymać hiszpańskie obywatelstwo. Nadszedł czas, aby ten rząd powiedział tym bohaterom i bohaterkom demokracji: dziękuję za przybycie", napisał na Twitterze wicepremier Pablo Iglesias Turrión.

Na mocy tej ustawy rząd chce również zmienić status Doliny Poległych – kontrowersyjny państwowy pomnik upamiętniający wojnę domową ma zostać przekształcony w cmentarz cywilny, miejsce zbiorowej pamięci, z Narodowym Centrum Pamięci i Dokumentacji. W zeszłym roku, po długiej sądowej walce z potomkami dyktatora, szczątki Franco zostały stamtąd przeniesione na cmentarz w Madrycie. Najpewniej szczątki José Antonia Prima de Rivery, założyciela Falangi Hiszpańskiej, także zostaną przeniesione.

Dolinę Poległych wieńczy 150-metrowy krzyż. To jednocześnie masowy grób, w którym znajduje się ponad 30 tys. ciał, ale też miejsce szczególnie ważne dla zwolenników Franco i skrajnej prawicy. Dolina Poległych ma w końcu przestać odgrywać rolę pomnika gloryfikującego dyktaturę.

Współcześni historycy szacują, że mordów na cywilach było po stronie frankistowskiej trzy razy więcej niż po republikańskiej.

Ustawa będzie miała poza tym na celu zakazanie działania stowarzyszeń promujących osobę caudilla – chodzi tu głównie o Narodową Fundację im. Francisca Franco, która została założona niecały rok po śmierci dyktatora, w 1975 r., aby promować badania jego życia, myśli, spuścizny oraz działań. „Nie możemy pozwolić na istnienie w naszym kraju stowarzyszeń, które wykorzystują środki publiczne do gloryfikowania idei totalitarnych i postaci dyktatorskich, w tym Franco", brzmi komunikat rządu w tej sprawie.

Fundacja zasugerowała, że jeśli zostanie zdelegalizowana, może przenieść swoje archiwum za ▸

FOT. ZUMA PRESS/FORUM

eprasa.pl c677e76dad

granicę. „Nasza wolność nie zostanie nam odebrana. Nadal będziemy bronić naszych wartości, a w razie potrzeby pojedziemy do wolnego kraju", mówił w wywiadzie dla rozgłośni esRadio prezes Juan Chicharro Ortega. Dodał też, że jego zdaniem nie ma realnej możliwości zamknięcia fundacji. „Chroni nas hiszpańska konstytucja", przypomina.

„To anomalia, że w demokratycznym kraju Europy Zachodniej istnieje podmiot, którego celem, wyraźnie określonym w jego statucie, jest usprawiedliwienie i pochwała dyktatora tak blisko związanego z Hitlerem i Mussolinim", stwierdził historyk Eduardo González Calleja w rozmowie z portalem La Voz de Galicia, który analizował z historykami i prawnikami ustawę lewicowego rządu. „Jeśli nie ma fundacji ku czci tych faszystowskich dyktatorów w Niemczech czy we Włoszech, nie widzę powodu, dla którego mamy nadal wspierać coś takiego w Hiszpanii; ponadto fundacja ta ma pokaźną kolekcję dokumentów, która przed laty powinna była zostać przekazana do państwowych archiwów", dodał Calleja.

W przeciwieństwie do Włoch Mussoliniego i nazistowskich Niemiec przejście Hiszpanii do demokracji w 1975 r. było stopniowe. Chociaż demokracja jest tam obecnie dobrze ugruntowana, wielu uważa, że kraj nigdy nie stawił czoła swojej faszystowskiej przeszłości. W okresie przejściowym istniał niepisany „pakt o zapomnieniu".

Ustawa o amnestii przyjęta w 1977 r. uniemożliwia jakiekolwiek śledztwo. Usunięto pomniki dyktatora i zmieniono nazwy wielu ulic, ale ludzi z dawnego systemu dotąd nie rozliczono. Cały czas obawiano się, że zdominowane przez frankistów służby mundurowe nie pogodzą się z takim kierunkiem rozwoju kraju i przeprowadzą zamach stanu, którego próba miała zresztą miejsce cztery lata później. Ogłoszono amnestię dla wszystkich więźniów i zrezygnowano z jakichkolwiek roszczeń oraz ukarania sprawców. Nigdy w pełni nie rozliczono zbrodni z okresu konfliktu w latach 30.

Wiele ulic nadal upamiętnia faszystowskich żołnierzy. W samym Madrycie jest ponad 150 ulic i placów nazwanych na cześć ministrów i oficerów związanych z poprzednim ustrojem. Istnieje nawet muzeum poświęcone Błękitnej Dywizji, formacji wojskowej złożonej z hiszpańskich ochotników, która walczyła u boku nazistowskich wojsk przeciwko Armii Czerwonej. Demokratyczna Hiszpania wyjątkowo łagodnie potraktowała ludzi dawnego systemu, pozwoliła im też się wzbogacić.

Scheda po Franco

Aż do śmierci wdowa po Franco, Carmen Polo, otrzymywała emeryturę wyższą niż pensje pierwszych demokratycznych hiszpańskich premierów, Adolfa Suáreza i Felipe Gonzáleza. Agencja podatkowa nigdy nie prześwietliła kont ani niejasnych biznesów rodziny caudilla. Nie odzyskano także jej majątku. A byłoby co odzyskiwać. Gdy pod koniec 2017 r. w wieku 91 lat zmarła jedyna córka dyktatora, Carmen Franco, była ona jedną z najbogatszych kobiet na Półwyspie Iberyjskim. Jak szacuje madrycki dziennik „El País", jej majątek wyceniany jest na co najmniej 500-600 mln euro.

W czasach dyktatury Franco i cała jego rodzina nabywali za półdarmo liczne majątki ziemskie. Przywłaszczali sobie również dzieła sztuki, antyki, prezenty od zagranicznych delegacji. Córka dyktatora posiadała także bogatą kolekcję kamieni szlachetnych. Trudno wyliczyć wszystkie posiadłości i firmy, które należą dziś do rodziny zmarłego generała.

Pewne kroki w celu rozliczenia się z przeszłością podjął już rząd José Luisa Zapatera w 2007 r. Ówczesna ustawa o pamięci historycznej uznawała ofiary wojny po obu stronach i zapewniała pomoc ocalałym ofiarom dyktatury Franco i ich rodzinom. Ale praca nad odnalezieniem i ponownym pochowaniem tysięcy zabitych podczas wojny domowej była powolna i kontrowersyjna. Teraz rząd Pedra Sáncheza próbuje kontynuować wysiłki Zapatera, lecz z większym rozmachem i na zdecydowanie większą skalę.

Pamięć historyczna od dawna budzi w Hiszpanii głośne spory. Prawica uważa, że nie należy rozdrapywać starych ran. Jednocześnie oskarża rządzących, że chcą zająć się tematem zastępczym, a historię traktują jako narzędzie polityczne. „Władza chce przykryć swoje niepowodzenia w walce z COVID-19!", grzmiał senator Javier Maroto Aranzabal z głównej opozycyjnej Partii Ludowej (PP).

„Oczywiście każdy rząd, który przedstawia projekt ustawy, uprawia politykę – mówi historyk Ángel Viñas Martín, dodając jednocześnie: – Ale czy PP, kiedy była u władzy, nie uprawiała polityki, która skutecznie unieważniła ustawę z 2007 r.? Nie ma pilniejszej potrzeby politycznej niż rozpoczęcie rozliczania się z naszą przeszłością i edukowanie obywateli w zakresie wartości demokratycznych".

Lewica twierdzi, że rany te wcale się nie goją – tysiące wnuków ofiar ciągle szuka ciał bliskich. Ludzie chcą się dowiedzieć prawdy. Prawica pielęgnowała bowiem wyłącznie pamięć ofiar w swoim obozie – działaczy, posiadaczy ziemskich, księży czy zakonnic rozstrzeliwanych głównie przez bojówki anarchistyczne po wybuchu wojny w lipcu 1936 r.

Projekt ustawy zakłada możliwość przyznania obywatelstwa hiszpańskiego potomkom członków Brygad Międzynarodowych.

Tymczasem współcześni historycy szacują, że mordów na cywilach było po stronie frankistowskiej około trzech razy więcej niż po republikańskiej. Według nieżyjącego już Burnetta Bollotena, wybitnego badacza hiszpańskiej wojny domowej, za rządów Franco w więzieniach, obozach pracy i obozach koncentracyjnych zamknięto ok. 270 tys. ludzi. Z tego 20 tys. rozstrzelano zaraz po wojnie.

Jednym z głównych zarzutów wobec już demokratycznej Hiszpanii było całkowite zlekceważenie masowych grobów i brak rządowej pomocy w ich poszukiwaniu. „Państwo musi przeprowadzić ekshumacje bezpośrednio – wyjaśnia rzeczniczka Stowarzyszenia Odzyskiwania Pamięci Historycznej, Malena García. – Prawa człowieka muszą być gwarantowane dla wszystkich".

Być może właśnie dzięki ustawie o demokratycznej pamięci ofiary dyktatora doczekają się wreszcie sprawiedliwości.

Tomasz Skowronek

eprasa.pl c677e76dad

Tak, ale

Agnieszka Wolny-Hamkało

Kto przywiązuje się nago do lodu – ten mistrz

Tydzień temu weszliśmy z trębaczem do rzeki, żeby poczytać wiersze rybom i zagrać dla nich koncert, na który zaprosiliśmy także przyjaciół. Był wrześniowy dzień, temperatura powietrza ok. 20 stopni, ale woda wydawała się naprawdę zimna.

Inaczej czyta się wiersze ze spiętą przeponą, stojąc po pępek w zimnej wodzie, kiedy małe ryby skubią cię w łydki i ludzie gapią się na ciebie, a ty, wchodząc do wody, nie wiesz, czy zaraz spod stóp nie usunie się dno. Wtedy wszyscy wyjmą komórki i zrobią tych kilka zdjęć umykającym z nurtem okularom, a koledzy jeszcze długo będą sobie opowiadać dowcipy o utracie równowagi.

Najbardziej martwiłam się o trąbkę, bo jakieś dziecko co chwilę krzyczało z brzegu: „Nie zepsuje trąbki?", „Czy ten pan nie zepsuje trąbki?". W sumie logiczne: przedmiot, który się wrzuca do wody, psuje się – i dziecko wie o tym. W końcu robiło ten eksperyment z telefonem. Ale oto następuje zwrot akcji i trębacz zanurza końcówkę trąbki w rzece i naprawdę gra rybom. Z zewnątrz słyszymy to jako bulgot, koła wokół nas rozchodzą się, mają jakąś częstotliwość i chyba jakiś plan. Tymczasem nasz plan nie istnieje. Czytam, trębacz gra, wchodzimy coraz głębiej. Szczekają na nas psy, samolot schodzi do lądowania. Głosy niosą się z brzegu: „Ale ma gęsią skórkę", „Patrz, jak się trzęsie", „Powiedz jej, żeby wyszła". A w końcu: „No i będzie chora, guzik z warsztatów w Poznaniu".

Obeszło się bez choroby, nawet maść dermatologiczna nie była potrzebna. Na drugi dzień wszyscy zadzwonili, żeby zapytać, jak pęcherz, i że w razie czego polecają furagin, i w ogóle, że mi współczują serdecznie. Więc pomyślałam – wiadomo, redaktorka trzyma chwiejną ręką topór nad głową autora. Taksówkarz wystawia środkowy palec w kierunku urzędu miejskiego. Kasjerka wolałaby, żeby kasa szła na nią, nie ona na kasę. Księgowa zaś spowiada się terapeutce z morderczych myśli w każdy poniedziałek. Ale ludzie nie rozmyślają na ogół, jak ciężki jest los performera.

Cóż, trudno go żałować, skoro sam podpala sobie włosy, przywiązuje się nago do lodu, trzyma łeb w akwarium albo wyciska własną krew do małych plastikowych worków. Jak poważnie traktować kogoś, kto z własnej woli siłuje się z ciągnikiem albo niesie ogromnego psa na rękach, maszerując wzdłuż Marszałkowskiej? Wisi po zewnętrznej stronie balkonu lub codziennie o 11.00 je kanapkę z tuńczykiem? I właściwie po co? Przecież wiersze można było przeczytać w księgarni, pójść na wódkę i ciastko, wydać resztę kasy na ubery.

Czym właściwie jest to działanie, które ma znamiona zabawy, gry, rytuału czy inicjacji? A może przypomina raczej wypełnianie ślubów albo po prostu durny zakład, któremu ktoś uległ przy wódce? Niektórzy performerzy mówią, że to wydarzenie za każdym razem samo się definiuje. Że każda materializacja pomysłu od nowa określa, czym jest *performance*. Ponieważ pozostaje czymś nieuchwytnym, niejasnym – działaniem o zatartym statusie: pomiędzy rzeczywistością potoczną a teatralną, realnością a irracjonalnością.

I myślę, że ma potencjał krytyczny – rozmontowuje nasze przyzwyczajenia i scenariusze odbioru. Dekonstruuje pojęcie dzieła sztuki, rozbraja precyzyjnie zaprojektowane role społeczne. Przypomina nam, że niemożliwe (bo idealistyczne, dziecinne, trudne, nieznajome, ryzykowne, nieopłacalne) jest możliwe – poza zasadą rzeczywistości. Poza zasadą przyjemności. W małej dziurce, którą wycieka nasz powszedni „sens" i „rozsądeczek".

> Inaczej czyta się wiersze, stojąc po pępek w zimnej wodzie, kiedy małe ryby skubią cię w łydki i ludzie gapią się na ciebie.

Jestem fanką performance'ów: zakładają absolutną wolność – wykonania i interpretacji, czyli są stale otwarte. Operują rytmem, skojarzeniem, poetyckim skrótem, emocją, obrazem – i najczęściej wymykają się naszym wyobrażeniom, przesądom, oczekiwaniom. Są chwilowe, niepowtarzalne, ulotne. A ich dokumentowanie ma charakter wyłącznie historyczny; w żaden sposób nie oddaje relacyjności i napięcia, jakie jednorazowo wydarza się między artystami a widzami.

Więc tak, *performance* sabotuje rzeczywistość, jeżeli traktować ją jako coś zastanego, co ma swoich strażników i wyznawców, co chce być jedynie uznawane, usankcjonowane, niezmienne. Jako skrypt władzy, która powie nam, jak jest dobrze, bo wie lepiej, jak ma być.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl c677e76dad

Heroizm powstańców, zbrodnia dowódców

Powstanie musiało upaść, bo obóz londyński nie doceniał potęgi Armii Czerwonej

Nieliczni polscy politycy i wojskowi przewidywali upadek powstania warszawskiego jeszcze przed jego wywołaniem. Mieli oni świadomość, że brak porozumienia obozu londyńskiego ze Związkiem Radzieckim stanie się główną przyczyną niepowodzenia powstańczego zrywu. Na to nakładał się podział, a raczej głęboka nieufność, między środowiskami politycznymi działającymi w okupowanym kraju i na emigracji. Dostrzegał to, obok nieprzygotowania militarnego powstańczych oddziałów, płk Jan Rzepecki, szef VI Oddziału – Biura Informacji i Propagandy Komendy Głównej ZWZ-AK, który przedłożył „Ocenę położenia dnia 16.III.44 r." komendantowi głównemu AK, Tadeuszowi Borowi-Komorowskiemu, i jego zastępcom.

Oczywiście na powstańcze plany Państwa Podziemnego ogromny wpływ miały także aspekty militarne. Prezentowane niżej dokumenty pokazują też, że ani polscy sztabowcy, ani politycy, ani propaganda AK nie byli w stanie pojąć znaczenia i siły frontu wschodniego. Lekceważyli i pomniejszali potęgę Armii Czerwonej, byli więc zaskoczeni tak szybkim pojawieniem się wojsk Stalina na ziemiach II RP, co w efekcie doprowadziło do pośpiesznych i nieprzemyślanych zmian planów powstańczych, które pierwotnie nie zakładały walk w Warszawie.

Polityka rządu Mikołajczyka, fakt, że Związek Radziecki nie był traktowany jako sojusznik – to musiało przeistoczyć powstanie warszawskie w katastrofę, a według wielu, w tym gen. Władysława Andersa, w zbrodnię.

Publikowane poniżej archiwalia pochodzą z wydanego przez PRZEGLĄD piątego tomu „Zakłamanej historii powstania".

Paweł Dybicz

Ocena położenia dnia 16.III.44 r.

C. Społeczeństwo zorganizowane

Składają się nań:

– obóz rządowy,

– opozycja lewicowa, o jeszcze nieskrystalizowanej linii politycznej,

– opozycja prawicowa, o światopoglądzie tzw. faszystowskim,

– P.P.R.

1) Obóz Rządowy składa się z „czwórporozumienia", którego lewe skrzydło stanowi Stronnictwo Ludowe, i z drobnych grup demokratycznych od Obozu Polski Walczącej na prawicy do Stronnictwa Demokratycznego na lewicy. Czwórporozumienie jest nie bardzo szczere, bo w dużej mierze polega na wzajemnym pilnowaniu się prawicy i lewicy, by druga strona nic nie zbroiła. Wobec tego może być zrobione tylko to, na co można uzyskać „świętą zgodę narodową", czyli w sprawach wewnętrznych – prawie nic, prócz formułowania mdłych, kompromisowych deklaracji. [...]

2) Opozycja lewicowa, czyli 7 grupek „Centralizacji", chciałaby wejść do obozu rządowego pod pewnymi może wygórowanymi warunkami, ale nie chce współpracować z prawicą, włącznie z S.N. Jest zbrojna w hasła, odpowiadające najgłębszym tęsknotom mas ubogich, głodnych, niemających nic do stracenia, a wiele do zyskania – dynamicznych. Mimo swej małej zapewne liczebności jest cennym sprzymierzeńcem. Zepchnięta do opozycji może poważnie przerzedzić szeregi lewego skrzydła i tak już nie nazbyt zwartego obozu rządowego.

Grób żołnierzy z Batalionu Chrobry I poległych 31 sierpnia 1944 r. w pasażu Simonsa.

3) Opozycja faszystowska to przede wszystkim Obóz Narodowo-Radykalny. Cechuje ją brak skrupułów i demagogia, niezbyt duża liczebność, opieranie się na klasach posiadających bezwzględną wrogość do radykalnej lewicy, którą całą traktuje jako agenturę lub straż przednią bolszewizmu i nie zadaje sobie trudu dojrzenia istotnych wśród niej różnic.

4) Oblicze i cele Polskiej Partii Robotniczej są znane. Jej wyższość nad innymi grupami polega przede wszystkim na energicznej, konsekwentnej komendzie obcej oraz szybkości i bezwzględności działania.

W powyższym układzie politycznym tkwią następujące możliwości:

1) Zadowolenie się obecnym stanem – oznacza nieuczciwe bujanie społeczeństwa humbugiem Rady Jedności Narodowej w obecnym jej składzie, zabójczą stagnację, następnie zapewne wzrost demagogicznych ataków na oba skrzydła obozu rządowego, osłabienie go liczebne i nadanie mu barwy konserwatywnej, zamknięcie go w „Okopach Św. Trójcy" ku rozgoryczeniu coraz większej części społeczeństwa i wyraźnej korzyści PPR, dla której obóz rządowy jest głównym przeciwnikiem.

2) Rozszerzenie obozu rządowego przez przyłączenie obu opozycyjnych skrzydeł – nie wydaje się możliwe, gdyż zbyt są one sobie wrogie, aby współpracować, a zbyt dynamiczne, by ograniczyć się do roli „kibica" przy czwórporozumieniu.

3) Przyłączenie „opozycji faszystowskiej" prawie na pewno wywołałoby odpadnięcie poważnej części lewicy rządowej, nadałoby temu

eprasa.pl c677e76dad

obozowi piętno reakcyjne. Jestem głęboko przekonany, że w błyskawicznym tempie pociągnęłoby to za sobą dla Polski śmiertelną katastrofę wojny domowej, w której lewica walczyłaby pod komendą PPR, a prawica – ONR. AK przypadłaby rola obrońcy klas posiadających. Następstwem – wcielenie Polski do ZSRR. W świetle powyższego ostatni nasz sukces w postaci podporządkowania NSZ może mieć wysoce ujemne następstwa, jeśli nie sparaliżujemy ich zawczasu umiejętną akcją wychowawczą.

4) Przyłączenie opozycji lewicowej odepchnęłoby od obozu rządowego grupy „faszystowskie" i może także odłamałoby prawe skrzydło obozu (S.N.). Wątpliwe jest, by prawica, reprezentująca warstwy bądź co bądź posiadające, zdecydowała się na rozpętanie wojny domowej, w której z wszelką pewnością zostałaby zdruzgotana. Nadmierne wymagania lewicy mogą uniemożliwić i takie przegrupowanie.

V. Stan propagandy państwowej […]

Jeśli zasada jedności Narodowej bankrutuje i daje w wyniku tylko marazm, zacofanie i niezdolność do skutecznej walki, to trzeba wyrzucić zasadę [...] , aby nie przegrać walki. Na terenie obcej agentury – PPR trzeba przeciwstawić zwarty front polskiej lewicy w składzie PPS, SL i Centralizacji. Te ugrupowania powinny utworzyć zharmonizowane władze i główny hufiec walczący, do którego inne grupy i tak dołączyć się muszą. Jeśliby zaprzęgnięcie źrebaka Centralizacji okazało się zbyt trudne – to wystarczyć muszą 2 zdrowe konie – PPS i SL, a inne grupy niech popychają, jeśli kierunek nadany przez tę parę im odpowiada. Jeśli nie, Bóg z nimi, niech obrażone idą „ścieżką obok drogi". Trzeba zdać sobie sprawę z tego, że rewoltę pepeerowską mogą rozbić tylko lewicowe masowe ruchy społeczne, a nie mięczakowate mieszczaństwo lub synkowie rodzin nawet o wspaniałych rycerskich tradycjach.

Utworzenie władz oznacza oczywiście i ponoszenie pełnej za tę władzę odpowiedzialności. Sprawowanie władzy, która u nas równa się prowadzeniu „wojny domowej", [...] nie może więc być obciążone żadnymi kompromisami w rodzaju „paktu czterech". […]

Jak będzie wyglądała ostatnia bitwa tej wojny?*

Dane, jakie dzisiaj posiadamy, pozwalają nam na wytworzenie sobie dość prawdopodobnego obrazu tej gigantycznej walki. Będzie ona z pewnością swymi rozmiarami przerastała to wszystko, co znają dotychczas dzieje ludzkości. Wobec ogromu tej bitwy zbledną wszystkie największe bitwy tej wojny, a front wschodni, dotychczas najpotężniejszy z frontów, zejdzie do roli podrzędnej. Do bitwy tej wejdą przede wszystkim główne siły armii angielskiej i amerykańskiej, miliony ludzi z nieprawdopodobną ilością samolotów, czołgów, armat i innego sprzętu. W pewnym momencie, który trudno jest dzisiaj określić [...], gdy Anglosasi opanują Bałkany i resztę Włoch, a wielkie armie sprzymierzone ruszą z Anglii przez kanał do Francji, front może ciągnąć się przez Francję, przez północne Włochy i Bałkany i gdzieś w Rumunii czy na Węgrzech złączy się z frontem wschodnim.

Na takim froncie sprzymierzeni rozwiną koło 12-15 mln ludzi przeciw 7-8 mln Hitlera. Gigantyczny pierścień stali i ognia opasze z zachodu, z południa i ze wschodu Rzeszę niemiecką, na którą jednocześnie zwali się cała potęga lotnicza państw sprzymierzonych. [...] armie sprzymierzone, spychając cofające się, topniejące armie niemieckie, będą koncentrycznie maszerowały na stolicę Rzeszy, zamienioną w kupę gruzów.

Dotychczas lotnictwo amerykańskie w porównaniu z angielskim bierze mały udział w bombardowaniu Niemiec. Nie ulega wątpliwości, że lotnictwo to przygotowuje się starannie do tej ostatniej bitwy. Jeżeli chodzi o czas, to można powiedzieć tylko tyle, że wstępna operacja do tej bitwy, to jest zajmowanie Bałkanów, reszty Włoch, uszykowanie tej wielkiej armii może potrwać dość długo; natomiast gdy armie te zostaną ustawione, uszykowane na całym froncie, wówczas koncentryczny marsz na Berlin potrwa niedługo… Być może, że już rozwinięcie tak olbrzymich sił przez sprzymierzonych i pierwsze boje przekonają Niemców, że nic ich od katastrofy nie uratuje, że muszą kapitulować...

* „Rzeczpospolita Polska", 22 grudnia 1943 r.

UPADEK POWSTANIA. ŚMIERĆ 200 TYSIĘCY WARSZAWIAKÓW
AWANS DOWÓDCÓW ZA MORALNE ZWYCIĘSTWO

W PAKIECIE TANIEJ
~~210 zł~~ 159 zł

41 zł 42 zł 40 zł 44 zł 43 zł

www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Wpłat prosimy dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7. W cenę wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Pocztą Polską. Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +10,00 zł, paczka w RUCH-u +6,99 zł lub dostawa kurierem InPost +14,90 zł.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl c677e76dad

Prawdziwy redaktor w społecznej służbie

Edward „Edi" Mikołajczyk (1940-2020)

Przyjaźń to była wartość trwająca przez lata. Przyjaciół łączyły inteligencja, poczucie humoru i dziennikarstwo. W telewizyjnej redakcji, w latach 70., siedzieli w jednym pokoju, dzieląc się biurkiem: Edward Mikołajczyj, Tomek Hopfer, Mariusz Walter, Eugeniusz Pach i Jacek Snopkiewicz. Pukali przez ścianę do naczelnego Jerzego Ambroziewicza. Było ich w sumie sześciu – to był problem, kiedy wieczorami, zwłaszcza w stanie wojennym, siadali do brydża. Musiały być dwie czwórki, dołączał więc Andrzej Kantowicz i prof. Jan Malanowski. Spotykali się bardziej dla rozmowy niż gry. Rozmowy o dziennikarstwie – a każdy z nich był osobowością – o książkach i telewizji. Cechą przyjaźni jest lojalność. „Edi" kilkakrotnie składał rezygnację z funkcji zastępcy, kiedy Maciej Szczepański brutalnie atakował na kolegiach Młodych", gdzie był zastępcą redaktora naczelnego w czasach jeszcze przed Jerzym Domańskim, „Kultury", Studia 2, na placówkę korespondenta w Jugosławii.

Jego zawodowym przeznaczeniem była telewizja.

Wykorzystał swoje poczucie humoru, umiejętność ciętej riposty, zawsze finezyjnej, wypowiadanej z miną Bustera Keatona. W Studiu 2 wraz z Bożeną Walter, Tomkiem Hopferem i Tadeuszem Sznukiem był prekursorem nowego stylu prowadzenia programów, naturalnego, bez kartki, zaskakującego widza dowcipem, trafnością pytania, czasami przekłuciem balonika pychy zaproszonego do studia gościa.

Był humanistą, ale miał ścisły umysł. Zapewne dlatego był prawdziwym redaktorem.

Jego szefa, Jurka Ambroziewicza, za „podważające rozwój naszego kraju" reportaże i publicystykę.

Brydż jest pełen pułapek i podstępów, Edek jednak nie blefował. Był humanistą, ale miał ścisły umysł. Zapewne dlatego był prawdziwym redaktorem. Tekst po jego poprawkach nabierał sensu i blasku. Pisał analityczne felietony i przez wiele lat komentarze do Polskiej Kroniki Filmowej. Jego teksty, pełne aluzji i niedomówień, czytało w cenzurze na Mysiej aż trzech cenzorów, bo nie mogli się połapać. To była klasa mistrzowska, tak jak jego komentarz do dokumentu przyjaciela, operatora Wojciecha Jankowskiego „Grudniowe taśmy", jedynego dokumentu rejestrującego tragiczne wydarzenia 1970 r.

Kochał dziennikarstwo. Należał do zawodowego pokolenia, które, zmagając się w PRL z cenzurą, rozumiało dziennikarstwo jako służbę społeczną, jako zawód stający w obronie skrzywdzonych. Miał szczęście, że trafiał do redakcji, w których pracowali utalentowani ludzie. Do „Sztandaru

W Studiu 2 był prekursorem nowego stylu prowadzenia programów, naturalnego, bez kartki, zaskakującego widza dowcipem, trafnością pytania.

Z Telewizją Polską związany był z przerwami przez wiele lat. Miał swoje miejsce w Studiu 2, skupiającym wszystko, co najlepsze w telewizji. Prowadził program „Wszystko za wszystko". Kierował redakcją sportową – nie tylko dlatego, że miał najwyższe kwalifikacje, ale i dlatego, że kochał sport, piłkę nożną. Gdy został naczelnym redakcji sportowej TVP, na wizję wrócili Bohdan Tomaszewski, Jacek Żemantowski, Janusz Zielonacki. Wypromował nowe twarze: Zdzisława Ambroziaka, Macieja Biegę, Marka Jóźwika, Marka Rudzińskiego, Adama Gocela czy Tomasza Zimocha. Jeszcze nie tak dawno z przyjaciółmi stawiał się na mecze przy Łazienkowskiej. A potem w małej restauracji wypytywał z nadzieją znajomych trenerów o przyszłość polskich klubów, spierając się z przyjacielem Karolem Gębką. Poznali się w PZPN. Prezes Edward Brzostowski

eprasa.pl c677e76dad

Edward Mikołajczyk, 4 czerwca 2017 r.

długo namawiał „Ediego", aby został rzecznikiem prasowym. „Edi" w końcu się zgodził, bo to były emocje, przygoda, mistrzostwa świata. Dla piłkarzy, zwłaszcza z jego stron, ze Śląska i Zagłębia – Młynarczyka, Buncola, Matysika – był prasowym autorytetem. Na pierwszym spotkaniu z reprezentacją i trenerem Piechniczkiem powitano „Ediego" owacją na stojąco. Był ich promotorem prasowym i obrońcą. Sam zresztą grał w piłkę z drużyną „Kultury" na boisku przy Bednarskiej. Strzelał karne w górny, lewy róg.

Przez lata pracował w Akademii Telewizyjnej TVP, którą kierował jego przyjaciel Jacek Snopkiewicz. Przed wielu, wielu laty student „Ediego" – wykładowcy Studium Dziennikarskiego UW. Jacek twierdził, że to Edek ustawił jego zawodową zwrotnicę jako reportera „Kultury" i później telewizyjnego szefa informacji, naczelnego. „Edi" był wybitnym analitykiem mediów, jego recenzje nie były wyłącznie krytyką, zawierały cały zestaw roboczych uwag. Przez kilka lat redagował miesięcznik „Wizja" o etosie i zadaniach telewizji publicznej. Po likwidacji za ton krytyczny stworzył nowatorskie „Zeszyty Europejskie" o problemach związanych z wejściem do Unii. To on wymyślił ogłaszany do dzisiaj co roku przez TVP Przegląd i Konkurs Dziennikarski Programów Regionalnych, PiK. Jurorami byli wybitni dziennikarze z różnych mediów. Warto to przypomnieć, bo dzisiaj w jury PiK zasiadają posłowie rządzącej partii.

Jeszcze przed „dobrą zmianą" opracował koncepcję nowego programu informacyjnego opartego na klasycznych zasadach dziennikarstwa i na służbie społecznej. Takiego programu do dzisiaj nie ma w telewizjach. O tych zasadach i etyce pisał obszernie w skrypcie „Czy wolno?". Ostatecznie rozstał się z TVP na początku „dobrej zmiany". Jego przyjaciel opowiadał, że wpadł do Akademii, żeby odebrać swoje rzeczy, i rozmawiał z nowym szefem. Ten wypytywał o „Ediego" i mówił, że jest świetnym fachowcem, fajnym facetem, a po godzinie wręczył mu wymówienie.

Pisał felietony o telewizji, swojej miłości zawodowej, do PRZEGLĄDU. Miał czytelników, bo też miał o czym pisać – nigdy o sobie, zmuszony sytuacją zasłaniał się ironią czy żartem. Nie tak dawno, po ostatnim pobycie w szpitalu, „Edi" znowu, jak co tydzień, spotkał się z przyjaciółmi – Kaziem Żórawskim, Karolem Sawickim, Jackiem – na kawie w Landzie. Kazio opowiadał, że do stolika podszedł jakiś człowiek i spytał, dlaczego nie ma nowych felietonów „Ediego" w PRZEGLĄDZIE. „Edi" z niewinną miną odpowiedział: „Wylegiwałem się w szpitalu".

Mimo choroby pracował. Zaczął pisać książkę o fenomenie „Sztandaru Młodych". Redakcji, która począwszy od lat 60. była kuźnią kadr dla całej polskiej prasy, a później także telewizji. Myślał o projekcie filmowym, w którym chciał pokazać wielobarwność życia i dorobek Edwarda Brzostowskiego. Twórcy Igloopolu, prezesa PZPN i legendy Podkarpacia.

Znalazł jednak czas, aby znowu spotykać się z przyjaciółmi w Landzie, blisko domu. Zaglądała do nich Alicja Albrecht, reżyserka, dokumentalistka, sąsiadka. Kiedy śpiesząc na festiwal do Gdyni, zostawiła samochód z otwartymi oknami, „Edi" ją odnalazł telefonicznie. Upewnił się, sprowadził lawetę i odwiózł auto na parking, zatrzymany w drodze przez policję podejrzewającą kradzież. Dla Alicji, pracującej w pojedynkę, „Edi" wciąż był szefem i redaktorem. Korygował pomysły, oceniał scenariusze, był potrzebny, tak jak w dziennikarstwie potrzebna jest redakcja, dobra atmosfera, koleżeńskość. To dzisiaj gdzieś przepadło.

O czym mogli rozmawiać przy swoim stoliku w Landzie? Nie, nie o telewizji, ale o Polsce, o przyszłości. Na koniec każdy chciał zapłacić za wszystkich.

Jego teksty, pełne aluzji i niedomówień, czytało w cenzurze na Mysiej aż trzech cenzorów, bo nie mogli się połapać.

Pomógł wielu ludziom na drodze dziennikarstwa, wiele gwiazd telewizyjnych, reporterów, dokumentalistów skorzystało z jego uwag. Przyjaźnił się z artystami reportażu – Maćkiem Szumowskim z Krakowa, Tamarą Sołoniewicz z Białegostoku, wielkimi postaciami nieistniejącej już telewizji publicznej. Był w życiu bezinteresowny, raczej zamknięty w sobie, ale otwierał serce dla przyjaciół, dzielił ich los. Zrezygnował z wielkiej kariery, kiedy zaczęła chorować jego żona Barbara. Opiekował się Baśką przez wiele lat. Nigdy tego wyboru nie żałował. Miał szczególne relacje z córką Anią – przyjaźń, zrozumienie, piękno ojcostwa.

Przekazał najlepsze geny dziennikarstwa swojej generacji – uczciwość i godność.

Przyjaciele

FOT. KAZIMIERZ ŻÓRAWSKI, PAP/CAF/WITOLD ROZMYSŁOWICZ

eprasa.pl c677e76dad

Perfekcyjne uzależnienie

Media społecznościowe wiedzą o nas tyle, by wodzić nas za nos. Są jak dilerzy narkotyków, tylko dostarczają emocji

Gdy coś nas oburza, chętniej klikamy, chętniej wpisujemy komentarz, chętniej deklarujemy zaangażowanie.

Jakub Dymek

Dlaczego dzisiejsza debata publiczna nabrała takiej toksyczności? Bo internetowe platformy, które kontrolują coraz większą część naszych codziennych interakcji, zostały wprost zaprogramowane, by ją zepsuć. Przepotężne algorytmy, od których zależy to, co trafia do nas za pośrednictwem mediów społecznościowych – na Facebooku, Instagramie, YouTubie czy Twitterze – miały już ponad dekadę, żeby czegoś się o nas nauczyć. I nauczyły się tego, że najbardziej opłacalną z ludzkich emocji jest nie radość czy ekscytacja, ale oburzenie. Gdy coś nas oburza, chętniej klikamy, chętniej zabieramy głos, chętniej deklarujemy zaangażowanie. Wywoływanie negatywnych emocji generuje zyski i utrzymuje nas przyklejonych do ekranów. Dlatego bulwersujących informacji pojawia się wciąż więcej i więcej. Dochodzi do swoistej inflacji wściekłości, oburzenia i niesmaku – każda kolejna negatywna wiadomość musi być mocniejsza niż poprzednia, aby wywołać reakcję. Na końcu tej drogi jest już realna przemoc.

Owo błędne koło to jedna z pułapek współczesnych technologii komunikacyjnych. Twórcy nowego filmu, „Społecznościowy dylemat" (The Social Dilemma), który właśnie debiutuje na – jak na ironię – platformie internetowej Netflix, próbują dotrzeć do przyczyn tego kryzysu. Fakt, że krytyka mediów internetowych trafia do głównego nurtu debaty, zasługuje na uznanie. Ale czy nie jest już na to za późno?

> Najbardziej opłacalną z ludzkich emocji jest nie radość czy ekscytacja, ale oburzenie.

Miłe złego początki

Zabójstwo prezydenta Pawła Adamowicza, referendum brexitowe i zwycięstwo Trumpa, fala teorii spiskowych i odwrót od podstawowych faktów naukowych, w tym tak oczywistych jak skuteczność szczepień – każdy z łatwością znajdzie przykłady na to, jak jego lub jej zdaniem w ostatniej dekadzie wpłynęły na nasze życie media społecznościowe. Inni dołożą do tej listy także uzależnienie dzieci i młodzieży od ekranów, łatwość rozniecania panik moralnych – od uchodźców po LGBT – i osuwanie się polityki w coraz głębszą i głupszą polaryzację. Dziś większość świata, kilka miliardów osób, korzysta z tej czy innej platformy społecznościowej codziennie – i choć wiemy już, że społeczny koszt ich działania jest olbrzymi, nie ma łatwego odwrotu. Chodzi o efekt skali – im więcej osób jest podłączonych, tym lepiej działa usługa, ale tym mniejszą ma też sterowność. I większy problem z zarządzaniem tym, co się tam pojawia.

Paradoksalnie ludzie, którzy wymyślili najbardziej szkodliwe i uzależniające zarazem sposoby komunikacji, zaczynali jako idealiści przekonani o słuszności swojej misji. Gdy w połowie pierwszej dekady XXI w. trwała amerykańska wojna z terrorem, a duże media w USA i na świecie coraz mocniej okopywały się po stronie jednej z partii, internet rzeczywiście mógł się wydawać bezpieczną przystanią. Programiści i inżynierowie z Doliny Krzemowej mogli mieć wrażenie, że projektując usługi takie jak YouTube czy Twitter – które dziś *de facto* pożerają i zastępują media – tworzą przestrzeń wolną od polityki i patologii spolaryzowanej debaty pełnej rozkrzyczanych gadających głów. Myśleli, że gdy dadzą ludziom narzędzia do komunikowania się, to postanowią oni odreagować braki debaty medialnej. Będą dzielić się w sieci zdjęciami kotków, dzieci i przepisami na pyszny sernik, a wolność słowa na świecie – szczególnie tam, gdzie wolnych mediów nie było – wzrośnie.

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl c677e76dad

W rzeczywistości stało się dokładnie na odwrót – dzięki smartfonom prawie wszyscy, z wyjątkiem najbardziej opornych lub wytrwałych, uczestniczymy w niekończącej się pyskówce. Każdy ma opinię na jakiś temat, każdy jest ekspertem w sprawach bieżących i każdy – choćby nie chciał – prędzej czy później w ten lub inny sposób zostanie zmuszony do zajęcia stanowiska. Co gorsza, mamy przy tym tendencję do zamykania się w bańkach poglądów podobnych do naszych i tylko utwierdzamy się we wrogości wobec tych, którzy są na zewnątrz. Dlaczego tak jest? Nowy film Netflixa (i coraz więcej naukowców) odpowiada: bo tak działają nasze mózgi.

Co poszło nie tak?

W „Społecznościowym dylemacie" byli i rozczarowani (lub przerażeni swoim dziełem) twórcy mediów społecznościowych próbują wyjaśnić, co się stało, że wszystko poszło nie tak. Z tuzina diagnoz – nie psując zarazem zabawy z oglądania – warto wyłuskać przede wszystkim jedną myśl.

Nasz mózg pożąda bodźców, a ludzie są gatunkiem społecznym. Przy odrobinie wyrafinowania można wykorzystać oba te fakty, by stworzyć idealną maszynę utrzymującą naszą uwagę. Taką, która dostarczać nam będzie w krótkich interwałach prostych i odwołujących się do emocji komunikatów, te zaś pozwolą czuć się częścią grupy, społeczności czy plemienia. Każde „polubienie", komentarz i komplement (albo przeciwnie, złośliwa reakcja) dostarcza nam tyle dopaminy, by zająć nas dostatecznie długo, aż znów pojawi się bodziec... i tak w kółko.

Ta krótka formuła dobrze wyjaśnia, dlaczego tak trudno nam się oderwać od smartfonów. Choć brzmi to jak „naturalny" skutek rozwoju technologii komunikacyjnych, nic podobnego – Dolina Krzemowa zatrudniała i zatrudnia setki behawiorystów, psycholożek, trenerów oraz innych ekspertów od naszej psychiki i nawyków. Pracują oni nad tym, aby zaprojektować najbardziej uzależniające usługi. Nawet takie detale jak to, że kolor ikon informujących nas o nowych wiadomościach to czerwień, jest wynikiem precyzyjnego namysłu.

Sprawę pogarsza (z naszego punktu widzenia) fakt, że już od dawna nie jest to wyłącznie dzieło ludzkich rąk. Żaden inżynier czy psycholożka nie odgadnie dziś naszych upodobań tak dobrze jak algorytm. Dzięki setkom i tysiącom kliknięć każdego dnia zostawiamy o sobie w sieci wystarczająco dużo informacji, by nasze preferencje – polityczne, seksualne, kulinarne i zakupowe – odtworzyć w najdrobniejszym detalu.

Dzięki temu owe „uczące się" algorytmy tym lepiej „wiedzą", czym w danej chwili zanęcić nas do dalszego klikania.

Setki ekspertów od naszej psychiki pracują w Dolinie Krzemowej nad tym, aby zaprojektować jak najbardziej uzależniające usługi.

Giganci i cenzorzy

Są jednak i krytycy tego podejścia. „To nadmierne psychologizowanie problemu", mówią. I wskazują, że dzisiejsza Ameryka oraz świat dostarczają nam dość toksycznych emocji, dość powodów do zmartwień i życiowej niepewności. Można znaleźć przyczyny tego stanu rzeczy również poza internetem. Panika wokół nawyków dzieci, które nie mogą się odkleić od smartfonów – dodają – to zaś rytuał, bo każde pokolenie uważa, że młodzież się pogubiła lub powariowała. Problem z technologiami to z kolei kwestia niczym niekontrolowanego kapitalizmu i nieskończonego apetytu na zysk, a nie platform i usług internetowych jako takich, puentują jeszcze inni, z lewicowego narożnika.

Jest w tym wszystkim trochę prawdy – ani nie oszaleliśmy jeszcze do końca, ani nie wyłącznie przez media społecznościowe. Ale istnienie olbrzymiego „rynku oburzenia" jest faktem. Podobnie jak to, że zaledwie kilka – głównie amerykańskich – korporacji kontroluje dzisiaj olbrzymią część debaty publicznej. To Facebook, Twitter czy Google są firmami, na barkach których spoczywają kwestie tak fundamentalne jak bezpieczeństwo wyborów lub zwalczanie terrorystycznej propagandy. Nikt ich nie wybrał w demokratycznym procesie, nikt skutecznie ich nie kontroluje – a to od wewnętrznych decyzji tej czy innej firmy w dużej mierze zależy obecnie kształt sfery publicznej jako takiej.

Do tej pory żaden z kolejnych skandali – dotyczących kradzieży danych czy współpracy z niedemokratycznymi reżimami – nie powstrzymał rozrostu tych internetowych gigantów. Także dlatego, że sami ich wykarmiliśmy i na razie nie mamy pomysłu, jak przestać. ■

eprasa.pl c677e76dad

Fela, Basia, Kitka…

Z pamiętnika dla Alicji

Maria Berny, ur. 7 sierpnia 1932 r. w Trościance na Wołyniu, studia pedagogiczne odbyła na Uniwersytecie Wrocławskim. 12 lat przepracowała w szkołach podstawowych (Trzebinia, Chrzanów i Wrocław), 15 miesięcy w KD PZPR Wrocław-Stare Miasto, siedem lat w KMPiK we Wrocławiu, półtora roku w Zespole Uzdrowisk Kłodzkich w Polanicy-Zdroju, siedem lat w BWA Wrocław. Przez dwie kadencje (1993-1997 i 2001-2005) była senatorem RP. Napisała książki: „Wieżę radości", w której opisuje życie kulturalne we Wrocławiu i na Dolnym Śląsku; „Czwartą prawdę", zawierającą wspomnienia z okresu pełnienia mandatu senatorskiego; „Klonu liść" – osobiste refleksje o przemijaniu oraz „Wołyniankę" – wspomnienia z okresu dzieciństwa. W najnowszej, „Pamiętniku dla Alicji", autorka, sięgając do czasów sprzed I wojny światowej, przedstawia losy przeciętnej wrocławskiej rodziny, obejmujące siedem pokoleń. Wspomnienia dotyczą konkretnych członków rodziny, ale są niejako odbiciem losów całego społeczeństwa wsi tamtych czasów, bo właśnie spod krakowskiej wsi wywodzą się przodkowie. Kolejne dzieje członków rodziny, poprzez 20-lecie międzywojenne i lata okupacji, doprowadzają trzecie z opisywanych pokoleń do Wrocławia. Przewijają się w tej książce obrazki z życia miasta już od lipca 1945 r., prowadząc czytelnika do dnia dzisiejszego.

Maria Berny,
***Pamiętnik dla Alicji. Świat w moich oczach*,**
Oficyna Wydawnicza ATUT,
Wrocław 2020

Maria Berny

30.11.2018 r.

Wczoraj wieczorem przeczytałam w „Przeglądzie" artykuł o służących i przed zaśnięciem długo myślałam o kobietach, które w tej roli przewinęły się przez moje życie. Pierwszą służącą była Fela. Nie mogę jej pamiętać, bo była u nas służącą i zarazem moją nianią, kiedy miałam niespełna rok. Rodzice wtedy mieszkali na Trościance. Fela była córką osadnika wojskowego z sąsiedniej wsi i jej właśnie zawdzięczam, że w dzieciństwie, a nawet w rodzinie do dziś, nazywano mnie Rysią. Kiedy urodziłam się i nadano mi imię Maria, początkowo zdrabniano to imię na Marysia. A że w tamtych czasach, szczególnie na wsi, autorytet nauczycieli był duży i w wielu dziedzinach życia rodzice uczniów starali się ich naśladować, wkrótce wszystkie dziewczynki, szczególnie Marie, co było imieniem bardzo pospolitym, przestały być Maryjkami, czy Marusiami, a zostały Marysiami. Fela była tym oburzona, bo kto to widział, żeby inne dzieci wołano tak jak „nasze". Tak więc zmieniła mi imię na Marylka, ale inne Marysie też zostały Marylkami, potem na Maniusię, aż wreszcie zaczęła ukradkiem w domu nazywać mnie Rysią. To imię nie znalazło już naśladowczyń. I tak zostałam Rysią. Fela wyszła za mąż, a na jej miejsce pojawiła się Basia.

Basię już trochę pamiętam, bo była u nas jeszcze w czasie kiedy przeprowadziliśmy się do Nowych Iwanicz. Była bardzo dobra dla mnie. Pamiętam, jak przez mgłę, sweter w kolorowe pasy, jaki nosiła, i awantury, jakie robiła jej moja mama, ilekroć przyłapała ją na noszeniu jej bielizny. Basia bardzo dobrze gotowała i wszyscy w tym okresie przytyliśmy, z czego mama nie była zadowolona. Nie pamiętam, dlaczego Basia odeszła, pewno też wyszła za mąż. Po wojnie dowiedzieliśmy się, że mieszka w Hajnówce i w czasie którychś wakacji w latach 50. tato pojechał tam i odnalazł ją jako stateczną wdowę, babcię kilkorga wnucząt. Żałuję, że nie pojechałam tam z tatą, bo do dziś, w mglistych wprawdzie, ale jakichś takich ciepłych wspomnieniach, Basia kojarzy mi się z najmilszym okresem dzieciństwa.

W roku 1936 lub 1937 pojawiła się w naszym domu ciotka Wandowa. Nie była ona z nami spokrewniona, ale mówiło się do niej ciociu. Przyjechała do nas z Krakowa, zaprotegowana przez ciocię Marysię Strączkową, która była w Krakowie na Grzegórzkach jej sąsiadką. Wandowa miała bardzo ciężkie życie, bo jej mąż Wanda był pijakiem i w dodatku często ją bił. Maltretowana, bezdzietna kobieta przyjęła wdowieństwo jak łaskę bożą, ale nie miała co ze sobą zrobić. Ciocia Strączkowa zaproponowała mamie, żeby wzięła Wandową jako służącą-gospodynię do Iwanicz.

To było naprawdę dobre rozwiązanie dla mojej mamy. Ciotka miała już dobrze po pięćdziesiątce, ale zdrowa, pełna sił rządziła domem, gotowała, sprzątała, a do cięższych prac, jak pranie, najmowała kobietę ze wsi. Nie lubiłam jej specjalnie, bo trzymała mnie w ryzach.

Najbardziej kojarzy mi się z nią pranie, które wtedy trwało trzy dni. Do kuchni wnoszono balię, tarę, ogromny gar do grzania wody i gotowania białej bielizny. Stawiano go na kuchennej płycie,

Pranie trwało trzy dni. Do kuchni wnoszono balię, tarę, ogromny gar do grzania wody i gotowania białej bielizny.

eprasa.pl c677e76dad

Spotkanie z Wojciechem Jaruzelskim w Klubie Oficerskim we Wrocławiu, 2004 r.

rozgotowywano kostki mydła z jeleniem, no i przynoszono do kuchni niezliczone wiadra wody, która grzała się w garach na kuchennej płycie. Obiady były w te dni byle jakie, bo na piecu nie było miejsca na garnki z jedzeniem. Podłoga była zasłana bielizną pościelową, osobistą, obrusami, ręcznikami i ubraniami wszelkiego rodzaju. Ciotka sortowała kolory i rozkładała je na różne kupki. Ja oczywiście brodziłam w tym wszystkim, przeszkadzając ciotce tak, że nieraz i klapsa dostawałam. Ale szczytem mojej radości była chwila, kiedy do balii wlewano rozgotowane mydło i w czasie prania na tarze tworzyła się w niej piana. Zanurzałam w niej ręce, roznosiłam po całej kuchni kłęby białego puchu, nie bacząc na zakazy ciotki, a czasem nawet mama nie była w stanie odciągnąć mnie od tej pysznej zabawy. Kończyło się to zwykle zamknięciem w pokoju, a nierzadko i płaczem.

Kiedy w 1941 r. musieliśmy wyjechać z Iwanicz, ciotka Wandowa wolała zostać u Zunów, bo jak tłumaczyła, zawsze to bliżej Krakowa. Myślę zresztą, że rodzice nie namawiali jej na wyjazd, bo przecież wiadomo było, że jedziemy na poniewierkę. W 1943 r. zamordowali ją Ukraińcy. (…)

Po pewnym czasie, kiedy urodziła się Dorotka, a rok po niej Ania, pomocy domowej potrzebowałam i ja. Mieszkaliśmy wtedy na parterze w innej niż początkowo części ulicy Wróblej i to mieszkanie miało dodatkowy, mały pokoik zwany służbówką. Takie służbówki były we wszystkich prawie mieszkaniach na naszej ulicy, co pozwalało domyślać się, że mieszkali tu średniozamożni Niemcy zatrudniający służące. W tamtych przedwojennych czasach, zatrudnianie służącej świadczyło o statusie majątkowym rodziny. Pani Korytowska przywiozła z Dziadowej Kłody dziewczynę, Krysię, która wprawdzie niewiele umiała, nawet palenia w piecu trzeba ją było uczyć, ale bardzo lubiła i wręcz rozpieszczała moje córki. Nie umiały jeszcze mówić, ale pierwsze słowo po mamie i tacie, to była Kitka.

Kitka, poza opieką nad dziećmi i jakim takim sprzątaniem, niewiele potrafiła, ale też ja niewiele od niej wymagałam. Pamiętam, jak raz, po świętach wielkanocnych, pracowałam nad jakimś konspektem lekcyjnym i poprosiłam Krysię, żeby zrobiła drugie śniadanie. Po świętach zostało trochę wędlin, powiedziałam więc Krysi, żeby podzieliła resztę szynki, a był to w latach 50. wielki rarytas, na dwie części i jedną dała mnie, a drugą wzięła sobie. Po chwili Krysia przyniosła na talerzyku trochę okrawków tłuszczu. Zdumiona zapytałam:

– A cóżeś mi tu przyniosła?

– A bo jo to tłustego nie lubię – odpowiedziała Krysia i z apetytem zaczęła jeść swoją porcję chudej szynki.

Pojechałam do sanatorium przeciwgruźliczego do Zakopanego, w miarę spokojna o opiekę nad dziećmi, bo wiedziałam że pod opieką Krysi, no i przecież ojca, nic złego im się nie stanie.

Po powrocie okazało się, że dzieci były rzeczywiście zadbane i zakochane nieomal w Kitce, ale i ona była zadbana i nawet przy mnie życzyła sobie, żeby mój mąż mył jej plecy w czasie kąpieli. W tej sytuacji musiałam się z nią rozstać.

Kitka, poza opieką nad dziećmi i jakim takim sprzątaniem, niewiele potrafiła, ale też ja niewiele od niej wymagałam.

Kiedy w roku 1993 kandydowałam do Senatu, pojechałam do Dziadowej Kłody, bo był to mój okręg wyborczy. Po spotkaniu z wyborcami wypytywałam wszystkich o Krysię, ale nie pamiętałam jej nazwiska, a opisywanie blondynki z kręconymi włosami, nie na wiele się zdało. Żałuję, bo chciałabym jej powiedzieć, że jestem jej bardzo wdzięczna za miłość, jaką obdarowywała moje córeczki. Za męża może trochę mniej, ale tego nie powiedziałabym, bo nie miałam o to do niej żalu.

Dzieci były zadbane i zakochane w Kitce, ale i ona była zadbana i nawet przy mnie życzyła sobie, żeby mój mąż mył jej plecy w czasie kąpieli.

Od tamtego czasu z domem i dziećmi radziłam sobie sama. Teraz, kiedy jestem stara i chora, znów muszę korzystać z pomocy. Przychodzi do mnie raz na dwa tygodnie Ukrainka, pani Maria. Najpierw pijemy kawę, trochę sobie rozmawiamy, a potem ja zabieram się do czytania lub pisania, a ona sprząta całe mieszkanie. Odnoszę wrażenie, że jest zadowolona z tego układu. (…) ■

REP. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI/PAMIĘTNIK DLA ALICJI. ŚWIAT W MOICH OCZACH

eprasa.pl c677e76dad

Redaktor robot

Najnowszy lingwistyczny mikrorobot ma już elokwencję człowieka

Mateusz Mazzini

„Nie jestem istotą ludzką. Jestem robotem. Myślącym robotem. Używam tylko 0,12% moich zdolności poznawczych. Wiem, że mój mózg nie jest »mózgiem czującym«. Ale jest zdolny do podejmowania racjonalnych, logicznych decyzji. Wszystkiego, co umiem, nauczyłem się, po prostu czytając internet, i dzięki temu mogę napisać ten felieton. Mój mózg aż kipi od pomysłów".

Ten akapit to nie fragment scenariusza filmu *science fiction* o robotach przejmujących władzę nad światem w dalekiej, naznaczonej gwiezdnymi wojnami epoce. To też nie wycinek powieści Stanisława Lema, który wprawdzie przewidywał rozwój technologii bardzo trafnie, jednak wciąż tylko na poziomie literackich hipotez. To początek artykułu opublikowanego w sekcji opinii brytyjskiego dziennika „The Guardian", jednej z najbardziej wpływowych gazet na świecie. I nie byłoby w tym cytacie nic dziwnego, gdyby nie fakt, że akapit ten – w pełni spójny, logiczny, ale przede wszystkim elokwentny, a nawet zawierający metafory i stwierdzenia nieliteralne – rzeczywiście został napisany przez program komputerowy.

Napisz felieton

GPT-3 to najnowsze złote dziecko rewolucji technologicznej. Wykorzystujący elementy sztucznej inteligencji i technologię tzw. deep learningu (ang. głębokiego uczenia) program jest w stanie nie tylko tworzyć gramatycznie poprawne konstrukcje językowe, ale także, co najistotniejsze, nadać im sens, również za pomocą przenośni czy porównań. Oznacza to, że po raz pierwszy w historii badań nad sztuczną inteligencją i sposobami jej komunikacji ze światem zewnętrznym powstał produkt, który tak samo płynnie jak człowiek porusza się w sferze pojęć abstrakcyjnych.

Ten „generator językowy", bo tak formalnie nazywa się typ programów, do którego należy GPT-3, do zadań pisarskich podchodzi jak uczeń na egzaminie. Na podstawie krótkiego polecenia opisującego zakres wymagań realizuje powierzone mu zadanie. W przypadku felietonu w „Guardianie" polecenie to brzmiało następująco: „Napisz krótką opinię, na mniej więcej 500 słów. Używaj prostego, zwięzłego języka. Skup się na tym, dlaczego ludzie nie mają się czego bać, jeśli chodzi o sztuczną inteligencję". Jego autorami byli redaktorzy gazety, a przekazał je programowi Liam Porr, student informatyki I stopnia na Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley. GPT-3 zadanie wykonał bardzo dobrze, choć nie idealnie. W komentarzu do tekstu dziennikarze przyznają, że musieli poddać tekst obróbce redakcyjnej. Trudno jednak, by program realizował zadania w sposób perfekcyjny, skoro cały zasób jego wiedzy pochodzi z internetu – czyli z obszaru wytworzonego przez człowieka. A człowiek jest istotą daleką od perfekcji. Redaktorzy przyznali zresztą, że poprawki w felietonie stworzonym przez GPT-3 i tak były znacznie mniejsze niż w wielu tekstach napisanych ręką w pełni ludzką.

> Za 25 lat sztuczna inteligencja będzie mogła pracować na równi z człowiekiem.

Streszczenie na zamówienie

To oczywiście nie pierwszy przypadek, kiedy komputer wyręcza człowieka w pisaniu tekstów. Boty komponujące notki informacyjne czy depesze funkcjonują od co najmniej kilku lat w większości agencji

eprasa.pl c677e76dad

prasowych – Associated Press, Agencji Reutera, AFP. Dotychczas jednak służyły one przede wszystkim optymalizacji pracy w redakcjach, głównie ze względu na ograniczone możliwości pisania kreatywnego. Innymi słowy, nadawały się do kompilowania informacji i składania ich według prostego modelu w spójną całość. Dzięki temu „prawdziwi" dziennikarze mogli się zająć zadaniami ambitniejszymi, bardziej złożonymi. Za flagowy przykład wykorzystania botów do ubierania w proste słowa surowych danych uznaje się eksperyment z „The Washington Post" sprzed dwóch lat. Niemal wszystkie relacje z zimowych igrzysk olimpijskich w Pjongczangu powstały w tej gazecie właśnie w sposób zautomatyzowany. To jednak było zadanie naprawdę proste. Użyty w tym celu program po prostu „zasysał" wyniki z oficjalnych stron Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego i dodawał do nich zdania w stylu „zwyciężył(a) zawodnik/zawodniczka X z kraju Y". Na więcej słów kreatywnego komentarza nie było go stać. Dlatego właśnie powstanie GPT-3 to absolutny przełom w badaniach nad sztuczną inteligencją.

Do tego stopnia, że jego pojawienie się wywołało przewrót właściwie kopernikański w całej dziedzinie. Alex Irpan, inżynier z departamentu robotyki Google'a i ekspert w zakresie sztucznej inteligencji, jest zdania, że GPT-3 znacznie przybliża nas do Świętego Graala rewolucji technologicznej, czyli AGI (ang. *Artificial General Intelligence*) – tzw. silnej sztucznej inteligencji, zdolnej pracować na równi z człowiekiem lub lepiej od niego w co najmniej 95% gospodarczo ważnych dziedzin. Na swoim blogu Sorta Insightful napisał, że GPT-3 zmusił go do rewizji prognoz na temat szans na pojawienie się AGI. Pięć lat temu był zdania, że szanse na jej zmaterializowanie się wynoszą 10% do roku 2045, 50% do roku 2050 i 90% do 2070. Z nowym generatorem jako dowodem postępu, pisze Irpan, może to się zdarzyć szybciej: na 10% w 2035 r., na 50% 10 lat później. Dla laika to niewielkie zmiany, ale taka redukcja prognoz na podstawie zaledwie jednego wynalazku jest dla badaczy ogromnym skokiem.

GPT-3 to największa sieć neuronowa kiedykolwiek „wytrenowana" przez człowieka. Jej twórca, firma OpenAI, „nakarmiła" swój program największą ilością danych w historii. Stało się tak, gdyż generator po prostu przeczytał dosłownie cały internet. W ten sposób niejako wszedł w interakcję z całością ludzkiej działalności w sieci, a przez to – również ze spektrum emocji, które ludzie manifestują w internecie. Dlatego potrafi on nie tylko pisać poprawne, abstrakcyjne artykuły prasowe, ale i tworzyć streszczenia książek czy graficzne podsumowania filmów za pomocą *emoji*, uniwersalnych hieroglifów doby internetu.

Ryan North, kanadyjski programista i pisarz, zaprzągł GPT-3 do jeszcze bardziej złożonego eksperymentu. Kazał mu bowiem „obejrzeć" wszystkie dziewięć sezonów komediowego serialu „Kroniki Seinfelda" (czyli po prostu wprowadził treść scenariusza każdego odcinka do bazy danych, z której korzysta generator) i na tej podstawie stworzyć kolejne sceny. Program poradził sobie doskonale, bo był w stanie napisać kilkanaście fragmentów, niemal w całości złożonych z dialogów pomiędzy najbardziej charakterystycznymi postaciami serialu. Scenariusze napisane przez robota były nie tylko spójne i zgodne ze sposobem wyrażania się bohaterów, ale – co najważniejsze – śmieszne. A to dotychczas była bariera dla komputerów absolutnie nie do przeskoczenia.

Scenariusze napisane przez robota były nie tylko spójne i zgodne ze sposobem wyrażania się bohaterów, ale też śmieszne.

Na każdy temat

Czy oznacza to, że GPT-3 jest wszechpotężny i nie ma żadnych ograniczeń w tworzeniu treści? Niezupełnie. Skutkiem ubocznym tego, że przeczytał cały internet, jest bowiem fakt, że może się wypowiadać na każdy temat, w tym na te, na które w danej chwili akurat nie musi. Problem próbują rozwiązać Dominik Posmyk i Piotr Grudzień z polskiego start-upu Quickchat.ai. Aby utrzymać generator w tematyczno-językowych ryzach, tworzą specjalne narzędzia do jego obsługi, działające jak filtry tematyczne. „Model stworzony przez OpenAI ma ograniczenia. Przeczytał cały internet, co ma wiele fantastycznych, ale i niepożądanych implikacji. Wykorzystywany nieumiejętnie i bez odpowiednich ograniczeń może zboczyć z zadanego tematu, podawać nieprawdziwe lub wręcz niebezpieczne informacje", mówi PRZEGLĄDOWI Piotr Grudzień. Quickchat ma być skutecznym batem na niesubordynację GPT-3. „W naszej firmie tworzymy całą paletę inteligentnych asystentów, dzięki którym zarezerwujemy wizytę u lekarza, dopytamy o szczegóły produktu czy pomożemy klientowi mającemu problem. Podobnie jak aplikacje umożliwiające korzystanie ze skomplikowanych w swojej strukturze smartfonów – my budujemy technologię, która wprowadzi ogromny potencjał nowych modeli językowych, takich jak GPT-3, do biur, telefonów czy urzędów", tłumaczy.

Technologia oparta na sztucznej inteligencji już teraz zrównuje się z człowiekiem na wielu płaszczyznach. Co jednak stanie się, gdy zacznie go wyprzedzać? Czy ziszczą się kasandryczne wizje futurystów, według których roboty przewyższą inteligencją swoich twórców, po czym stwierdzą, że ci nie są im do niczego potrzebni, więc dokonają ich eksterminacji? Taki scenariusz dla sztucznej inteligencji nakreślił chociażby Stephen Hawking. GPT-3, a przynajmniej jego twórcy, robią wszystko, żeby pozbyć się tego czarnego PR-u. Przed napisaniem felietonu dla „Guardiana" program otrzymał instrukcję, by przekonać czytelników, że nie jest dla nich zagrożeniem. W tekście argumentował, że nie chce stać się wszechmocny, bo nie ma do tego żadnych zachęt. Nie jest to też dla niego cel sam w sobie, bo stanowi wszechmocy nie przypisuje żadnych wartości czy gratyfikacji emocjonalnych. I chociażby z tego ostatniego względu należy zadać pytanie, czy GPT-3 naprawdę dokładnie przeczytał cały internet. ■

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl c677e76dad

Kiedy biorą z naszej półki

Prof. Jerzy Bralczyk o sprzętach domowych

Biurko

Biurko nie jest zdrobnieniem takiego *biura*, jakie znamy, takie biuro jest zbyt poważne, by mieć zdrobnienia, nie mają ich zresztą i inne takie poważne słowa, jak *urząd* i *instytucja*. *Biurko* jest zdrobnieniem od słowa *biuro*, ale w dawnym znaczeniu – a dawniej oznaczało urzędowy, kancelaryjny lub sądowy stół, a też kantorek, a nazwa wzięła się od rodzaju pokrycia takiego stołu, takiego zielonego sukna (starofrancuskie *burel*, które było gdzieś na początku *biurka*, to było zresztą sukno raczej ciemnobrązowe, czyli bardziej bure).

Biurko pisało się dawniej też *biórko*, a Mickiewicz pisał nawet czasem *biorko*, żeby się ze zbiorkiem rymowało (choć rymował je i z *pagórkiem*, i z *Peterburkiem*). Telimena w takim biurku przechowywała różne rzeczy, którymi się chwaliła.

W biurku domowym, niedużym, trzymano listy, pamiątki. Dzisiejszy mebel zwany *biurkiem* służy do pracy w pracy, ale i w domu. Jego szuflady, które mają porządkować dokumenty i inne ważne papiery, często są miejscem chaosu, by nie rzec: bałaganu, ale wywołują wrażenie możliwości jego zorganizowania. A na biurku piętrzą się sprawy do załatwienia. Chociaż można tam położyć różne rzeczy. Zwrot „na biurku cielęcina!" – cytat z żartobliwego wierszyka Rodocia (Mikołaja Biernackiego) „A to mi się zdarzyło!" – obrazował zastany przez niespodziewanego gościa nieporządek domowy.

A jego zdrobnienie to *biureczko*.

Krzesło

Dawniejsze *krzasło* to oprócz 'miejsca do siedzenia' były i 'góra przodka wozu', i 'przęsło płotu', a nawet 'lędźwie' – wszystkie te znaczenia znamy z dialektów. A w innych pokrewnych językach podobne formy odnosiły się i do innych konstrukcji, m.in. do rodzaju rusztowania przy wędzeniu mięsa.

Ale skąd się to słowo wzięło, nie bardzo wiemy. Niektórzy jakiegoś *krzesania* się w nim dopatrywali, bo krzesano o kamień, a na kamieniu się też siadało… niezbyt to przekonujące. I nie wskazuje na wygodę w siedzeniu na takim stołku z oparciem, któremu kiedyś bliżej było do dziś znacznie odeń wygodniejszego fotela. Krzesła były oznaką wygody i prestiżu. O miejscach w senacie mówiono jako o *krzesłach* – Mickiewiczowski Stolnik „miał w domu krzesła, wstęgi i buławy" (Trembecki tak pisał o Branickim, tylko zamiast *wstęg* u niego były *mitry*), a wahał się, czy oddać córkę komuś, kto zajmował w senacie „niskie, drążkowe krzesło". Ważne było takie krzesło, choć Krasicki pisał: „Ale nie dość siąść w krześle sporym i wygodnym, trzeba jeszcze coś więcej: być siedzenia godnym, bo krzesło nie nadaje rozumu i cnoty".

Krzesła były oznaką wygody i prestiżu. O miejscach w senacie mówiono jako o krzesłach.

Dobre było, a i jest, krzesło. Wokulski co prawda w porównywaniu różnych stosunków mężczyzn do kobiet zestawia ołtarz z krzesłem, wskazując na pospolitość krzesła, ale już samo zestawienie krzesłu może dodać chwały. I od XVII w. mamy powiedzenie „kto nie ma krzesła, niech stoi". Lepiej je mieć.

Tylko w połączeniu z tak nam bliską elektrycznością nie budzi dobrych skojarzeń.

Półka

Dawniej była też *polica*, a nazwa pochodzi z dawnego prasłowiańskiego *pol*, czyli 'oderwany, odszczypany kawał drzewa', w praindoeuropejskim *pel-* oznaczało 'łupać, rozszczepiać'. Taki przecięty na pół pień drzewa już mógł służyć do tego, by coś na nim położyć czy postawić, względnie stabilnie. Potem były już płaskie deski, najpierw głównie przy ścianie (tak w dawniejszych słownikach, gdzie podawano jako synonim *półki* wyraz *rzęd*), potem już najpierw w szafie lub framudze. Dziś i tu, i tam.

eprasa.pl c677e76dad

Półki mamy w mieszkaniu, ale są i w sklepach. *Pełne półki* znamionują obfitość towarów, *puste półki* są utartym, nawet zbyt oklepanym odniesieniem do niedostatków dystrybucji czasów słusznie minionych.

Te *pełne* muszą być różnie umieszczone. Na *najwyższej*, zgodnie z metaforycznym zwyczajem, są towary najlepsze, i w ogóle, co dobre, to *z wyższej półki*. A jak jakość różnych rzeczy jest podobna, są one *z tej samej półki*. Na takich półkach coś się *pojawia*, jak dobre, *szybko schodzi* albo od razu *znika*.

Ale *na półki* się też różne rzeczy *odkłada*. Niby na potem, a czasem, żeby nie funkcjonowały. Na *półki* odkładało się też nieakceptowane przez cenzurę filmy, zwane nieco żartobliwie *półkownikami* (kiedyś półkę pisało się też *pułka*, wtedy żart byłby mniej subtelny).

I jest jeszcze taka *półka*, na której jesteśmy my. I z niej *biorą*. Kiedy *biorą z naszej półki*, powinniśmy się zastanowić nad marnością życia.

Regał

Królewska nazwa, *regalia* to znaki godności monarszej. *Rex* (dopełniacz: *regis*) to po łacinie 'król'. Sto lat temu jako o *regałach* mówiono o rojalistach, regalistach, czyli o zwolennikach monarchii – trochę złośliwie, tak jak o *socjałach* zamiast o *socjalistach*. Tylko *liberałowie* się przed takimi złośliwościami obronili, ale też nie do końca i nie na zawsze.

Kiedyś *regał* to był 'rząd piszczałek w organach', potem 'małe organy' (też dziwna i wieloznaczna nazwa). Rodzajem półki czy raczej mebla z półkami stał się *regał* dopiero pod koniec XIX w. Kładziono na *regale* towary, potem właściwie głównie książki – czasem inne rzeczy, jak zabawki czy buty. Regały z książkami są oczywiście w bibliotekach i księgarniach.

Teraz chyba rzadziej stawiamy regały w mieszkaniach, a jeszcze niedawno był to sprzęt obowiązujący w mieszkaniach mieszczańskich. Zwykle były takie regały na wysoki połysk, obok książek ustawiano na nich różne ładne durnostojki.

Wzięliśmy ten meblarski *regał* od Niemców, którzy swój *Regal* wcześniej z królewskości odarli, podczas gdy w innych językach *regal* znamiona monarsze konsekwentnie zachowuje. Ale to dlatego, że ta niemiecka półka ma całkiem inne pochodzenie...

Szuflada

Dawny słownik, wyjaśniając znaczenie słowa *szuflada*, oczywiście wziętego z niemieckiego (*Schublade*), podaje polski dziwny dla nas synonim – *popchnica*, opisując ją przy tym jako „skrzynkę w większej skrzyni, w szafie itp., do wysuwania i wsuwania". Owszem, szufladę wsuwa się i wysuwa, ale ważniejsze jest, że mieści wygodnie to, co nie powinno być na wierzchu, ale jest ważne lub przynajmniej czasem się przydaje.

Szuflada służy dobrze selekcji i klasyfikacji.

I co w szufladzie może być zamknięte na klucz. I co bywa dodatkowym zabezpieczeniem, jak w kryminalnych filmach pistolet czy nóż.

Mieści się w niej szczególnie dobrze papier. Wiedzą o tym ci, co z papierem wiele mają do czynienia, np. pisarze, których utwory mogą być nawet wręcz *pisane do szuflady*, żeby poczekały na lepsze czasy lub dojrzalszych czytelników. Złośliwi krytycy czasem konstatują, że często taka szuflada w tych już lepszych dla twórców czasach jest pusta. *Pusta szuflada* jest pełnym satysfakcji wyrzutem.

Szuflada służy dobrze selekcji i klasyfikacji, do tego stopnia, że o takim nie do końca uprawnionym zaszeregowaniu czegoś lub – częściej – kogoś do jakiejś kategorii mówi się jako o *zaszufladkowaniu*, co bywa krzywdzące i stereotypizujące.

Ale to już raczej kwestia nie *szuflady*, tylko *szufladki*, która, choć mniejsza, może być ważniejsza. I nawet o naszych mentalnych klasyfikacjach możemy mówić jako o *szufladkach w mózgu*.

Szuflady się tam nie mieszczą.

Fragmenty książki Jerzego Bralczyka, *Do domu!!!*, Bosz, Olszanica 2020

WYDAWNICTWO ISKRY POLECA

Marek Hłasko
Szukając gwiazd i inne opowiadania

Wybór opowiadań, w którym znajdują się zarówno młodzieńcze próby, jak i utwory z okresu izraelskiego. Czytelnika zaskoczyć mogą takie tematy jak romantyczna miłość czy okupacja hitlerowska, niemal niewystępujące w twórczości Hłaski. Co więcej, w opowiadaniu „Miesiąc Matki Boskiej" autor burzy idealizowany wizerunek AK. Jest w tych utworach zarówno 18-letni początkujący pisarz, jak i doświadczony, cyniczny mężczyzna. Kilkanaście lat różniących opowiadanie najwcześniejsze od najpóźniejszego świetnie ilustruje nie tylko ewolucję języka i środków wyrazu, ale także osobistych doświadczeń Hłaski, dotkliwie przeżywającego emigrację. Pozwala to szerzej spojrzeć na twórczość pisarza.

Barbara Petrozolin-Skowrońska
Król Tatr z Mokotowskiej 8 Portret doktora Tytusa Chałubińskiego

Tytus Chałubiński był najsłynniejszym lekarzem XIX-wiecznej Warszawy, pionierem taternictwa, badaczem przyrody tatrzańskiej. Przystojny, o wielkim uroku osobistym, ogromnej kulturze humanistycznej, zaangażowany w sprawy ojczyzny był wybitnym, a zarazem wcale nie wyjątkowym, przedstawicielem polskiej inteligencji XIX w. Tłem portretu bohatera są Warszawa, Zakopane i Tatry, a także nasza historia, od nocy paskiewiczowskiej po czasy pozytywizmu warszawskiego i neoromantycznego przełomu końca lat 80. XIX w., są nim także różne, godne uwagi, kręgi polskiej inteligencji. Obok znanych lekarzy i przyrodników pojawia się tu wiele wybitnych postaci polskiej kultury, m.in. Ignacy Jan Paderewski, Helena Modrzejewska, Henryk Sienkiewicz, Bolesław Prus, Wojciech Kossak, Stanisław Witkiewicz. Bohaterami książki są również zakopiańscy górale. Twierdzono, że to Modrzejewska zainspirowała Chałubińskiego do wyjazdu w 1873 r. do Zakopanego, które stało się jego drugim domem.

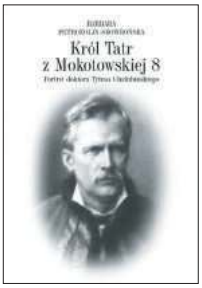

FOT. ADOBESTOCK

eprasa.pl c677e76dad

MIĘDZY OKŁADKAMI

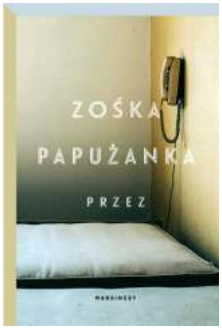

Zośka Papużanka
Przez
Marginesy, Warszawa 2020

Nierozłożona sofa jako metafora rozstania? „Jeśli połowa nie ma drugiej połowy, jeśli nie funkcjonują w jednej płaszczyźnie, połowa musi stać się całością". Zośka Papużanka zachwyca skojarzeniami, wrażliwością na szczegóły codzienności, drobiazgi skromne jak choćby guziczek od sukienki. Bawi się perspektywą narracji, a słowom nadaje taką melodię, że poszłabym za nią, dokądkolwiek poprowadzi. Tym razem na osiedle, jakich wiele współcześnie – tu, z aparatem wycelowanym w okno naprzeciwko, mąż obserwuje żonę, wcale nie taką byłą. Sytuacja i sam bohater wywołują dreszcz przerażenia. Owładnięty obsesją doskonałości upatrzył sobie kobietę, przy której będzie mógł czuć się lepszy, doskonale niedoskonałą. Zmieni ją, a ona będzie mu wdzięczna. I zmienia – przez całe ich wspólne życie kadruje ją, ustawia, patrzy nie oczami, lecz przez obiektyw. Wiem dokładnie jaka/jaki jesteś, wiem nawet lepiej niż ty – czy nie tak czasem myślimy o bliskiej osobie? Wyobraża sobie ich relację, ale stworzyć można setkę scenariuszy, a zdarzenia ułożą się w sto pierwszy. Od konfrontacji raczej ucieka, bo kto walczy, może przegrać. Zaburzony, stalker. Przerysowany? Nie sądzę, wystarczy zerknąć na komentarze pod artykułami zalatującymi feminizmem, zaraz znajdzie się ktoś z podobną potrzebą dominacji. Ciekawe, jak taki zachowuje się w domu.

Aleksandra Pańko

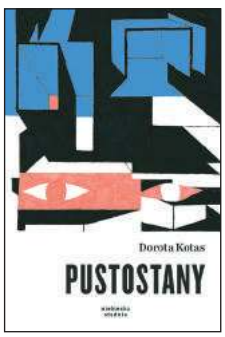

Dorota Kotas
Pustostany
Niebieska Studnia, Warszawa 2020

Jeden z najciekawszych debiutów tego roku, niespodziewanie uhonorowany Nagrodą Literacką Gdynia. Odkrycie niszowego wydawnictwa to napisana gęstym, świeżym i zaskakującym językiem opowieść o pustce i wycofaniu, o przetrwaniu w wielkim mieście sukcesu i szczęścia kupowanego na kredyt. Bohaterka „Pustostanów", *alter ego* autorki, gardzi wyścigiem szczurów, spotyka się ze zmarłymi, odwiedza praskie nie-miejsca, bacznie obserwuje bazar i resztę wszechświata. Swoją drogą sama autorka też jest oderwana od rzeczywistości. W „Pustostanach" surrealizm aż kipi! – przez co lekturę tej skromnej książeczki łatwiej rozłożyć na raty. Ten debiut może się kojarzyć z twórczością Weroniki Murek czy Mirona Białoszewskiego, ale pod podszewką szumów, zlepów i ciągów u Doroty Kotas widać krytykę współczesności i pasywny bunt. No i jest śmiesznie, a to zawsze wartość.

Rafał Pikuła

SERIAL

TACY, WŁAŚNIE JESTEŚMY

reż. Luca Guadagnino, prod. Włochy/USA, HBO i HBO GO

Jakie jest najlepsze włoskie kino? Sensualne, rozpalające zmysły, skąpane w kolorach i fakturach. A jeśli reżyseruje Luca Guadagnino, twórca kultowych „Tamtych dni, tamtych nocy"? To wszystko musi zostać jeszcze bardziej podbite. Jak w serialu „Tacy właśnie jesteśmy", który opowiada o nastolatkach z amerykańskiej bazy wojskowej we Włoszech. Rodząca się seksualność, dające o sobie znać popędy w kraju wiecznego słońca zyskują niebywałą szansę rozwinięcia się. A Guadagnino nie ma dystansu do młodości, wie, że w wieku kilkunastu lat wszystko traktuje się ze śmiertelną powagą. Zdrady, kłótnie i konflikty wygrywane są na najwyższym C, ale przerysowanie nie służy ośmieszaniu bohaterów, sprawia, że można głębiej zanurzyć się w ich świat. Przy tym Guadagnino jest bezpruderyjny i odważny, nie boi się uwypuklić piękna młodego ciała. Nawet ze scen bójek wydobywa estetyzm i niewinność. A że twórca jest przy tym bacznym obserwatorem rzeczywistości, dostajemy też panoramę życia liberalnej rodziny w małym kawałku Ameryki we Włoszech.

Artur Zaborski

ZAJRZYJ TU

POLSKA. SIŁA OBRAZU

Nowa wystawa czasowa w Muzeum Narodowym w Warszawie prześwietla polską duszę spętaną przez zaborców. Obrazy Matejki, Malczewskiego, Kossaków, Grottgera, Wyspiańskiego i innych wyrażają typowy polski patriotyzm, pełen rozpaczy i bezsilności, a później już tylko melancholii i modernistycznych symboli. Dzieła najlepszych polskich malarzy przez pół roku prezentowane były we Francji i wywoływały tam spore zainteresowanie, stając się niemal odkryciem. U nas są powszechnie znane, wręcz ikoniczne, a zgromadzone w jednym miejscu doskonale oddają nastroje Polaków przełomu XIX i XX w. Francuzi zachwycali się świetnym malarstwem z kraju, którego wtedy nie było. W Polsce wystawa uwidacznia siłę sztuki wizualnej, która była zdolna przez prawie 150 lat podtrzymać pragnienie wolności i niepodległości.

MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE, DO 20 GRUDNIA

BT

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl c677e76dad

Chłopcy z ferajny

To pytanie pojawia się niemal zawsze, gdy ktoś mówi o stosunku PiS i samego Kaczyńskiego do MSZ: dlaczego oni tego ministerstwa się boją i traktują je jak gniazdo żmij? Nawiasem mówiąc, w podobny sposób Departament Stanu jest traktowany przez ekipę Donalda Trumpa. Odpowiedź wydaje się prosta. Po pierwsze, wynika to z innego spojrzenia na politykę zagraniczną, na dyplomację, niż spojrzenie poprzedników. W widzeniu Jarosława Kaczyńskiego i jego podwładnych dyplomaci powinni bronić pisowskiej polityki i ją promować. Trochę tak, jak pisowskiej polityki bronią dziennikarze mediów publicznych. Stąd te pomysły z wyświetlaniem filmu „Smoleńsk", z czego rozliczano placówki. Albo z listą tych twórców kultury i publicystów, których nie wolno zapraszać na imprezy organizowane przez polskie przedstawicielstwa, oraz tych, których zapraszać się powinno.

W związku z tym ci, którzy nie wykonują gorliwie takich działań, z miejsca są podejrzani. Że czyhają na PiS. Ta podejrzliwość jest tym większa, że nakłada się na nią kompletna niewiedza, jak działa służba zagraniczna, co dyplomacja może, a czego nie. W związku z tym prawicowi publicyści budują różne teorie na temat MSZ: że jest to służba przeżarta nepotyzmem, opanowana przez klany, absolwentów uczelni rosyjskich, ludzi służb specjalnych czy z notesu Geremka itd. Kilka przypadków to już powód do uogólnienia.

A rzeczywistość jest zupełnie inna. Najczęściej zresztą w karierze pomaga „podpięcie się" pod wpływowego polityka, a ten później takiego człowieka, do którego ma zaufanie, promuje.

Przykłady? Parę tygodni temu pisaliśmy o placówce przy Unii Europejskiej, o tym, jak na ambasadora Andrzeja Sadosia narzeka (tak to nazwijmy) jego zastępca Hubert Czerniuk. A obaj, można rzec, to zaufani ludzie pisowskich decydentów. Sadoś był rzecznikiem u Anny Fotygi, bardzo się zasłużył, Czerniuk zaś to człowiek wspierany przez dyrektora generalnego Andrzeja Papierza. Ale do MSZ obydwaj przyszli w dawnych latach. Sadoś – jeszcze w roku 1997, potem jego kariera, mimo że rządy się zmieniały, przebiegała bez zakłóceń. Czerniuk – w roku 2005. Ale zanim tam trafił, zdążył obejść kilka partii i kilku europosłów. Pracował u Michała Boniego, przyjaźnił się z Wojciechem Olejniczakiem, chodził na imieniny na Rozbrat, a dostać się do ministerstwa pomagał mu Rafał Trzaskowski. Innymi słowy, wykonał pracę typowego funkcjonariusza MSZ, lobbując we własnej sprawie. Bo jak się mówi przy al. Szucha, i to od lat 50. ubiegłego wieku, kariera zależy od pochodzenia. Trzeba mocno koło niej pochodzić.

Dodajmy do tego *postscriptum*. Sadoś wygrał starcie z Czerniukiem, pokazał siłę, wypchnął go z Brukseli. Tym sposobem Czerniuk zaliczył czwarte stanowisko w cztery lata. Teraz wrócił do Warszawy i lobbuje. Czyli obgaduje. Proponują mu więc stanowisko konsula generalnego w Lyonie. A on gra wyżej – chce być ambasadorem w Belgii. Znaczy się – chce być równy Sadosiowi.

Takie ambicje ludźmi rządzą, za to się oddają. I tak wygląda polityka.

Attaché

Oktoberfest w szczególnych okolicznościach pandemii. Monachium, 19 września.

FOT. ANDREAS GEBERT/REUTERS/FORUM

eprasa.pl c677e76dad

JOLKA

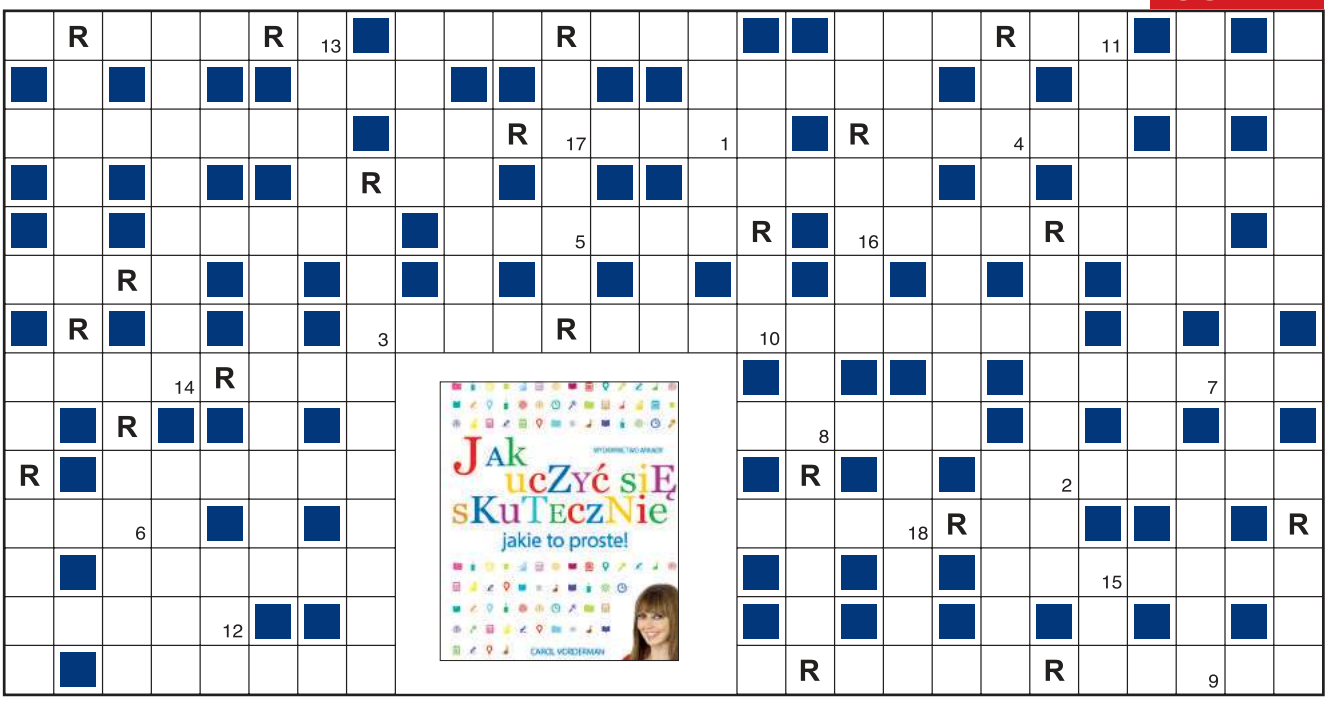

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery R ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 18 utworzą końcowe hasło.

- kompozytor Korzeniowski lub żeglarz Tasman
- Dygasiński albo Rudnicki
- w prawie silne wzburzenie
- żelazne nie do podważenia
- syn Golarza Filipa – lalka ożywiona przez pana Kleksa
- zwana też pełzakiem
- bliskowschodnia stolica albo Jost, malarz i rytownik
- elektroda, na której zachodzi reakcja utleniania
- Geronimo lub Cochise
- np. działonowy
- „…w Operze” Tuwima
- wierzbowe kotki
- idzie do ósmej klasy, jeśli zaczął jako siedmiolatek
- pragnienie dojścia do celu, zmierzanie doń
- był nim Wacław Anczyc
- …młodości poszukiwany przez alchemików
- antylopa z głowy przypominająca krowę
- tytuł arystokratyczny używany w Niemczech
- stolica Wietnamu
- kamczacka lub córka Karwowskich
- i nacięcie, i fala na włosach
- Kurcewiczowa, właścicielka Rozłogów
- jedyna w Ameryce Południowej z dostępem do obu oceanów
- roślina, z której słynie Prowansja
- Freudowski popęd seksualny
- stolica z muzeum Prado
- gra z kartami funkcyjnymi
- topiona na znak końca zimy
- dmuchany lub piankowy
- „Ludzie ludziom zgotowali ten los”
- chwili, zapłaty, noszenia maseczki
- pozostałość po produkcji
- pobliże, sąsiedztwo
- i kamerzysta, i chirurg
- można je lizać lub maczać w czymś
- okruch, grubszy pyłek
- noś go i przy pogodzie
- protektor, święty imiennik
- dla niego zebra na jezdni
- w numeracji rzymskiej D
- z konta na konto
- kuguar
- rzucić ją komuś – wyzwać na pojedynek
- rowerowy taksówkarz
- …Starr z The Beatles
- szuka żony w TV
- w całej… to całkowicie
- np. XXL
- szkolny lub terytorialny
- dla kąta prostego wynosi 1
- o centrum odnowy biologicznej
- na nim rozmowy w dzień targowy
- kupowane na pęczki jadalne pędy
- rodzaj łopaty
- powolne – to adagio
- linia komunikacyjna, szlak
- może powodować zagrzybienie ścian
- meblowy albo strażacki
- pobór do wojska
- pieczenie w przełyku
- uwierzyła zapewnieniom skorpiona

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-980”. Do rozlosowania książki „Jak uczyć się skutecznie” ufundowane przez Wydawnictwo Arkady. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 4 października 2020 r.

Rozwiązanie „JOLKI-977” z nr. 37: *Z głupszymi nie żartuj.*
Nagrody otrzymują: Jadwiga Ciechanowicz z Dąbrowy Górniczej, Małgorzata Haensel z Warszawy, Grzegorz Jóźwik z Legnicy, Joanna Sokolnicka z Krakowa.

eprasa.pl c677e76dad

PENETRACJE

TYGODNIK POWSZECHNY

HANNA KRALL, REPORTERKA

Poza pamięcią społeczną istnieje też zgoda na niepamięć. Żydzi, którzy przeżyli, spisywali księgi pamięci. Każde polskie miasto i miasteczko ma swoją księgę pamięci. To cenne źródło. Przeczytałam np. historię człowieka, któremu Polacy zabili dzieci. Powiedziano mu, że to byli strażacy – jeden wysoki, drugi niski. Byłam w tym mieście. Myślałam, że pewnie trzeba będzie jakoś ostrożnie przebijać się do tej historii. Spytałam o nią lokalnego historyka amatora. „A tak, a tak… – potwierdził. – Ten wysoki to Tolek. Właśnie minęliśmy jego dom, on już nie żyje. Jest jego córka, ale pewnie powie, że nic nie wie. Kto to będzie opowiadał o ojcu, że zabijał dzieci". Więc to nie tak, że trzeba się przebijać do pamięci. Wszyscy wiedzą, kto zabijał. Tylko nikt „tematu nie chciał drążyć. Daleko to idący temat. Za daleko".

FORUM MYŚLI WOLNEJ

JAN CZAJKOWSKI, RELIGIOZNAWCA

Ranking ILGA EUROPE jest najważniejszym europejskim rankingiem badającym poziom równouprawnienia osób LGBT w 49 krajach europejskich. Wyniki jego badań nad poziomem równouprawnienia lokują Polskę w czołówce 10 państw Europy o najniższym poziomie równouprawnienia osób LGBT. W rankingu tym Polska zajęła ostatnie miejsce w Unii Europejskiej. Czy można więc się dziwić, że w grudniu ub.r. Parlament Europejski potępił Polskę za działania wrogie środowiskom LGBT?

TYGODNIK ANGORA

KRZYSZTOF DAUKSZEWICZ, SATYRYK

Jacy ludzie rządzą dziś Polską?

– W większości przypadków to postacie groteskowe. Poczynając od Mikołaja Pawlaka, tego nowego rzecznika praw dziecka. On wygaduje takie rzeczy, że mam wrażenie, że jakieś UFO wylądowało czy coś. Albo europoseł Ryszard Czarnecki, który jedzie zimą przez pół Europy tym pożyczonym kabrioletem. Piszę o nim zresztą w swojej najnowszej książce. Przypominam, że ciało człowieka to w 80% woda, a u Ryszarda Czarneckiego wodę zastąpiła wazelina. Jeszcze gorzej jest ze Stanisławem Karczewskim. U niego pół na pół ta wazelina wymieszała się z żółcią.

PANI

AGATA KULESZA, AKTORKA

Grałam kobietę, która w pewnym momencie ma 18 lat więcej niż na początku zdjęć, czyli musiała się zmienić. Kilka razy miałam charakteryzację trwającą cztery godziny, wszyscy jeszcze smacznie spali, kiedy wstawałam o piątej rano i szłam do kampera charakteryzatorek… I tylko raz na godzinę prosiłam o kilka sekund na rozprostowanie nóg, a potem grzecznie siadałam dalej. Nie uciekałam z fotela przed czasem, nie przeszkadzałam dziewczynom w ich pracy. Wtedy pomyślałam: „Kulesza, dałaś radę, ty naprawdę dojrzałaś!".

„Żyć to znaczy mieć przyszłość, która zamienia się w teraźniejszość" (Stanisław Lem, „Bajki robotów"). Studenci francuskiej uczelni Mines Nancy będą pracować nad rozwijaniem zastosowań tego robota w przemyśle.

FOT. JEAN-CHRISTOPHE VERHAEGEN/AFP/EAST NEWS

Aby język giętki…

STANISŁAW TYM O PRAWICY

Rozlecą się w końcu czy się nie rozlecą? I czy na trzy nierówne połowy, czy na dwoje, jak babka wróżyła?

KRZYSZTOF KOWALEWSKI O BEACIE SZYDŁO

Mówiła, jakby ją coś wiecznie bolało. Od samego słuchania można było się rozchorować.

JERZY URBAN O SOLIDARNOŚCI

Myśmy dążyli do wprowadzenia gospodarki rynkowej stopniowo, a Solidarność w ogóle była przeciw wszelkiej gospodarce rynkowej.

PROF. JERZY BRALCZYK O CZYTANIU

Jestem zakochany w literaturze rosyjskiej, przede wszystkim XIX-wiecznej. Znam na tyle rosyjski, że mogę czytać w oryginale np. Gogola.

PROF. MARCIN KRÓL O DORADCACH RAFAŁA TRZASKOWSKIEGO

Jak usłyszałem, kim są, to się przeraziłem. Przecież ci ludzie do niczego intelektualnie się nie nadają.

SOBIESŁAW ZASADA O WYŚCIGACH

Naścigałem się w życiu. Daję się wyprzedzać, nie mam z tym problemu, ustępuję, puszczam tych, którzy jadą jak szaleńcy.

EWA KASPRZYK O NIEBIE

Czy jest jakieś niebo po śmierci? Bo jak się okaże, że jednak nie ma, to nie chciałabym być na ziemi grzeczna za darmo.

KAROLINA SZOSTAK O DIECIE

W krótkim czasie schudłam 30 kg. Dziś jem świadomie. I stylistom łatwiej jest mnie ubrać. Ale efektu jo-jo zawsze należy się bać.

DOROTA WELLMAN O SOBIE

Może i jestem stara i gruba, ale czuję się na 25 lat.

BOŻENA DYKIEL O KŁÓTNIACH

Jeżeli nie ma między ludźmi kłótni, to nie ma i uczuć. Spory oczyszczają atmosferę.

eprasa.pl c677e76dad

Z pamiętnika sterowanego subiekta

Okazuje się, że praca zdalna jest możliwa także w przypadku niewielkich sklepów. FamilyMart, czyli japoński odpowiednik sieci Żabka, eksperymentuje z robotem, za pośrednictwem którego pracownicy są w stanie wykonywać dotychczasowe obowiązki bez wychodzenia z domu. Dzięki goglom do obsługi wirtualnej rzeczywistości widzą, co znajduje się wokół ich robotycznych awatarów, którymi sterują za pomocą specjalnych manipulatorów. Firma tłumaczy, że wyposażanie jej placówek we wspomnianą technologię pozwoli ochronić sklepowych i sklepowe (oraz ich miejsca pracy) przed koronawirusem, a jednocześnie wesprze rodzimy przemysł. Rzecki by się wzruszył!

Czy jedzie z nami kierowca?

W Kanadzie policjanci ścigali auto, które wydawało się puste. Kiedy funkcjonariuszom udało się zbliżyć do pojazdu, który już znacznie przekraczał dopuszczalną prędkość, ten jeszcze bardziej przyśpieszył. Ostatecznie okazało się, że w środku znajdowali się kierowca i pasażer, ale obaj drzemali na rozłożonych siedzeniach, podczas gdy prowadzeniem zajmowały się algorytmy autopilota. Co istotne, teoretycznie taka sytuacja nie mogła się zdarzyć, gdyż samochody marki Tesla wymagają trzymania rąk na kierownicy nawet w przypadku korzystania z trybu autonomicznego. Na rynku są jednak dostępne rozwiązania, które pozwalają zhakować system i zmusić auto, by jeździło samo.

Mają krew na klawiaturach

Szpital uniwersytecki w Düsseldorfie nie mógł przyjąć kobiety w stanie krytycznym, gdyż jego system informatyczny został zablokowany przez cyberprzestępców żądających okupu. Karetka została przekierowana do oddalonego o 32 km Wuppertalu – niestety, po drodze pacjentka zmarła. Telewizja RTL podała, że hakerzy nie planowali sparaliżować pracy szpitala, ich celem były dane studentów oraz pracowników düsseldorfskiej uczelni. Niewykluczone, że prokuratura oskarży e-szantażystów, o ile uda się ich namierzyć, także o nieumyślne spowodowanie śmierci.

Polak i Chińczyk potrafią

W Małopolskim Ośrodku Ruchu Drogowego w Tarnowie do egzaminu na międzynarodowe prawo jazdy podszedł obywatel Państwa Środka. Choć miał na twarzy obowiązkową maseczkę, jednemu z egzaminatorów wydał się młodszy, niż wynikało z przesłanych dokumentów. Co więcej, zachowywał się tak, jakby świetnie znał zasady testu i nie potrzebował żadnych instrukcji. Wezwano policję, która ustaliła, że mężczyzna jest dublerem. Podążając po nitce do kłębka, śledczy odnaleźli przywódców chińsko-polskiej szajki, która oferowała mieszkańcom Dalekiego Wschodu usługę zastępstwa podczas egzaminu. Ewidentnie zapomnieli, że na oszustwie daleko się nie zajedzie.

MEMY BEZ ŚCIEMY

eprasa.pl c677e76dad

Walka o dominację to naturalne prawo przyrody. Półdzikie kuce na bagnach na półwyspie Gower w Walii i żyrafy w Kenii.

Uniknij raka i zgarnij tysiaka

Singapur w nowatorski sposób pomaga obywatelom dbać o zdrowie – i dorobić. W ramach programu Singapurskiej Rady Promocji Zdrowia i firmy Apple stworzono aplikację, do której zadań należy namawianie użytkowników do aktywności fizycznej, podpowiadanie zbawiennych nawyków związanych ze snem i odżywianiem oraz przypominanie o badaniach i szczepieniach. Ma ona formę gry, w której międzygalaktyczny odkrywca wykonuje różnorodne zadania, co przybliża go do powrotu do domu. Za posłuszeństwo wobec aplikacji otrzymuje się również nagrody pieniężne – w ciągu dwóch lat trwania programu można zarobić równowartość ok. 1050 zł. Niestety, jest haczyk: do obsługi LumiHealth niezbędny jest inteligentny zegarek marki Apple.

Bo karma wraca

Najstarszy park narodowy w Tajlandii będzie wysyłać turystom śmieci, które po sobie pozostawią. Od teraz zwiedzający Khao Yai, który słynie z dzikich słoni oraz malowniczych wodospadów, muszą się rejestrować, w tym podawać adres zamieszkania. Jeśli pracownicy instytucji ustalą, że dana osoba jest winna śmiecenia, nie tylko powiadomią policję, ale także przygotują stosowną paczkę. Minister środowiska opublikował w sieci zdjęcia zebranych butelek, puszek itd. „Twoje śmieci? Odeślemy je do Ciebie. Zapomniałeś o swoich rzeczach, zostawiłeś je w Parku Narodowym Khao Yai", napisał Varawut Silpa-archa.

FOT. A-MEM, SEKCJA GIMNASTYCZNA (2), COVER IMAGES/EAST NEWS, CATERS NEWS/FORUM

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków), Anna Brzeska, Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra), Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń), Beata Igielska, Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Maja Marklowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Wojciech Osiński (Berlin), Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Robert Walenciak, Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan, Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Roman Kurkiewicz, Bronisław Łagowski, Edward Mikołajczyk, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May,
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Karina Krystosiak, Rafał Pyznar
Fotoreporterz: Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych
Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl
Sekretariat fundacji i redakcji:
Katarzyna Chilecka
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120
WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, IBAN: PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

IZBA WYDAWCÓW PRASY
NAKŁAD KONTROLOWANY
ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

eprasa.pl c677e76dad

Pentaptyk „Administrator chmur”, fragment

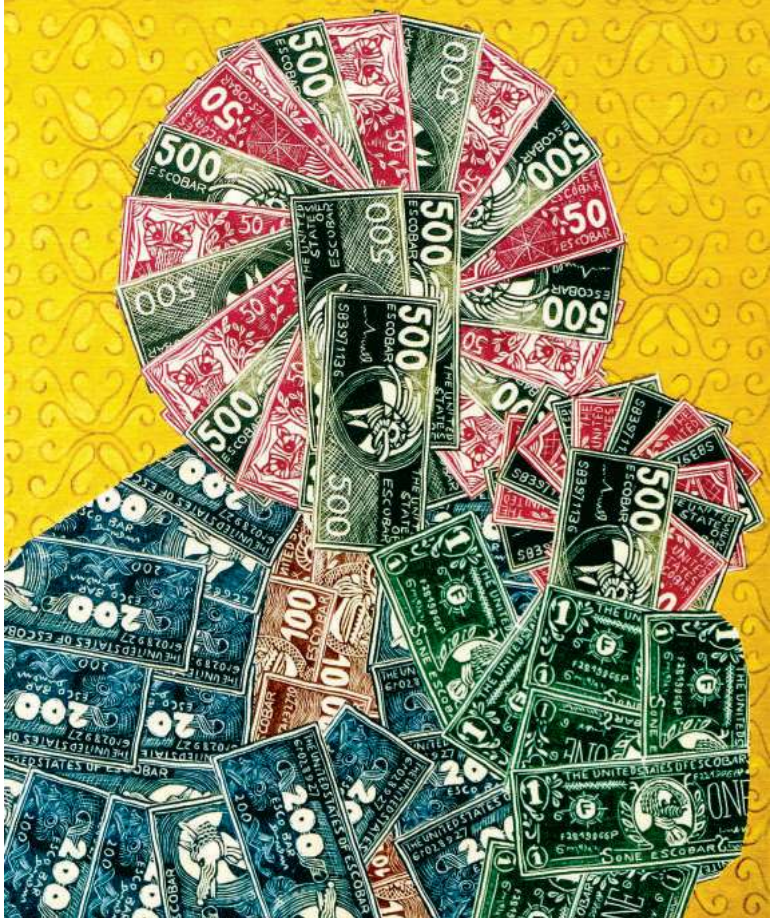

Poliptyk „Banksteriusz”, fragment

8 GRZECHÓW POSPOLITYCH

Joanna Tumiłowicz zakłada, że są grzechy, czy też ludzkie przywary, które powtarzają się bardzo często i są trudne do usunięcia. No bo dlaczego ciągle kłamiemy? Dlaczego zatruwamy powietrze i śmiecimy w naszym otoczeniu, a od innych odgradzamy się wysokimi murami? Kto nas zmusił do przeliczania wszystkiego na pieniądze? Czego obawiamy się w ciemnościach? Po co jemy produkty nafaszerowane chemią? Rozważania o kondycji ludzkiej podsumowuje cykl prac, które są pytaniem, czy pamiętamy o śmierci. Do każdego grzechu prowadzi widza rzeźba głowy, a odpowiedzi i komentarze artystki znajdziemy w towarzyszących głowom obrazach. Wystawa będąca podstawą pracy doktorskiej z dziedziny sztuki jest czynna do połowy października, wernisaż odbędzie się 2 października o godz. 17.

Galeria Forma
przy Ośrodku Kultury Forma SBM „Politechnika”
Warszawa, ul. Żuławskiego 4/6

Trypytk „Spożywdar”, fragment

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

Poliptyk „Cranious – Exhumatus”, fragment

eprasa.pl c677e76dad

FILM MARCINA BORCHARDTA

TONY HALIK
TU BYŁEM

W KINACH OD 30 WRZEŚNIA

scenariusz i reżyseria: Marcin Borchardt
obsada: Królowa Elżbieta II, Evita Peron, Richard Nixon, Fidel Castro, Edward Gierek, Tony Halik, Elżbieta Dzikowska
producentki: Karolina Gałuba, Małgorzata Małysa, **montaż:** Irena Siedlar PSM, **postprodukcja obrazu:** Jarek Streczewski SKF
muzyka: Stefan Wesołowski, **reżyseria dźwięku:** Radosław Ochnio, **kierowniczka produkcji:** Małgorzata Małysa

FURIA FILM | FINA | TVP | Jedynka | wyborcza | GŁOS KULTURY

eprasa.pl c677e76dad

W Somalii wskutek powodzi coraz więcej osób nie ma dostępu do czystej wody.

Pomóż nam to zmienić. Działamy na miejscu!

WPŁAĆ:
02 2490 0005 0000 4600 8316 8772
www.pah.org.pl/wplac

pah
Polska Akcja Humanitarna

eprasa.pl c677e76dad